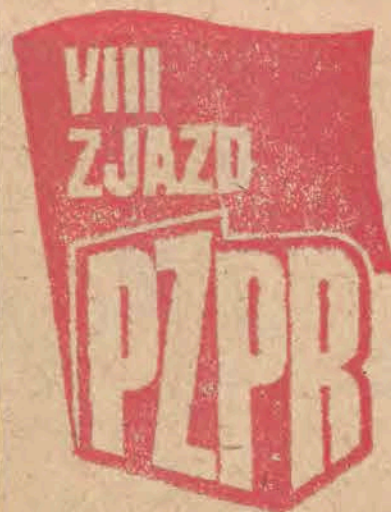


Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 7 (1158) ROK XXIII

17 LUTEGO 1980 R.

CENA 3 ZŁ

Trzeba być najpierw literatem, a dopiero potem wynalazcą — stwierdza niejeden twórca opracowań patentowych. I jeśli jest w tym odrobina przesady, to i tak sama istota rzeczy się nie zmienia. W poszukiwanie nowych rozwiązań trzeba bowiem wkalkulować tysiące rzuconych na papier słów: rozpacz i zachęty, gróźb i prośb, perswazji.

ZAWÓR

Każdy wynalazek obraża z czasem w antologię listów prywatnych i pism urzędowych, które pozwalają odtworzyć kolejne etapy drogi krzyżowej pomysłu skazanego przez małoświadomych na zapomnienie. Sięgnijmy więc do sztambucha, który wprowadzi nas w sprawę.

(Dalszy ciąg na str. 9)

nasza

dyskusja

INWESTOWAĆ W MYŚLENIE...

Z wpływem nauki na rozwój życia gospodarczego wiąże dziś społeczeństwo ogromne nadzieje. Jednocześnie, wpływ efektów badań naukowych na gospodarkę nie daje powodów do zadowolenia.

Gdzie tkwią przyczyny nie spełnionych oczekiwań? Co utrudnia praktyczne wykorzystanie badań? Zagadnieniom tym poświęciliśmy redakcyjną dyskusję w gronie delegatów na VIII Zjazd PZPR — reprezentantów łódzkiego środowiska naukowego. Udział w niej wzięli: prof. dr hab. Zdzisław Haś — dyrektor Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali Politechniki Łódzkiej, prof. dr hab. Janusz Indulski — dyrektor Instytutu Medycyny Pracy, doc. dr hab. Tadeusz Krzemiński — prorektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr hab. Jan Michalski — prezes Łódzkiego Oddziału PAN, dyrektor Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych.

(czytaj str. 8—9)

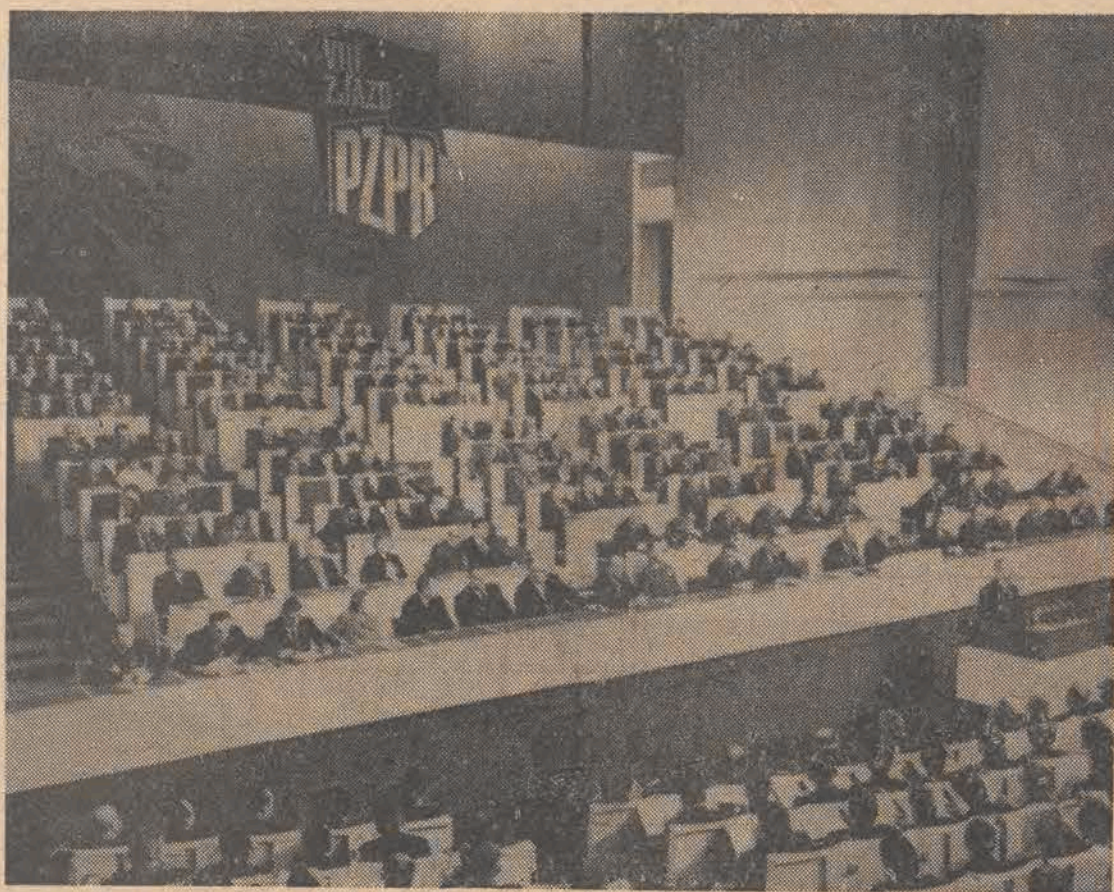
ABY ŻYĆ TRZEBA DAĆ

Kiedy dość szumnie obchodziliśmy 150 lat Łodzi przemysłowej, mówiło się wiele o wybitnych postaciach tamtego okresu, o zapotrzebowaniu na wyroby włókiennicze, napływie obcych kapitałów, nikt natomiast nie wspominał, iż twórcami przemysłu, wielkiego miasta i całej aglomeracji łódzkiej stali się wychodźcy ze wsi. Nie muszę tego twierdzenia popierać przykładami z prozy Reymonta i Rudnickiego. Rodzice mojej babki ze strony matki przybyli z dalekiej wsi, a babka w trzynastym roku życia rozpoczęła pracę na skrocalni. Takich rodzin jest w Łodzi i miastach aglomeracji setki tysięcy, ale w świadomości kolejnych pokoleń zatarta się pamięć rodowodu.

Ze wspomnień mieszkańców Rzgowa i okolic, gdzie się wychowywałem i wzrastałem, wiem, iż ludzie tamtejsi, gdy jeszcze nie było tramwaju, pleszo ciągnęli do „Horaka”, aby zarobić na powiększenie gospodarstwa lub zbudowanie domu. Plesze o tym dlatego, żeby zaznaczyć, iż pół wieku temu pod Łodzią mieszkali chłopstwo-rabotnicy, którzy z jednej strony wspomagali przemysł, z drugiej zaś produkowali żywność dla zatrudnionych wyłącznie w fabrykach.

(Dalszy ciąg na str. 5)

Foto: A. Wach



Prezydium Zjazdu

CAF — Zagórzeński — telefoto

VIII ZJAZD PZPR OBRADUJE

W poniedziałek, 11 lutego 1980 roku, rozpoczął obrady VIII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, najwyższe forum polityczne naszego kraju. W obradach bierze udział 1833 delegatów, a w tym 294 wybranych przez duże organizacje partyjne w fabrykach.

Obradom VIII Zjazdu PZPR przysługują się delegacje bratnich partii komunistycznych i robotniczych z krajów socjalistycznych i kapitalistycznych. Na czele delegacji Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego stoi członek Biura Politycznego, sekretarz Komitetu Centralnego — Michaił Susłow.

W prezydium obrad zasiadli członkowie Biura Politycznego, sekretarze KC PZPR, przewodniczący delegacji zagranicznych, zastępcy działacze partyjni, sekretarze komitetów wojewódzkich partii, przodujący robotnicy, ludzie nauki i sztuki. W prezydium VIII Zjazdu PZPR znaleźli się też przedstawiciele naszego regionu: Ryszard Bryk — I sekretarz KW w Skierniewicach, Arkadiusz Ciupiński — I sekretarz KZ w „Unieście”, Bolesław Koperski — I sekretarz KŁ, Edward Król — brygadista w ŁP Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych, Urszula Płazewska — mistrz w ZPP „Feniks” w Łodzi, Jerzy Pryma — zasłużony działacz ruchu robotniczego, Stanisław Skla-

dowski — I sekretarz KW w Piotrkowie Tryb., Anna Socha — brakarka w ZPO „Pilica” w Tomaszowie Maz., Tadeusz Stasiak — I sekretarz KW w Sieradzu, Jerzy Wojtkowski — dyrektor generalny „Textilimpexu”.

Otwierając obrady VIII Zjazdu PZPR I sekretarz KC — Edward Gierek powiedział:

„Jesteśmy trzymilionową partią wśród 35 milionów Polaków. Nasza partia działa w ścisłej więzi z narodem, jest wszędzie, gdzie toczy się życie, gdzie trwa praca, gdzie rozstrzygają się sprawy wielkie i małe, z których składa się nasza polska codzienność.

Towarzyszy nam świadomość wagi zadań, jakie wytyczył nam VIII Zjazd”.

W pierwszym dniu obrad referat programowy Biura Politycznego „O dalszy rozwój socjalistycznej Polski, o pomyślność narodu polskiego; założenia rozwoju społeczno-gospodarczego kraju w latach 1981—1985” wygłosił I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek. (Fragment referatu drukujemy obok).

W drugim dniu obrad rozpoczęła się dyskusja. W środę, w trzecim dniu Zjazdu delegaci i goście obradowali w 18 zespołach.

W SŁUŻBIE POSTĘPU I SOCJALISTYCZNYCH PRZEMIAN

(z referatu programowego
Biura Politycznego KC PZPR)

Rozwój socjalistycznej Polski wymaga dalszego wzrostu roli nauki w przemianach jakościowych potencjału wytwórczego, stosunków społecznych oraz świadomości naszego narodu. Strategia działania partii na polu nauki i postępu naukowo-technicznego wypracowana przez XII plenum Komitetu Centralnego będzie obowiązywać w latach osiemdziesiątych. Celem naszej polityki jest dalsze zwiększanie i umacnianie naukowego potencjału Polski, tworzenie lepszych warunków dla pracy naukowej oraz rozwijanie coraz bardziej skutecznego związku nauki z życiem społecznym i gospodarką. Instancje partyjne i władze państwowe rozszerzać będą wykorzystanie naukowych ekspertów, diagnoz i prognoz rozwojowych. Przywiązujemy wielką wagę do inicjatywy i aktywności środowisk naukowych ich samorządnych organizacji i towarzysów. (...)

Stworzony w Polsce Ludowej i znacznie powiększony w ostatniej dekadzie potencjał kadrowy, organizacyjny i techniczny nauki polskiej nie jest jeszcze optymalnie wykorzystany. Należy doskonalić system wielkich przedsięwzięć badawczych zespołowych z kierunkami rozwoju gospodarki narodowej, ujęty w ramy programów rządowych oraz problemów węzłowych, międzyresortowych i resortowych, realizowany wspólnie przez placówki PAN, szkoły wyższe, instytuty resortowe i zaplecze techniczne wielkich zakładów przemysłowych.

Wymaga to przyspieszenia procesów specjalizacji w określonych dziedzinach nauki oraz znacznego ściśnięcia jej współdziałania z organizacjami gospodarczymi. W dalszym ciągu kluczowym ogniwem w procesie zwiększania efektywności badań naukowych będą wdrożenia. Należy opracować w nadchodzących latach system instrumentów społeczno-ekonomicznych, który spowoduje wzrost efektywności gospodarki narodowej na wyniki badań naukowych.

Wychodząc z tych założeń koncentrować musimy wysiłek środowisk naukowych na badaniach w dziedzinie rozpoznania i wykorzystania zasobów surowcowych, materiałowych i wodnych kraju, rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej, budownictwa mieszkaniowego, optymalizacji użytkowania zasobów energetycznych, modernizacji bazy wytwórczej i transportu, poprawy jakości produkcji, ochrony zdrowia i innych ważnych problemów społecznych. (...)

Oczekujemy od naszej nauki znacznego postępu w eksporcie krajowej myśli i usług naukowo-technicznych, zwiększenia aktywności Polski w międzynarodowej współpracy na polu nauki i techniki. Polityka partii i państwa sprzyjać będzie szerokim związkom nauki polskiej z nauką światową, czerpaniu z jej dorobku i pomnażaniu go własnym wkładem. Szczególne znaczenie dla przyszłości i szczególnie owocne perspektywy ma współpraca naukowo-techniczna ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi, którą powinniśmy systematycznie pogłębiać.

W latach, które nadchodzi, aktywizacja rodzimych źródeł postępu staje się najważniejszą naszą rezerwą, główną narodową szansą. Musimy tworzyć i tworzyć ku temu odpowiednie warunki. Naszą partię tradycyjnie już łączy z twórcami nauki serdeczna więź, głę-

bokie zrozumienie i wzajemne zaufanie. Jestem pewien, że umacniając tę więź i ten dobry klimat wyzwolimy niespożyte siły intelektualne wszystkich generacji polskich uczonych w pracy dla dobra kraju.

W procesie kształtowania świadomości społecznej coraz ważniejsze miejsce zajmuje upowszechnianie wartości ideowych i moralnych, które określają oblicze człowieka epoki socjalizmu, czynią życie ludzkie godnym, pełniejszym i bogatszym duchowo, nakazując łączyć osobiste dążenia ze współodpowiedzialnością za dobro innych ludzi, są kontynuacją i wzbogaceniem najlepszych patriotycznych tradycji.

W szerokim wronie socjalistycznego wychowania rosnące zadania przypadają środkom masowego przekazu — prasie, radiu i telewizji. Zakres ich działania — to zarówno ważne funkcje informacyjne, wskazujące postęp w budowie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego w Polsce i w innych państwach naszej wspólnoty oraz obrazujące złożoność procesów rozwojowych współczesnego świata, jak i kształtowanie patriotycznej postawy obywatelskiej, propagowanie wartości społecznych i pozytywnych wzorców, a także krytyka negatywnych zjawisk i dociekanie ich przyczyn, odzwierciedlanie i kształtowanie opinii publicznej. Jesteśmy przekonani, że wielotysięczna kadra dziennikarstwa polskiego coraz lepiej wypełniać będzie te odpowiedzialne zadania.

Przywiązujemy wielką wagę do działalności środowisk twórczych. Pragniemy tworzyć coraz lepsze warunki dla rozwoju narodowej kultury socjalistycznej Polski. Oczekujemy, że dzieła polskich twórców będą coraz głębiej i piękniej odzwierciedlać myśli i uczucia ludzi pracy, kształtować je w duchu socjalistycznego patriotyzmu i humanizmu, podstawowych wartości sprawiedliwości społecznej, twórczej pracy i godnego życia. Chcemy też, aby coraz żywszy był udział środowisk twórczych i stowarzyszeń artystycznych w życiu społecznym, aby rósł ich wpływ na kształtowanie ideowych postaw ludzi sztuki i kultury.

Partia nasza będzie zacieśniać więź z twórcami udzielając szczególnego poparcia wszystkim, co wzbogaca życie duchowe socjalistycznego społeczeństwa, umacnia jedność narodu. Wielką wagę przykładając powinniśmy do rozwoju rzetelnej i mądrej krytyki, do ożywiania dyskusji i marksistowskiej refleksji teoretycznej nad kulturą i sztuką, jej historią, teraźniejszością i przyszłością, jej rolą w życiu narodu.

Będziemy rozszerzać zakres działań zmierzających do upowszechnienia dorobku polskiej i światowej kultury, a także kojarzenia działalności nowoczesnych środków przekazu z tymi formami pracy, które — jak ruch społeczno-kulturalny i amatorski ruch artystyczny — zapisały piękne karty w historii polskiej kultury, dając nadal wzory społecznikostwa i patriotyzmu.

Lata współczesne charakteryzują się zmianami we wszystkich dziedzinach życia. Przeobraża się w szybkie tempo nasza Ojczyzna, zachodzą procesy społeczne o historycznym znaczeniu. Na naszych oczach rodzi się nowa jakość narodu polskiego, następują zasadnicze przemiany w sposobie myślenia, w postawie i obyczajach Polaków, w ich stosunku do swego kraju i świata. Chcielibyśmy, aby te procesy znajdowały pełniejsze odbicie w dziełach kultury i sztuki, w książce i filmie, na łamach prasy i w audycjach telewizyjnych.

Oczekiwaliśmy referatu Biura Politycznego KC PZPR z dużym zainteresowaniem. W dyskusji przedzjazdowej padło przeciwko wielu cennym uwagom na temat tego, co nam przeskądza w rozwoju, co hamuje, utrudnia. Dyskusja ta objęła różne kręgi i środowiska, uwagi więc były różnej treści i znaczenia. Słuchając w poniedziałkowy wieczór tego, co przed najwyższym forum partyjnym, i przed całym narodem za pośrednictwem radia i telewizji mówił Edward Gierek, odnajdywałem nasze myśli i niepokoje, ale i nasze nadzieje, że partia pokieruje pracą nad usuwaniem tego wszystkiego, co przeszkadza w życiu, co hamuje nasz postęp. Bo inaczej być nie mogło, gdyż — jak to stwierdził Edward Gierek ze zjazdowej trybuny — „niezmiennym i nadrzędnym celem naszej polityki gospodarczej jest zaspokojenie potrzeb społecznych, pomyślność

organizacji społecznych powinny systematycznie kontrolować zgodność działania administracji z programem i uchwałami partii, a także skuteczność tego działania oraz wyciągać stąd odpowiednie wnioski merytoryczne i kadrowe”.

Zwracam uwagę na ten fragment referatu Biura Politycznego KC PZPR nie bez powodu. Nie tylko dlatego, że ma to zasadnicze znaczenie dla dalszego rozwoju demokracji w naszym kraju, ale również dlatego, że krótko po VIII Zjeździe PZPR, w oparciu o program na tym zjeździe przyjęty, stanowiący do wyborów do Sejmu PRL. Kampania przedwyborcza, będąca jakby kontynuacją dyskusji zjazdowej, rozważaniami nad tym, jak najlepiej i najskuteczniej wcielić w życie postanowienia Zjazdu, powinna też stać się formą rozważań nad doskonałością naszej demokracji.

Referat Biura Politycznego

mywanie na odpowiedzialnych stanowiskach pracowników niezadowolonych do należytego wywiązania się ze swoich obowiązków powoduje trudne do popamiętania straty”.

Zwracam na te sprawy uwagę również i dlatego, że w referacie Biura Politycznego KC PZPR wiele mówi się o potrzebie doskonalenia gospodarki, podnoszenia jej efektywności, szerszego stosowania rozwiązań techniki i nauki, podnoszenia wydajności pracy, lepszego wykorzystywania tego potencjału, który już posiadamy. Referat wymieniał nie tylko przyrzeczenia, które hamują nasz rozwój, ujemne uwarunkowania naszej społecznej i gospodarczej działalności, ale otwarcie mówi o trudnościach i przeszkodach, które będziemy musieli pokonywać. Tych trudnych zadań nikt za nas nie wykona. A jeśli chcemy je w pełni urzeczywistnić, to musimy poczuć się też w pełni od-

ZGODNIE Z OCZEKIWANIAMI

człowieka i narodu, każdej polskiej rodziny”.

Dzielię się swoimi uwagami na gorąco, w kilka godzin po wysłuchaniu referatu Biura Politycznego, mając przed sobą wtorkowe wydanie „Trybuny Ludu”, z tekstem tego referatu. Wybieram więc z ogromu myśli i spraw te, które wydały mi się najważniejsze. Mam wszakże świadomość, że będą one wzbogacone o dyskusję zjazdową, jak też o nasze własne przemyślenia i doświadczenia.

Na VIII plenum KC PZPR w 1971 roku wysunięta została teza, że „partia kieruje a rząd rządzi”. Dziś z perspektywy 9 lat można dokonać oceny, jak ta zasada była realizowana w praktyce. „Doświadczenie potwierdza — powiedział Edward Gierek z trybuny zjazdowej — słuszność tej formuły, ale przemawia jednocześnie za bliższym jej sprecyzowaniem”. Chodził bowiem o to, aby nie zastępować władz administracyjnych, nie odbierać im samodzielności, stwarzać możliwości dla rozwijania ich inicjatyw, ale też nie wypuszczać spod kontroli, partia powinna czuwać nad tym, czy administracja sprawnie realizuje jej politykę.

„Zasada „partia kieruje” oznacza, że najważniejsze instancje partyjne ustalają linię kierunkową polityki państwowej we wszystkich dziedzinach życia, a także wypowiadają się w sprawie konkretnych decyzji o ważnym znaczeniu społecznym. Dbając o samodzielność władz państwowych i pobudzając ich inicjatywę, instancje partyjne przy współudziale instytucji przedstawicielskich i or-

KC PZPR wysuwa pod nasze rozważania cały szereg problemów, które wiążą się z szeroko pojętym rozwojem demokracji. Mowa jest tam m. in. i o potrzebie doskonalenia metod działania samorządów, chodzi bowiem o to, aby samorządy we wszystkich swych formach skutecznie i pełnie oddziaływały na różne dziedziny życia społecznego i gospodarczego.

„Konstytucja PRL — mówił z trybuny zjazdowej Edward Gierek — podniosła samorząd do rangi jednej z podstawowych zasad ustroju politycznego w naszym kraju. Ma to szczególne znaczenie w procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Zgodnie z tą zasadą we wszystkich dziedzinach życia społecznego zostały ukształtowane formy samorządu zapewniające obywatelom oraz załogom zakładów pracy możliwość bezpośredniego wpływu na sprawy, które ich dotyczą i obchodzą”.

Chodzi więc o to, aby te szeroko zakrojone formy samorządności były w pełni wykorzystywane, aby poprzez ich działanie ludzie uczyli się odpowiedzialności, sami starali się rozwiązywać te wszystkie sprawy, których rozwiązanie leży w ich możliwościach. Chodzi również o to, aby „żelazni działacze”, obciążeni wielością funkcji, nie mający przez to na nie czasu, nie odbierali inicjatywy innym, aby nie hamowali ich swoją „zachłannością” możliwości działania. Chodzi wreszcie o to, aby poprzez społeczną krytykę wyrażać potrzebę doskonalenia polityki kadrowej, gdyż — jak to stwierdza się w referacie — „utrzy-

powiedzialni za to, co się wokół nas dzieje. A tego właśnie nie powinniśmy się uczyć w toku kształtowania, rozwijania i doskonalenia wszystkich form naszej demokracji socjalistycznej.”

W pierwszej kolejności — stwierdza referat Biura Politycznego KC PZPR — trzeba usunąć z obecnie obowiązującego systemu te elementy, które utrudniają realizację stojących przed nami zadań. Chodzi zwłaszcza o to, by system ten zapobiegał dysproporcjom w rozwoju gospodarki, by przeciwdziałał tendencjom do preferowania ilościowych wskaźników produkcji...”

Referat stwierdza, że zmiany w systemie ekonomicznego i organizacyjnego działania w gospodarce muszą być dokonane do 1983 roku. To stwierdzenie tym bardziej zmusza nas do odpowiedzialnego podejścia do spraw gospodarczych, do udziału każdego z nas w ich doskonaleniu, usprawnianiu. Te odpowiedzialności powinny kształtować w nas systematycznie rozwijana zasada samorządności, jako szkoła współdziałania w tworzeniu społeczeństwa rozwiniętego socjalizmu.

Wybrałem kilka spraw z bogatego ich zestawu, zawartego w referacie Biura Politycznego KC PZPR. Myślę, że każdy z nas znalazł coś, co bliskie jest jego uwagom, spotrządził, niepokojom i nadziejom. I również w dyskusji, której z uwagą się przysłuchujemy, znajdziemy wiele spraw nam bliskich, bo o takich mówi się na VIII Zjeździe PZPR.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAN (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zast. redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespoł: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELA, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (foto-reporter), BOGDA MADEJ, ANNA J. MAŁCZAK, JERZY KZYMCZYŃSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), Stole współpracują: IAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, JADWIGA BŁACHNICKA, ADEUSZ CHROŚCIEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPARSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

BOHATEROWIE
NIE SĄ ZMĘCZENI

Są skromni, jak na bohaterów politycznych przystało. Powiadają: — To nie tylko my, to sukces zbiorowy, dzieło dziesiątków, setek ludzi. Bezspornie, zrobiliśmy sporo, ale przed nami — jeszcze więcej do zrobienia. Każdy rok jest trudniejszy od poprzedniego...

Rok 1980 ustawił przed 3200-osobową załogą Foniki wysoką produkcję poprzeczkę. Rzecz nie tylko we wzroście ilościowym, lecz i w dalszych przemianach jakościowych.

Produkcja zakładu ma osiągnąć w tym roku wartość 1 mld 845 mln zł, na którą mają się złożyć przede wszystkim gramofony — 540 tysięcy sztuk — i wzmacniacze — 50 tysięcy — jak również wiele części zamiennych, setki tysięcy części i elementów telewizyjnych, w tym sporo części dla Polkoloru.

Dostawy na rynek krajowy wzrosną w porównaniu z rokiem ubiegłym o ponad 50 mln zł, a obejmą m. in. 200 tysięcy gramofonów oraz 10 tysięcy wzmacniaczy. Wśród nich będą m. in. najnowsze wzmacniacze typu WS-302 i WS-501, a także nowe wersje Bernarda, Emanuela, Artura Stereo i Campingu Stereo. Zgodnie też z wolą krajowej klienteli, otrzyma ona mniej niż dotychczas gramofonów popularnych, więcej zaś sprzętu reprezentującego klasę średnią i najwyższą — Hi-Fi.

O skali zadań produkcyjnych niech zaświadczy jeszcze fakt, że katalog bieżącej produkcji zakładu obejmuje prawie 50 tysięcy różnych pozycji materiałowych, sama zaś fabryka uwikłana jest w różne powiązania z 500 dostawcami i kooperantami. O tym zaś, jak ta współpraca się układa, daje pojęcie autentyczna propozycja jednego z partnerów, który na monit w sprawie zalegającej dostawy odpowiada, co następuje. — Dobrze, podeślę wam pięć tysięcy silników. Tylko warunkiem: żadnych reklam! Sami sobie sprawdzicie i wybiierzcie dobre. Co gdy będą niesprawne? To już wasze smartwenty! Przykład znamienny, bo nie odosobniony. Coraz częściej ludzie z Foniki, zamiast produkować, muszą naprawiać i poprawiać po innych.

A na realizację planów produkcyjnych rzecz się nie kończy — mówi dyrektor naczelny Foniki — mgr inż. Józef Napieracz. — Nie możemy dać się zaskoczyć, musimy nie tylko nadążać za potrzebami odbiorców, lecz coraz bardziej je wyprzedzać. Skąd też nasi konstruktorzy pełne wciąż mają ręce pracy...

W gabinecie głównego elektronika — inż. Jana Kędziora, oglądamy prototypowe wzmacniacze, które za kilka dni zaprezentowane zostaną w Paryżu na słynnym Salonie Dźwięku. Są to zupełnie nowe — zminiaturyzowane i ulepszone w stosunku do poprzednich — konstrukcje, o całkiem też nowym wystrój estetycznym. — Jest pan pierwszym człowiekiem z zewnątrz, który je ogląda — uśmiecha się inż. Kędziora. — Nasz francuski partner zażył się z nami, abyśmy zaprezentowali coś całkiem nowego, zostawiając nam na wykonanie tych modeli aż cały miesiąc.

W pracowni plastycznej stoją też — skrzętnie przed postronnymi osobami ukryte — trzy modele nowej zupełnie generacji gramofonów klasy Hi-Fi, od których trudno wprost oderwać oczy. Jeśli by Daniela — powiedzmy — porównać z eleganckim i solidnym Mercedese, to nowy gramofon przypomina przepyszne dynamiczne Ferrari.

W pracowni konstrukcyjnej mgr inż. Stefana Skoczka — gotowe rozwiązania nowych układów napędowych, które eliminują pośrednictwo wszelkich przekładni, pasków i wałków. Napęd bezpośredni w dwóch wersjach: silnik linowy i silnik krokowy. Efekt? Jeszcze większa niezawodność i żywotność, a i dalszy, ogromny krok w stronę Hi-Fi, gdyż różne tam kłopoty z dźwiękiem, szumy i inne wewnętrzne zakłócenia zostaną ograniczone do minimum. Wiem, że były prowadzone nie tak dawno negocjacje na ten temat z japońskimi firmami, a tu tymczasem — własne oryginalne opracowania. — Jak to się stało? Naprawdę nie mieli nam do zaoferowania zbyt wielkich rewelacji — stwierdzają konstruktorzy.

W Izbie Tradycji i Perspektyw, wśród innego sprzętu, gotowy prototyp stołu reżyserskiego, czyli tzw. konsoli mikerskiej. — To? Na wszelki wypadek. Gdyby coś się załamało na naszych rynkach, mamy kolejną konkretną propozycję — wyjaśnia dyr. Skoneczny.

Obok odbiornika telewizyjnego — duże pudło tajemniczego urządzenia, przypominającego nieco gramofon. To gramowid, czyli aparat do odczytywania obrazu — z dźwiękiem i w kolorze — zapisanego na płycie. Mają już w Fonice nowy jego model — mniejszy, ładniejszy. Wolą jednak o nim nie mówić. Trochę za wcześnie, a poza tym całkiem to odrębny rozdział w pracy zakładu. Przedwcześnie? Chyba nie — odpowiedź, po mni, że nie tak dawno przecież nazywano jakże dziś powszechną stereofonię — pieśnią przyszłości...

ureczywistnienie umożliwiło wykonanie skomplikowanych narzędzi do produkcji sprzętu klasy Hi-Fi. Wprowadził tu np. obróbkę narzędziami diamentowymi, szlifowanie profili i koordynację, elektrodrażenie matrycy i elektrotechniczną obróbkę elementów.

JANUSZ JONSKI — mgr inż. elektronika. Zaczynał pracę zawodową w Fonice w 1965 roku jako 25-letni konstruktor. Dziś jest zastępcą głównego elektronika. Opracował m. in. koncepcję konstrukcji pierwszych wzmacniaczy klasy Hi-Fi — typu PA-107, PA-1801, PA-1201 — wytwarzanych początkowo tylko na eksport do Francji, a następnie również na rynek krajowy. Stworzył koncepcję zunifikowanej, modułowej konstrukcji układu elektrycznego następnej generacji wzmacniaczy — typu PA-2511, PA-2512, PA-3511, PA-4511 — produkowanych na eksport do Francji i Hiszpanii, a od tego roku również na rynek krajowy. Także i nowoczesny wystrój plastyczny wzmacniaczy jest jego współautorstwem.

JAN KEDZIORA — inżynier elektryk, pełni dziś funkcję głównego elektronika, zaś związany jest z Foniką od 1952 roku, kiedy to — mając 18 lat — podjął tu pracę w charakterze mistrza. Eksportowy sukces zakładu w dziedzinie wzmacniaczy Hi-Fi jest w sporej mierze jego zasługą: sporządzał założenia techniczne i ekonomiczne wielu wyrobów, nawiązywał kontakty, prowadził negocjacje i ustalenia techniczne z renomowaną firmą francuską Thomson, które doprowadziły do utrzymania się od kilku lat ścisłych kontaktów kooperacyjnych i handlowych. Uruchomienie produkcji — w blaskawym tempie, bo w niespełna rok — masowej produkcji ostatnich modeli wzmacniaczy na rynek francuski i hiszpański zawdzięcza zakład m. in. jego koncepcji zunifikowanej konstrukcji mechanicznej, pozwalającej na wytwarzanie za pomocą tego samego zestawu narzędzi całej rodziny wzmacniaczy.

MAREK MIERZWIŃSKI — mgr inż. mechanik, zastępca głównego technologa, najmłodszy w zespole — nie skończył jeszcze 30 lat. M. in. jest współtwórcą technologii produkcji części i współautorem założeń technologicznych wzmacniaczy i gramofonów Hi-Fi. Wprowadził wiele innowacji technologicznych, które przysporzyły wieloset tysięcy oszczędności w złotych dewizowych, a wśród nich — metodę tzw. doglądania oraz utwardzania powierzchniowego osiek i wałków, jak również zastosowanie farb krajowych do sitodruku.

STEFAN SKOCZEK — mgr inż. elektronik, kierownik pracowni konstrukcyjnej, w której jako 24-letni konstruktor zaczął swoją pierwszą pracę zawodową w 1965 roku. Realizował m. in. w swojej pracowni wiele tematów związanych z produkcją sprzętu elektroakustycznego Hi-Fi, z których najważniejszym było ostatnio przygotowanie do seryjnej produkcji gramofonu Fonica 1100. Od pewnego czasu wraz z zespołem pracuje nad konstrukcją nowoczesnego układu napędowego, który będzie zastosowany w nowej rodzinie gramofonów.

ANDRZEJ SKONECZNY — inżynier mechanik, zastępca dyrektora ds. technicznych. Przeszedł do Foniki w 1952 roku — mając 21 lat — gdzie przepracował pierwszych pięć lat jako technolog. Potem kierował zespołem i sekcją technologiczną, pracował jako zastępca głównego technologa i głównego inżyniera, ostatnio zaś — jako główny technolog zakładu. Opracowywał m. in. technologię pierwszych gramofonów i wzmacniaczy. Był pełnomocnikiem zakładu ds. gramofonu ze wzmacniaczem na licencji Telefunken, którego wdrożeniem do produkcji kierował. Wprowadził taśmowy montaż gramofonów, jak również m. in. współprojektował specjalistyczne stanowiska robocze, gniazda obróbkowe, zespoły taśm montażowych. Jest autorem kompleksowego opracowania przedsięwzięcia technologicznego, niezbędnych do uruchomienia produkcji wzmacniaczy z grupy PA i gramofonów z grupy G-600 i G-1100.

PIOTR KALIEDNA



który od lat paru autentycznie kształtuje rynek, rozbudzając jego coraz to większe potrzeby. Zasada prosta: zaprezentować wyrób nowszy, ciekawszy i lepszy, zanim się ten poprzedni, nowy i znakomity, opatrzył i znudził. Cóż, żeby wszyscy producenci pojmwali tak swoje powinności względem krajowego rynku.

Przerwijmy na tym powtórkę z historii Foniki. Miała ona z konieczności charakter skróty i fragmentaryczny. Nie sposób bowiem w tak szerokiej ramach pomieścić wszystkich sukcesów i niepowodzeń, wersji, wyrobów, serii pilotowych i przemysłowych, zobrazować wszystkich wysiłków załogi i poszukiwań konstruktorów.

Swoistym aneksem do tej historii niechaj będą — równie pobieżne — sylwetki laureatów Nagrody Miasta Łodzi, których życiorysy — nie tylko zawodowe spłoty się tak silnie z historią zakładu, zwłaszcza zaś z jej rodzajem najnowszym — próbie dorównania światu w konkurencji zwaną Hi-Fi — High Fidelity, czyli wysoka jakość dźwięku, jakiej domaga się i u nas coraz szersze rzesze użytkowników sprzętu elektroakustycznego.

CZAS NA PREZENTACJE

WITOLD BOHDZIUN — mgr inż. mechanik, od pięciu lat główny konstruktor Foniki. Wybitny specjalista o barwnej biografii zawodowej, którą zapoczątkował w roku 1954 jako 21-letni radiotelegrafista w Wileńskim Centralnym Telegrafii. Jest m. in. twórcą koncepcji gramofonu Daniela, w którym po raz pierwszy zastosowana została sterowana sensorami automatyka ramienia, jak również nowa konstrukcja, polegająca na wspólnym, sztywnym zawieszeniu ramienia i talerza niezależnie od obudowy. Opracował też koncepcję nowego rodzaju napędu, stosowanego w gramofonach tak Hi-Fi, jak i popularnych. Jest również autorem koncepcji innych typów gramofonów, jak G-601A, G-600C i WG-900, czyli Artur Stereo.

LEON BOHDANIUK — mgr inż. mechanik. Od początku, od roku 1964 pracuje w Fonice, gdzie zaczął jako 23-letni technolog. Obecnie pełni funkcję głównego specjalisty ds. gospodarki narzędziowej. Jest m. in. współtwórcą nowych technik i technologii wytwarzania wielu wyrobów. Na swoim koncie ma m. in. program modernizacji narzędziowni, którego

Sprzęt elektroakustyczny staje się więc programową specjalnością zakładu, który rozpoczyna również wytwarzanie podzespołów telewizyjnych do Bełwedery, a także różnych detali radiotechnicznych.

W 1959 roku fabryka dostarcza na rynek krajowy ponad 180 tysięcy gramofonów, w rok później — 232 tysiące, w 1961 roku — 273 tysiące, a w następnym — 310 tysięcy. Zapotrzebowanie na nie jest duże. Zwłaszcza, że wchodzi do produkcji nowe typy gramofonów, a wśród nich eksportowy G-300 i czterobiegowy G-410 Maestro.

Jest to zresztą rok szczególnie pracowity. Konstruktorzy — wybierając daleko do przodu w stosunku do rodzinnych potrzeb — podejmują pracę nad uruchomieniem produkcji pseudostereofonicznych zestawów Dueton i Mimoza.

OD „BAMBINO”
DO „DANIELA”

W 1963 roku pojawia się na rynku Bambino gramofon walizkowy ze wzmacniaczem — oparty o najnowszą zwłoczenie techniczną przewody drukowane. W zakładzie opracowany zostaje nadto pierwszy w kraju gabinecikowy — jak się wówczas mawiało — zestaw stereofoniczny WG-260f o nazwie Stereofoon, któremu konstruktorzy dodają wkrótce do towarzystwa Mimozę (WG-270), czyli gramofon ze wzmacniaczem, służący do odtwarzania płyt monofonicznych systemem pseudostereofonicznym.

27 lutego 1964 roku — a więc zeszłaście lat temu! — Express Włocławski drukuje sensacyjną wiadomość pt. Polski adapter stereofoniczny wyprodukowany w Łodzi, z której cały kraj się dowiada, że Fonika uruchomiła przemysłową produkcję zestawu stereofonicznego WG-260f, czyli Stereo 260. Jest to więc stereofon, tyle że nie w próbie, już, lecz rynkowej wersji. Gramofon i wzmacniacz oraz dwa oddzielne głośniki.

Express utyskuje wprawdzie, że głośniki... za duże, a i cena zawrotna, bo... 5000 zł za całość, lecz pociesza czytelników, iż zakład zamierza wprowadzić na rynek gramofon stereofoniczny w wersji popularnej — nową Karolinę. Nie zapomina przy tym podkreślić, że tak w ogóle cała sprawa to pęta przyszłości, gdyż w kraju nie produkuje się jeszcze płyt... stereofonicznych.

Rok ten jest dla zakładu przełomowy również i pod innym względem: w fabryce wybucha groźny pożar, który na zasadzie szczęścia w nieszczęściu — przyspiesza decyzję o postulatowanej od dawna rozbudowie.

1965 rok — to kolejne nowe wyroby, po części w seriach próbnych: zestawy elektroakustyczne WG-430 Luxoton, WG-255 Monoton i WG-280 Dueton, a także gramofon baterijny jednobiegowy WGB-100, czyli Bratek. Uzany został ten ostatni za wyrób nieudany, aczkolwiek, do dziś cieszy się szacunkiem handlarzy płyt i pocztówek dźwiękowych, którzy mogą dzięki niemu na świeżym — i bazarowym — powietrzu prezentować swój towar.

W 1967 roku w Fonice rodzi się pierwszy wzmacniacz zdolny sprostać ówczesnym wymaganiom Hi-Fi. Jest to wzmacniacz W-600, pracujący z gramofonem G-600.

W rok później w nowym gmachu produkcyjnym przy ul. Wroblewskiej rozpoczyna się uruchamianie produkcji nowoczesnego gramofonu G-500, opartej na dokumentacji licencyjnej Telefunken.

Wszystko to jednak — jeszcze na zasadzie prototypów i serii próbnych, gdyż podstawę produkcji stanowi nadal popularny — żeby nie rzec, prymitywny — gramofon monofoniczny. W 1968 roku z dużej sukcesu poczynają się uruchomienie produkcji gramofonu walizkowego WG-262, czyli kolejnej wersji oślawionego Bambino.

Rynek bowiem nie jest jeszcze przygotowany, klient — wymagający i wybredny, władza też nie naciska. Fonika — mimo to — nie zaspia gruszek w popiele, chce wyprzedzić gony i apetyty.

W 1971 roku zaczyna się rodzina Hitów, które błyskawicznie podbijają rynek. W 1972 roku monofoniczny protoplasta roku, czyli WG-400 — lekki, zgrabny, estetyczny — Mister Hit zaliczony zostaje do 100 najlepszych wyrobów rynkowych roku. Nie trzeba go przedstawiać: jest na tyle młody, że pamiętają go nawet najmłodsi. Wkrótce trafiają na rynek następne jego wersje: WG-401, WG-402, a także — już w 1973 roku — Stereo Hit, który zagroził wyraźnie produkowanemu już wcześniej gramofonowi ze wzmacniaczem i zmieniaczem płyt WG-580f. W roku 1973 światło dzienne ujrza również i inne wyroby, a wśród nich gramofon klasy Hi-Fi — słynny G-601, na którego bazie powstał gramofon ze wzmacniaczem typu WG-610f, czyli na długo szlagier handlowy — Fonomaster.

Prymat temu znakomitemu wyrobowi odbiera ostatnio sama zresztą Fonika, podejmując produkcję gramofonu G-1100, a więc sensorowego Daniela, któremu dodała potem wzmacniacz, składając go w rewelacyjną całość o nazwie Fonica 1100.

Sprawdzona to metoda zakładu,

Nikogo dziś nie jest w stanie zaskoczyć anegdotyczna wręcz sytuacja, w jakiej znalazł się swego czasu pewien Polak, który nabył w Paryżu supernowoczesny i horrendalnie drogi zestaw stereofonicznego sprzętu elektroakustycznego, firmowany bodaj przez Brandta. Wracając z placówki dyplomatycznej do kraju, zabrał ze sobą ów najcenniejszy nabytek i sprost niebawem przyjaciół na słuchanie płyt gramofonowych. Dumny niczym paw strzelał przyciskami, błyskał wskaźnikami, suwał i pokręcał potencjometry, wypiewując hymny pochwalne na cześć zachodniej cywilizacji. Do czasu. Do czasu, kiedy jeden z zebranych wyłuskał z meblówki elegancką skrzynkę wzmacniacza, aby odsłuchać na jego tylniej ścianie skromny napis: *Made in Poland — Unifon-Fonica*. — To my potrafimy coś takiego zrobić! — zakrzyknął się właściciel, a w niedługim czasie później kłął na czym świat stoi, kiedy identyczny wzmacniacz — jak ten, ciężko opłacony dewizami i z mozołem targany zza granicy — spotkał na stoisku radiotechnicznym Uniwersalu.

Thomson, Dual, Philips, Braun, Scott, Ortofon, Elac, Pathe Marconi, Celestion, Goodman, Shure, Tenorel, Perpetuum-Ebner, Whardale, Telefunken, Fonica, Tak, Fonica.

Łódzkie Zakłady Radiowe Unifon-Fonica stały się dziś producentem, którego nazwę można wymienić jednym tchem wśród nazw najbardziej renomowanych firm zagranicznych, wytwarzających sprzęt elektroakustyczny.

Świadomość ogromnego skoku jakościowego, jaki dokonał się w tym ambitnym przedsięwzięciu, jest udziałem każdego chyba z nas, gdyż gramofony i wzmacniacze, jak i inne tego typu urządzenia, weszły już na dobre do powszechnego wyposażenia naszych mieszkań, stając się jednym z wielu wykładników poziomu jakości życia.

TROFEUM DO KOLEKCJI

Fonica ma na mapie przemysłowej kraju ugruntowaną pozycję. Włókiennicza Łódź jest niewątpliwie dumna z tego reprezentanta przemysłu maszynowego, który przed 35 laty zaczął wstawać w jej gospodarstwie. Dala wyraz temu ostatnio, przynajmniej jedyną tegoroczną zespołową Nagrodę Miasta Łodzi inżynierom z Foniki: Witoldowi Bohdziunowi, Leonowi Bohdaniukowi, Januszowi Jonskiemu, Janowi Kędziorze, Markowi Mierziwińskiemu, Stefanowi Skoczce i Andrzejowi Skonecznemu. Zespół otrzymał to wyróżnienie za osiągnięcia w dziedzinie rozwoju sprzętu „Hi-Fi” — gramofonów i wzmacniaczy.

— Nagroda dla nas — mówi w imieniu zespołu inż. Andrzej Skoneczny — jest wyróżnieniem dla całej załogi, dla naszego zakładu. Jest ono zresztą szczególnie miłe, wręcz symboliczne: Łódź jest przecież miastem włókienniczym, na których tle my stanowimy zdecydowaną mniejszość.

Nagroda ta jest kolejnym trofeum, których w ostatnich latach zdobył zakład wiele. Nazbierało się tego sporo — część jest wyeksponowana w zakładowej Izbie Tradycji i Perspektyw. Izba ma zresztą charakter szczególny: z jednej bowiem strony — zastępuje zakładową wzorcownie, z drugiej zaś — jest swoistym muzeum historii polskiego gramofonu. Na pokazanie wszystkich wyrobów, które się na nią składają, nie starczyłoby miejsca. Może to i dobrze, gdyż eksponaty tym dobitniej przemawiają do wyobraźni: każdy z nich, to znaczący etap rozwoju, wręcz kamień milowy w dziejach naszego przemysłu elektrotechnicznego.

POWTOŹKA Z HISTORII

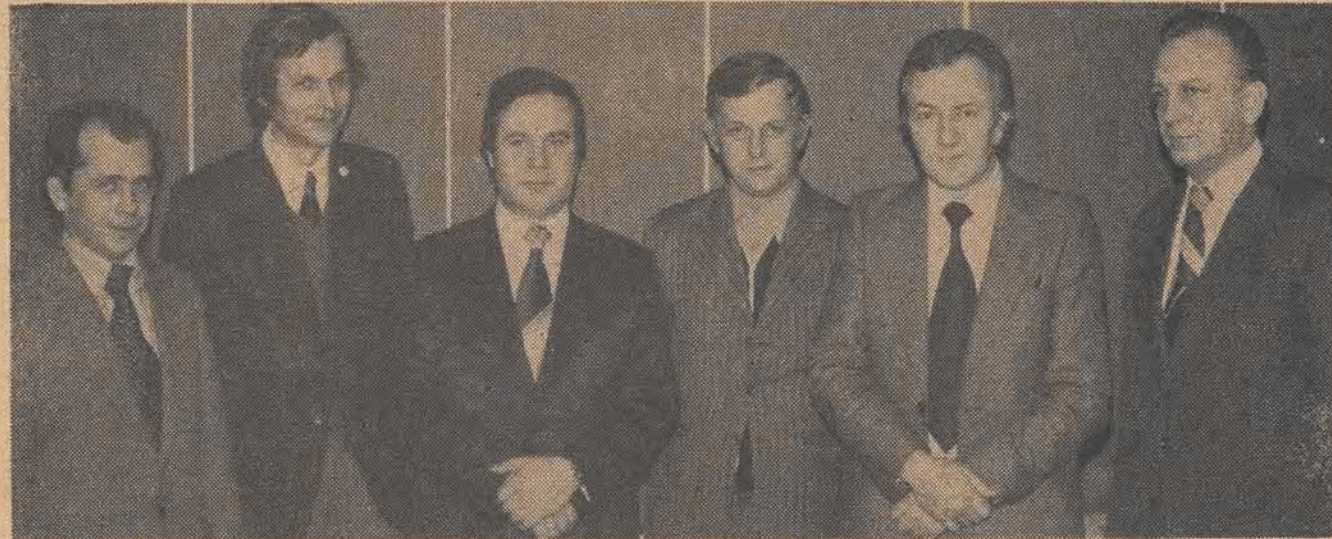
W marcu 1945 roku rodzi się Fonika jako Łódzka Fabryka Państwowych Zakładów Tele i Radiotechnicznych w Warszawie rozlokowana w czterech bodaj punktach miasta, a podejmująca produkcję głównie aparatów i kondensatorów telefonicznych. W grudniu 1948 roku w efekcie reorganizacji fabryka otrzymuje status samodzielny i nazwę Zakładów Wytwarzających Aparaturę Telefoniczną, specjalizujących się nadal w produkcji aparatury łącznościowej i sprzętu elektrycznego.

Przełomowy jest rok 1954, w którym przedstawiciele załogi wlozą do stołnicy pierwszego 30 sztuk pierwszego powojennego gramofonu elektrycznego. Otrzymał on symbol GE 53, co się pewnie dawno odczytało jako gramofon elektryczny model 1953.

Pamiętamy doskonale to cudo techniki: jego wielką drewnianą skrzynkę z półokrągłą, odsuwana w górę kłapa. Puszył się później w niejednym domu obok naszych pierwszych radiolodów: Stolicy, Woli, czy Pioniera, nie mniejszą wówczas niż one duma napawając ich szczęśliwych posiadaczy. Różne Ciche wody, Brzydula i rudzielce płynęły za jego sprawą z głośników, niosąc również szumy i trzaski krzesane z maszynowych bakaliowych krąków topornymi łąkami.

A potem — w 1958 roku — nieporównanie już większy sukces: wprowadzenie na rynek nowoczesnego gramofonu ze wzmacniaczem i głośnikiem w jednej obudowie, który ochrzczono wdzięcznym imieniem Karolinka.

I tak fabryka oddolnie niejako doraża się swej specjalizacji, która i odgórnie zostaje uznana na dobre w roku 1958, kiedy to produkcję aparatów telefonicznych przejmują Radom. Zdecydowanej zmiany profilu towarzyszy też zmiana nazwy przedsiębiorstwa. Mamy już Łódzkie Zakłady Radiowe T-4, które włączone zostały w rok później do nowo utworzonego Zjednoczenia Przemysłu Elektrotechnicznego i Teletechnicznego Unifona.



Nagrodzony zespół Foniki, od lewej: mgr inż. Leon Bohdaniuk, mgr inż. Stefan Skoneczny, mgr inż. Witold Bohdziun, mgr inż. Janusz Jonski, inż. Jan Kędziora, inż. Andrzej Skoneczny. Brak na zdjęciu magistra inżyniera Marka Mierziwińskiego.

Foto: R. Łucyszyn

OSTATNI SKRAWEK

Kombinat Maszyn Włókienniczych i Hydrauliki Siłowej „Polmatex-Wifama” powstał przed dwoma laty. W jego skład wchodził Włókienniczy Fabryka Maszyn Włókienniczych „Wifama” Zakłady Hydrauliki Siłowej Zakład Odlewniczy i Zakład Przemysłu Precyzyjnego, a także Ośrodek Badań i Rozwojowy i biuro handlu zagranicznego „Varimex-Wifama”.

Kombinat zajmuje obszar kilkudziesięciu hektarów z czego ponad 23 hektary — to powierzchnia produkcyjna, na której pracuje załoga, licząca obecnie przeszło 6000 osób. Połowa załogi kombinatu to pracownicy Włókienniczej Fabryki Maszyn Włókienniczych „Wifama”, pełniące w nim rolę przedsiębiorstwa wiodącego.

Wartość produkcji całego kombinatu sięgnie w tym roku 2 mld 400 mln zł.

Zbóżą się na nią maszyny włókiennicze: przedziałnice i tkackie, przede wszystkim zaś automatyczne krosna członkowe, produkowane w oparciu o licencję firmy „Saurer” oraz krosna bezczłonkowe, rapierowe zwane „Polskim MAV” wytwarzane zaś w kooperacji z francuską firmą „SACM” — jak również przedziałki klasyczne, obraczkowe i przedziałki bezwzględnie: pneumatyczne i pneumo-mechaniczne. Zakłady Hydrauliki Siłowej wyprodukują szeroką gamę urządzeń m. in. różnych pomp, zaworów, regulatorów, zmienników i przekładni, przeznaczonych głównie do maszyn budowlanych i rolniczych. Zakład Przemysłu Precyzyjnego wytworzył wiele urządzeń zbiornikowych i maszyn spożywczych, przede wszystkim dla przemysłu tłuszczowego, spirytusowego oraz przetwórstwa owocowo-warzywnego.

Prawie połowa produkcji kombinatu przeznaczona jest na eksport, z czego spora część dla odbiorców z drugiego obszaru płatniczego. Utrzymywanie się na rynkach zagranicznych jest możliwe dzięki konsekwentnemu przestrzeganiu zasady systematycznej modernizacji wyrobów, co w przypadku „Wifamy” wyraża się „odnawianiem” produkcji średnio co pięć lat. I tak uruchamiana jest obecnie produkcja nowego całkowicie nowego typu automatycznej przedziałki „PH 12” o lepszych parametrach i większej wydajności. Jest też nowe krosno typu „KA”, które wyeliminować ma w przyszłości krosna członkowe typu „Saurer”. Trwa również wdrażanie do produkcji amerykańskiej licencji „Sunstrand” noszącej nowe całkowicie rozwiązanie hydrauliki siłowej. Z innych przedsięwzięć warto wymienić poczynania, które — na przykład — zmniejszyły z 45 do 8 proc. udział francuskich elementów w krosnach „MAV”.

Kombinat — jeden z największych tego typu w Europie — dostarcza dziś wielu przykładów najnowocześniejszych rozwiązań organizacyjnych, technologicznych i technicznych, stanowiąc zarazem ilustrację ogromnych przemian, jakie zaszły i zachodzą w naszym przemyśle maszynowym.

Prawdziwą — na przykład — chluba załogi jest nowoczes-

ny zakład odlewniczy, którego budowę na terenie „Wifamy” podjęto w 1975 roku, zaś etapowe przejmowanie inwestycji rozpoczęło się na przełomie 1977 i 1978 roku. W roku obecnym nowa odlewnia osiągnęła pełną zdolność produkcyjną — ponad 16 tys. ton odlewów rocznie, z czego tylko część przeznaczona jest na potrzeby własne, zaś prawie 12 tys. ton odlewów otrzymywać będą inne branże, m. in. przemysł maszyn rolniczych i motoryzacyjny.

Nowa odlewnia żeliwa — zatrudniająca już 1000 osób — jest jednym z czterech największych i najnowocześniejszych zmechanizowanych zakładów odlewniczych (Śrem, Skłęczki, Koluszki i Łódź), wybudowanych w ostatnich latach w naszym kraju. Wzniesiona i wyposażona kosztem półtora miliarda złotych odlewnia charakteryzuje się pełną mechanizacją procesów wytwórczych i pełną automatyzacją sterowania produkcją. Od pozostałych trzech zakładów różni się przede wszystkim tym, że nowoczesne linie i urządzenia — głównie zachodniemieckie i szwedzkie — wkomponowane tu zostały w całość polską. Tak bowiem projekt zakładu, jak i spora część jego wyposażenia, są rodzimego autorstwa.

Osiągnięcie pełnej zdolności produkcyjnej przez tego nowoczesnego kolosa stanowić będzie zarazem kres bogatych dzieł starej odlewni „Wifamy”, której 250 pracowników jeszcze do niedawna wyrabiali rocznie 5 tys. ton odlewów. Stara odlewnia, której historia sięga XIX wieku, utworzona została w ramach słynnej kownowskiej „Włókienniczej Manufaktury” z myślą o potrzebach remontowych maszyn włókienniczych, pracujących w tym fabrykanckim „królestwie bawełny”. Wprawdzie na przestrzeni dziesięcioleci rola odlewni zmieniła się w zasadniczy sposób, tym nie mniej metody technologiczne i warunki pracy przetrwały do naszych czasów w kształcie niewiele zmienionym.

Współcześni nam formierze i giserzy — wspaniali fachowcy — pracują tu tak, jak pracowali ich odciołki i dziadowie.

Ostatnie to już dni „kownowskiej” odlewni, której architektura i technika mają charakter na wskroś archaiczny, wręcz muzealny. Pod naporem nowoczesności odchodzi jeden z ostatnich skrawków reymontowskiej „Ziemi Obiecanej”.

„Ostatni skrawek „Ziemi Obiecanej” — taki właśnie tytuł dał swemu filmowi reżyser Henryk Tadeusz Czarnecki, który w „Wifamie” — według własnego scenariusza, a ze zdjęciami Stanisława Siłkowskiego — realizuje filmowy dokument o ostatnich dniach starej odlewni i narodzinach jej nowoczesnej „konkurentki”. Podobne zresztą intencje przyświecały naszemu fotoreporterowi — Ryszardowi Łucyszynowi, który swoim obiektywem chciał zatrzymać to, co odchodzi na zawsze, bezpowrotnie, co jest jednym z ostatnich świadectw przeszłości naszego miasta.

J. I.

„ZIEMI OBIECANEJ”



Dalszy ciąg ze str. 1

W okresie przedwojennym wieś podlódzka była już mocno „poszatkwana”, gdyż wskutek braku stanowisk pracy w mieście, zwłaszcza w latach kryzysu, rodzice dzielili ziemię między dzieci, a drobni kupcy, urzędnicy i dobrze zarabiający majstrów kupowali sobie niewielkie działki, aby w ten sposób zyskać w oczach biedniejszych i stworzyć sobie namiastkę tego, skąd wyszli kiedyś ich rodzice. W Gospodarzu, gdzie się urodziłem, było na przykład czterech kowali. Mój ojciec, także kowal, musiał więc iść do fabryki Johna. Ale nie tylko ze względu na brak zajęcia na wsi. Musiał spłacać dług, jaki jego matka zaciągnęła na kupno oddzielnego od innego gospodarstwa „kijna” o powierzchni 1,11 ha, szerokiego na 11 metrów i długiego na kilometr, który jednak w trudnych chwilach zabezpieczał rodzinie trochę podstawowych artykułów żywnościowych.

W takim stanie zastała podlódzkie rolnictwo Polska Ludowa. Najpierw były trzy lata odbudowy, a potem plan 6-letni. Z pieśnią na ustach wydobywaliśmy się z zafocenia, tworząc kraj przemysłowo-rolniczy. Ten drugi człon istniał w teorii, bo przemysł budowała wieś. W Łodzi robili to i robią do dziś chłop-robotnicy.

Ilość tych ludzi, zwanych dziś dwuzawodowymi, gwałtownie wzrosła, i to z kilku przyczyn. Łódź potrzebowała rąk do pracy, a jednocześnie była miastem „zamkniętym”, gdyż nie miała mieszkań, przeto najchętniej korzystała z pomocy robotników dojeżdżających z pobliskich wsi.

Ponadto, co ci ludzie mieli robić na wsi, kiedy wtedy jedyną ważną sprawą, jaką podejmowano na rzecz wsi, była radiofonizacja (kolchozniki), kino objazdowe, a dopiero potem elektryfikacja. Czwartą sprawą, poczynając od 1951 roku, była kolektywizacja. Tylko, że w ramach kolektywizacji wieś miała się przeobrazić nie za sprawą nowoczesnych maszyn rolniczych, lecz dzięki agitacji. Był odgórny nakaz, aby sprzęt rolniczy produkować tylko na użytek gospodarstw uspołeczniczonych. W tym czasie w Polsce jeden ciągnik przypadał na 500 ha. W byłym powiecie łódzkim, który w dwadzieścia lat później stał się trzonem do utworzenia województwa miejskiego, istniał jeden POM w Widzewie-Zdżarach i sytuacja była jeszcze gorsza.

Naciskani ostro kuliacy — aby nie być kulkami i wywinąć się od nadmiernych kontyngentów oraz wysokich podatków — dzielili ziemię między krewnych, a potem ze względu na niskie ceny skupu, żeby jakoś wyżyć, szli do roboty w fabryce, co dodatkowo rozdrabniało podlódzką wieś i powiększało rzeszę dwuzawodowych.

W przemyśle włókienniczym wprowadziła niewiele inwestycji, ludzie pracowali w złych warunkach, na maszynach z XIX wieku, ale nie inwestowano też w łódzkie rolnictwo. Obowiązkowe dostawy, niskie ceny żywności i pozorna samowystarczalność rolnictwa pozwalały na wiele. Nie trzeba było podwyższać płac, można było eksportować produkty rolne, kupować licencje, maszyny i rozwijać inne gałęzie przemysłu.

Mój ojciec, zabezpieczając potrzeby żywnościowe dla rodziny z kawałka ziemi, gdyż płace były niskie, wystarczające na tandetne ubranie dla członków rodziny, całe życie mieszkał na wsi i pracował w fabryce. Kiedy przez pół roku umierał na raka trzustki, nikt z fabryki ani go nie odwiedził, ani nie zapytał listownie, co się z nim dzieje. Nikt wtedy nie zastanawiał się, jaką rolę w rozwoju kraju spełnia wieś, rolnictwo, a w warunkach łódzkich szczególnie chłop-robotnicy. A przecież to ich kosztem rozwinięły się i nadal rozwijają się miasta. Oni nie zajmowali mieszkań w miastach. Nie korzystali i nie korzystają ze zdobyczy socjalnych (stołówki, świetlice, wczasy). Za zarobione w mieście pieniądze budują domy, budynki inwentarskie, sami zaopatrują rodziny w żywność, a nadwyżki sprzedają państwu.

Ale ich znaczenie, tak jak znaczenie całego rolnictwa dostrzeżono dopiero po roku 1970. Smutna spuścizna jednak pozostała i pokutuje do dziś. W 1975 roku z byłego powiatu łódzkiego, kawałka pow. brzezińskiego i łęczyckiego (np. „zapyziała” gmina Parzęczew) powstało województwo miejskie łódzkie. Objęło teren rolniczo straszliwie zaniedbany, ponieważ w podlódzkie rolnictwo nie inwestowano nic, albo prawie nic, kładąc nacisk na rozwój różnych „zielonych zagłębi” jak łęczyckie, sieradzkie, łowickie.

Najmniejsze w kraju, ze 103,7 tys. ha użytków rolnych i największym zaludnieniem — 719 osób na 1 km kw. (przeciętna w Polsce — 110), przy czym ludność rolnicza stanowi tylko 6,5 proc. mieszkańców, ale gospodarstw za to co najmniej — 23 tysiące, w tym o powierzchni 0,5—2,0 ha aż prawie osiem tysięcy, co 1673 gospodarstwa o pow. 10 ha i więcej. Dane z 1976 roku mówią, że około 8 tys. właścicieli gospodarstw legitymowało się wiekiem ponad 55 lat.

W pięć lat od chwili gdy partia i rząd zaczęły inaczej patrzeć na sprawę wsi i rolnictwa, w kraju na 1 ciągnik przypadało już tylko 36 ha, a w stoletnim województwie warszawskim — 35 ha. Nowo powstałe województwo miejskie łódzkie w 1975 roku miało 1486 ciągników, w tym u gospodarzy indywidualnych było ich 430. Ogółem na 1 ciągnik przypadało w nim 77 ha.

Jeżeli do tego dodać słabe, przepuszczalne gleby, deficyt wody, nawożenie o wiele niższe od przeciętnej krajowej, dwuzawodowość oraz słabe przygotowanie zawodowe rolników, to trzeba uznać, iż ludzie odpowiedzialni na urzędzie za sprawy rolnictwa otrzymali spadek nie do

pozazdroszczenia. Wprawdzie żadna z pięciolatki nie była inwestycyjnie typowo rolnicza, trzeba jednak podkreślić, że w ostatnim dziesięcioleciu nakłady na rolnictwo były o wiele wyższe niż w poprzedzającym ten okres dwudziestoleciu. Skorzystało z tego również województwo miejskie, które w minionych latach tylko do roku 1978 włącznie przeznaczyło na rolnictwo 1.392 mln zł. Owoce tego są już widoczne. Ale czy lepsze wyniki to tylko sprawa nakładów pieniężnych?

Wiceprezydent Miasta Łodzi, inż. Lech Krowiranda, zwraca uwagę na fakty, które umykają nam na co dzień z pola widzenia.

— Nowe województwo powstało „z marszu”. Powiat był jednostką historycznie ukształtowaną, w której wychował się dobry aktyw. W gminach nie wykształcił się jeszcze taki aktyw, bo na to trzeba czasu. I dlatego ze szczególną uwagą musimy patrzeć na aktyw gminny, a przede wszystkim na naczelnika. Status naczelnika

RYSZARD BINKOWSKI

aby żyć trzeba dać

nika daje mu bardzo szerokie uprawnienia, idzie więc o to, aby on je należycie wykorzystał. Bo naczelnik to dyrektor ogromnego przedsiębiorstwa, w skład którego wchodzi gospodarstwo państwowe, spółdzielcze i gros gospodarstw indywidualnych. Tutaj obowiązuje inna organizacja pracy, inny profil zarządzania niż w zamkniętym zakładzie przemysłowym. Mnie jako wiceprezidentowi łatwiej rozdzielić na gminy uzyskane środki produkcji, ale naczelnik musi się nad tym dobrze zastanowić. Musi się opierać na sołtytach, którzy mają rozpisaną to, co się ma zrobić w gminie (w czym zresztą często wyręczają instruktorów) i kierować się własnym rozeznanie, żeby środki produkcji trafiły we właściwe ręce. Naczelnik więc powinien być „uziemiony” w gminie, gdyż tylko w ten sposób pozna dobrze jej sprawy i umiejętnie nimi pokieruje. „Uziemiony” to brzydko brzmi, a chodzi tylko o to, żeby naczelnik miał dom na terenie gminy, bo dojeżdżanie z miasta ani jemu, ani gminie na dobre nie wychodzi.

— Od czego trzeba było zacząć w rolnictwie województwa? Od maszyn czy od ludzi?

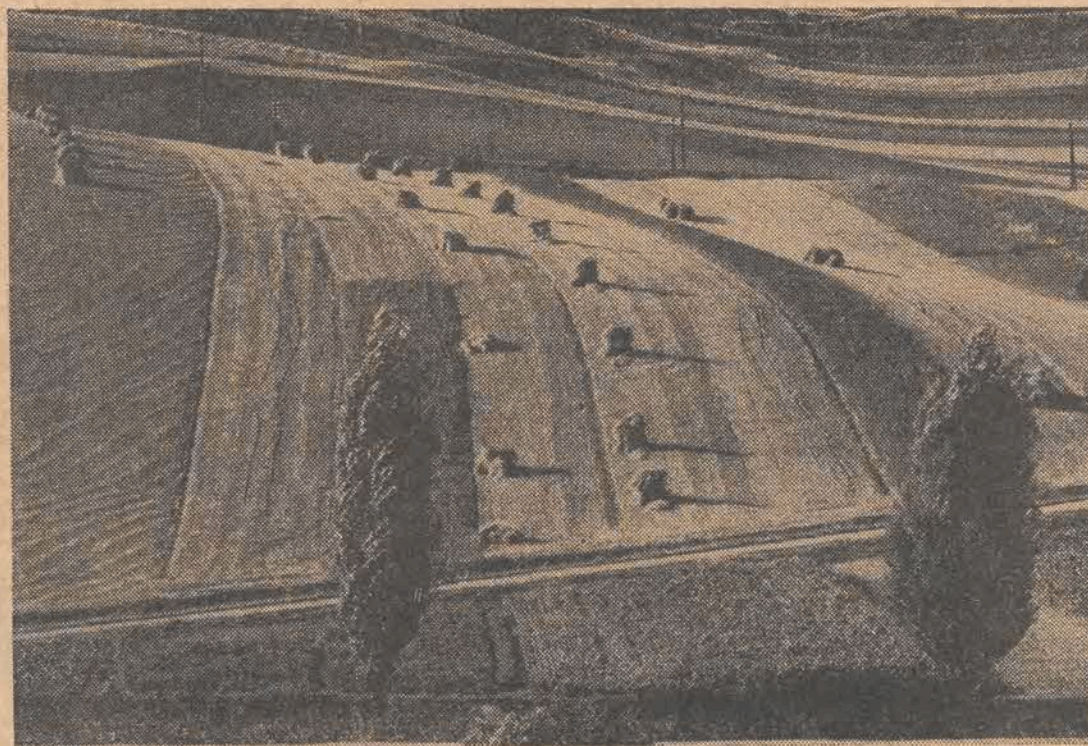
— Przede wszystkim od „a”, czyli od świadomości społecznej i wiedzy rolniczej. Przy udziale WOPR w Bratoszewicach i Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa NOT udało nam się wiele zdziałać. Na przestrzeni czterech lat wydałmy 5400 kwalifikacji rolniczych. Ranga zawodu wzrosła, toteż w filii Akademii Rolniczej w Widzewie nie można się opędzić od chętnych. A jednocześnie pozostała sprawa wyświadliwa — setki rolników nie ukończyły szkoły podstawowej. Organizujemy więc we wszystkich szkołach gminnych przyspieszone kursy. Jeżeli NOT organizuje konferencje z udziałem wysokiej klasy fachowców, to zapraszamy na nie także produkujących rolników. Na inauguracji roku szkoleniowego w Parzęczewie był obecny profesor z Instytutu Zootechniki w Krakowie. Wywiązała się bardzo żywa dyskusja i profesor dowiedział się, czego rolnicy oczekują od nauki. Mamy w tej dziedzinie niestety osiągnięcia, ale z „abc” trudno się uporać. Zawsze twierdziłem, że najtańszą inwestycją w rolnictwie jest dopilnowanie terminów zabiegów agrotechnicznych. Niestety, 30 proc. zabiegów dokonuje się jeszcze po terminie. Nie chodzi jednak o to, że owies trzeba siać w takim a takim terminie, bo tak chce urząd, ale żeby producent zrozumiał, że to jest jego obowiązek, że przyniesie to obopólne korzyści. Tylko, że dwuzawodowiec z różnych względów nie jest w stanie się wyrobić...

Myślę, że przy ostatnich słowach prezydenta warto się na chwilę zatrzymać. Otóż, woj. miejskie, jak już zaznaczyłem, legitymowało się najniższym stopniem mechanizacji. Duża ilość dwuzawodowych potrzebowała pomocy w maszynach. Zaplanowano, że w pięciolatce będzie 1 ciągnik na 50 ha. Dziś 1 ciągnik obsługuje już tylko 36 ha, samym rolnikom indywidualnym sprzedano 700 traktorów. Pod dostatkiem jest także maszyn zniwowych, łącznie z „Bizonami”, toteż ubiegłoroczne żniwa, zwłaszcza, że zaopatrzenie na usługi SKR sporządzano z udziałem sołtysów, przebiegły sprawnie. Inna

sprawa, że rolnicy sami psuli harmonogram. Robiąc sobie na złość ściągali kombajniste z pola sąsiada na swoje, nierazko za pół litra. Opieszałość nie polega na tym, że teraz rolnik wstaje do żniw późno. Po prostu kombajn może wjechać na suche pole, inaczej bowiem bębny się zapychają, a mąka z takiego mokrego ziarna też traci na wartości. Chodzi o to, żeby nie czekać, aż cały kombinat wjedzie na małą działkę. Na małej działce trzeba chwycić za kose! Ale skoszenie nie stanowi problemu. Gorzej jest ze zwózką. Duży gospodarz ma konia, drobny czeka na SKR albo na sąsiada. Paradoxs, ale mechanizacja rozluźnia kulturową od lat formę samopomocy sąsiedzkiej.

— Co robi prezydent, jeśli na gospodarce chłopskiej osiada ekonomista z wyższym wykształceniem?

— Zdarzyło się, że kierownikowi służby rolnej w jednej z gmin umarł ojciec. Ten młody człowiek oświadczył, że musi objąć gospodarkę.



zaznaczając, że jeśli mu się nie uda, to wróci do urzędu. Byłbym nieuprzedzony, gdyby wrócił. Być może państwo coś straci, gdy za gospodarstwo weźmie się magister ekonomisty, ale społeczeństwo zyska. Był on dobrze prowadził to gospodarstwo, co zresztą dotyczy wszystkich rolników. To pięciolatka i cała dekada będzie przebiegać pod znakiem pasz. Bilans paszowy musi obowiązywać w każdym gospodarstwie. Ile ja mogę sam, a ile mogę otrzymać od państwa? Jeżeli rezygnuję z paszy importowanej, dostaję premię 3 zł za każdy kilogram. Dzięki temu dewizy wydane na import mogą być przeznaczone na wodociągi, wiejskie, melioracje itp. Ale żeby mieć własne pasze, trzeba wybiegać się w rolnictwie starych nawyków. Mamy np. permanentną wyżkę pólów ziemniaków. W ciągu 4 lat średni plon 201 q/ha, chociaż było i 350 q. Plony mogą być wyższe, ale wielu starych rolników uparcie kraje ziemniaki do sadzenia. Rolnik przyzwyczaił się do azotu, a tymczasem gleby ubogie są w potas i trzeba stosować właśnie ten nawóz mineralny. Nie ma stabilizacji w planowaniu zbóż. Gleby są żłtynie, ale żyto dobrze planuje co drugi rok. Warto więc rozszerzać produkcję jęczmienia ozimego i kukurydzy. Ze zbożami wiąże się sprawa słomy. Aktualnie budujemy przechowalnię na 10 tys. ton ziemniaków, ale do przechowania jest 20 tys. ton ziemniaków i 17 tys. ton warzyw. Kłopotowanie za pomocą odpadów z przemysłu włókienniczego jest drogą. Kiedyś tania była słoma, ale kto wtedy przywiązywał wagę do słomy...?

Cokolwiek by jednak mówiono o kłopotach i bolączkach łódzkiego rolnictwa, należy podkreślić, iż mimo trudności zaszły tutaj olbrzymie zmiany. Prezydent Krowiranda mówi, że małe to województwo, ale i tutaj od ziarnka do ziarnka, a zbierze się miarka. Jedno jest pewne: pięć lat temu rolnik sprzedawał nadwyżki, a teraz produkuje na sprzedaż, nadwyżki zaś konsumuje.

Od momentu utworzenia województwa zbudowano 882 obory na 14 tys. stanowisk i 289 innych budynków inwentarskich na 5670 stanowisk. Zmeliorowano 2834 ha gruntów ornych i 279 ha łąk, założono 13 wodociągów. Przybyło wiele zakładów pracujących dla gospodarki żywnościowej. W zakładzie granulatu ziemniaczanego w Głownie, oprócz właściwej produkcji, można wykorzystywać obierki i hodować bukaty. Powstały kombinaty szklarniowe w Widzewie i Janowie, ten ostatni będzie miał wkrótce 18 ha pod szkłem. Ostatnio oddano do użytku wielką oborę w Łuźmierzu, pieczarkarnię w Dąbrówce i kurniki w Nowosolnej. Modernizując mleczarnię w Głownie stworzono prawie nowy zakład, zbudowano od podstaw mleczarnię w Pabianicach. Pięć lat temu skupuowano 68 mln litrów mleka, dziś o 22 proc. więcej. Najmniejsze województwo znalazło się na 21 miejscu w kraju pod względem globalnej produkcji rolnej.

Ponieważ mamy mnóstwo drobnych działek, warto pokazać, jak przedstawiała się produkcja z 10 arów w roku 1975 i 1979. A więc ziemniaki

WOKÓŁ BOCHNA CHLEBA

ki — 284 i 343 kg, warzywa — 50 i 66 kg, owoce — 13 i 19 kg, żywiec — 27 i 30 kg. Odpowiednio wzrósł także skup tych produktów.

Istnieje opinia, iż kryzys żywnościowy wynika m.in. z faktu, że w wielu krajach rozwijających się ludzie porzucili uprawiane działki i chcą tylko kupować żywność, za petrodolary dla przykładu. Na świecie na jednego człowieka przypada 0,5 ha, ale przy odpowiednich nakładach można uruchomić jeszcze 1,5 ha i wówczas świat będzie mógł się wyżywić. Polska także jest w stanie zlikwidować import produktów rolnych. Ze względu na najgęstsze zaludnienie, rolnictwo łódzkie nie wyprodukuje tyle żywności, żeby zaspokoić potrzeby aglomeracji. Ale i tutaj widać znaczny postęp. W roku 1979 rolnictwo zaspokajało potrzeby na ziemniaki w 39 proc., na warzywa — 45 proc., owoce — w 32 proc., mleko — w 22 proc.

— Województwo liczy 1.120 tys. mieszkańców — wyjaśnia wiceprezydent Krowiranda —

ale na wsi mieszka tylko 97 tys., z czego około jednej trzeciej pracuje poza rolnictwem. Średnia powierzchnia gospodarstwa indywidualnego wynosi 4,37 ha i nieznacznie wzrasta. Z tego wynika jasno, jak potrzebna jest wysoka mechanizacja.

— Kto więc produkuje te znaczne bądź co bądź ilości żywności?

— Na początku województwa mieliśmy 11 rolniczych spółdzielni produkcyjnych, dziś jest ich już 25. Ponadto działają duże państwowe gospodarstwa rolne i ogrodnicze. W pięciolatce sprzedaliśmy rolnikom około 2 tys. ha z PFZ. Ci rolnicy tworzą gospodarstwa specjalistyczne, które podniosą produkcję żywności. Od lipca w związku z rentami i emeryturami wypadnie z obiegu dużo gospodarstw indywidualnych. Ta ziemia pójdzie przede wszystkim w ręce dobrych rolników, najbliższych zamieszkujących, reszta musi iść na SKR. Ale gospodarstwa specjalistyczne nie mogą być wzorowane na farmach amerykańskich. Byłoby śmieszne, gdyby właściciel 30 ha i dużej obory mlecznej szedł do sklepu po rąbanek. Przecież taki hodowca bydła może z powodzeniem uchronić kilka świń, mieć swoje owoce, warzywa na użytek własny, masło, sery itp.

— Uważam, że ogromne rezerwy tkwią w gospodarstwach drobnych. I dlatego np. decyzyjną ministra właściciele działek przyzagrodowych w RSP i gospodarstwach państwowych mają prawo hodować trzodę i bydło, bo mogą liczyć na pomoc państwa. W gospodarstwach indywidualnych, do 0,5 ha, należy uruchomić hodowlę królików, produkcję szkolarską, warzywniczą, nasienną, zielarską, drobiarską. To ogromne rezerwy żywności...

Można by się zastanowić, czy jest szansa zastrzygnięcia ludzi na podlódzkie wsi. Okazuje się, że tak, i to w przemyśle rolno-spożywczym, który wifien znakomicie regulować wszelkie „kleski urodzaju” to znaczy produkować na zapas, gdy obfity jest urodzaj jabłek, rzepaku, pomidorów. I nie musi to być weale pracą sezonową, bo np. w cukrowni można korzystać z suszarni, susząc siano, zielonki, rzepak, warzywa. W podlódzkich gminach konieczne są małe, dobrze usprzętowane zakłady przetwórcze i jeden wielki zakład blisko aglomeracji.

Prezydent chciałby widzieć wszystkie obejścia we wsiach czyste, zadbane, bo to świadczy o solidności gospodarzy. Docenia ogromny trud dwuzawodowych, kobiet wiejskich, specjalistów i wyraża uznanie wszystkim producentom za wkład w postęp łódzkiego rolnictwa na przestrzeni ostatnich pięciu lat.

— Gospodarstwo chłopskie to żywy organizm, tam najdobitniej odbija się koniunktura i opłacalność. Produkcja żywności jest drogą, toteż chcąc żyć, trzeba dotować rolnictwo. Ale trzeba uważnie, z chłopską przeczornością obejrzeć każdą złotówkę. Ona musi dostać się w dobre ręce i szybko procentować. Pieniądże trzeba dać ziemi, ale nie wrzucać w błoto...

LUDZIE SPOŚRÓD NAS

— Podobna mi się ta apteka. Wnętrze z tradycyjnym wystrojem z solidnego, ściemnianego drewna, szafy i szafki, szufladki z przegródkami napisami, polki, a wszystko przesycone specyficznym zapachem mnościwa ingrediencji, leków, mikstur, ziół. To wszystko tworzy atmosferę dostojnej apteki...

— Może i tworzy, ale takie apteki już od lat umierają śmiercią naturalną. Po prostu przestały być funkcjonalne. Nasza też, która, notabene, pamięta odległe lata międzywojenne. Ten lokal i te meble nie są dostosowane do potrzeb apteki dnia dzisiejszego, do dużej przepustowości leków. Szafy są zbyt płytkie i za małe, brak zaplecza. Szczepność lokalu nastręcza trudności przy codziennym uzupełnianiu leków.

— Usytuowanie apteki na rogu ulic Piotrkowskiej i Świerczewskiego jest wprawdzie bardzo wygodne dla klientów, ale chyba stwarza aptece spore trudności w zaspokajaniu ich potrzeb.

— Rzeczywiście. Po wyburzeniu domów i likwidacji dwóch aptek: na rogu Piotrkowskiej i Nawrot oraz na rogu Piotrkowskiej i Żwirki, jesteśmy de facto jedyną apteką w tym rozległym rejonie miasta, od al. Mickiewicza aż po plac Reymonta. Wyrastają tutaj nowe bloki mieszkalne, rozrasta się Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa, a apteka pracuje wciąż na tych samych metrach kwadratowych powierzchni i, doprawdy, pęka już w szwach.

Mamy jednak nadzieję, że mimo otwarcia jeszcze w bieżącym roku apteki w nowo wybudowanym domu przy ul. Piotrkowskiej 225, Żwirki, władze naszego CEFARMU i Wydział Zdrowia UML przydadzą nam z pomocą i niebawem otrzymamy większe pomieszczenie z funkcjonalnie wyposażonym wnętrzem.

— Długo pan pracuje w zawodzie farmaceuty?

— Sporo, trzydzieści cztery lata.
— A na stanowisku kierownika?
— Trzydzieści trzy lata. Uprowadzając następnego pytanie dodam od razu, że pierwszego maja tego roku minie dwadzieścia lat od chwili, gdy objąłem funkcję kierownika w tej aptece.

— Jaki jest zakres czynności waszej apteki?
— Szerzy od przeciętnej. Realizujemy recepty na leki gotowe, prowadzimy sprzedaż odrębną leków i środków opatrunkowych, wykonujemy leki magistralne, to jest przygotowywane na receptę przepisywane indywidualnym pacjentom, łącznie z lekami sterylnymi i aseptycznie sporządzanymi lekami do oczu. Posiadamy pełne wyposażenie pomieszczeń aseptycznych. Poza tym prowadzimy również dystrybucję poszerzonego asortymentu leków rzadziej przepisywanych.

— Ile, mniej więcej, recept, realizuje apteka w ciągu miesiąca?
— Przeliczyłem załatwiamy około 35 tysięcy pacjentów miesięcznie i realizujemy, plus minus, 17 tysięcy recept na leki gotowe. Wykonujemy ponadto od 4 do 5 tysięcy leków złożonych, przepisywanych chorym indywidualnie.

— Na zapleczu widziałem kilku bardzo przejętych młodych ludzi.
— To dobrze, że przejętych. Należymy do rzędu aptek szkolnych. Podobnie jak w latach ubiegłych, prowadzimy, ja i mój zastępca, ćwiczenia z czterema grupami studentów z V roku Wydziału Farmaceutycznego, kierunku apteczno-akademii Medycznej, jak również praktyki wakacyjne po III roku studiów. Stwierdzam z przyjemnością, że z każdym rokiem studenci przychodzą z coraz większym zasobem wiedzy, są lepiej przygotowani do wykonywania trudnych i odpowiedzialnych obowiązków farmaceutów. Jak widać, stale wprowadzane korekty w zakresie nauczania dają i pozytywne wyniki.

Apteka jest także upoważniona do prowadzenia stażów dyplomowych, tak zwanej obecnie pracy pod nadzorem, którą każdy magister farmacji musi odbyć. Tylko w samej Łodzi ponad 10 procent obecnych kierowników aptek u nas odbyło staż.

— Powód do dużej satysfakcji.
— Tak, nie kryję, daje to sporo zadowolenia. Ponadto praca dydaktyczna chroni od rutynowości, a to ma już szerszy aspekt społeczny, zwłaszcza w zawodzie aptekarza.

— To dobrze, bo jeszcze dziś leki przygotowują magistrowie farmacji, ale już chyba niebawem, kiedy przemysł farmaceutyczny jeszcze bardziej rozszerzy asortyment produkowanych leków gotowych, sama czynność ich wydawania przejdzie w ręce techników farmaceutycznych, nadzorowanych przez magistrów farmacji.

— O, to muzyka przyszłości. Jeszcze dziś, mimo stałego wprowadzania dużej ilości nowych specyfików, receptura utrzymuje się od szeregu lat wciąż na tym samym poziomie. Ale — generalnie rzecz biorąc — ma pan rację. Większość czynności związanych z wykonawstwem i dystrybucją leków przejmą technicy farmaceutyczni, naturalnie pod nadzorem magistrów farmacji. Tak rzeczywiście kiedyś będzie. W aptece przyszłości każdy pacjent poradni, przychodu itp. zostanie zarejestrowany w określonej aptece, w której będzie miał swoją kartotekę. Celowość przepisanych leków będzie ściśle kontrolowana, niezależnie od tego, w jakim ośrodku lecznictwa ogólnego, specjalistycznego czy też prywatnego, zostały one zapisane i przez jakiego lekarza. To zrozumiałe, bo przecież internista, przepisując lek choremu nie wie, co przepisał mu np. neurolog. Obecny trend światowy w farmacji zmierza właśnie do powiązania chorego z apteką jego rejonu zamieszkania.

— Bardzo racjonalne.
— Tak, bo w ten sposób aktualna analiza tych kartotek, a będzie ją dokonywał magister farmacji, uchroni chorych od groźnych nieraz skutków mieszania leków. Dziś chory realizuje różne recepty w różnych aptekach i trudno go uchronić od niepożądanych skutków takiego koktajlu.

— Tylko że w tym systemie magister farmacji będzie musiał nieraz interweniować u lekarzy w sprawie zmiany leków.

— Z pewnością. To będzie jedno z jego głównych zadań.

— Nim przyszedłem do pana na tę rozmowę, kilkakrotnie zaglądałem do „pańskiej” apteki, tak całkiem incognito. Odnosiłem wrażenie, że ma pan znakomicie zorganizowaną pracę. Stwierdzenie takiego faktu niewymownie cie-

szy, ponieważ dobra organizacja pracy jest dzisiaj nieomal fenomenem.

— To wygląda na komplement.

— A komplementem nie jest. I utwierdziłem się w tym przekonaniu później, kiedy pokazał mi pan zaplecze swego warsztatu pracy. Personel bardzo liczny, sporo studentów, pomieszczenie rzeczywiście stare i niefunkcjonalne, no i moc klientów. Mimo to cały tok czynności w aptece przebiega, sprawnie, szybko, bez zgrzytów.

— No, od czasu do czasu coś tam zgrzytnie.
— Z pewnością, ale sztuka w tym, że przy czynnej odkrywaniu pan bezbłędnie i usuwa ją natychmiast. Dlatego sądzę, że praca w aptece odbywa się płynnie.

— Tak czy inaczej, najważniejsze, żeby nasi klienci mogli otrzymywać wszystkie leki przepisane przez lekarzy. To przede wszystkim! Już od lat staram się o możliwie najlepsze zaopatrzenie apteki w asortyment leków obowiązujących i, zgodnie z zarządzeniami ministerstwa zdrowia, zawsze zabiegam o uzupełnianie zamówienia. Przy nieregularnych dostawach leków pozwala to utrzymać ciągłość w zaopatrzeniu i zapobiega brakom.

Dużą wagę przywiązujemy również do pogłębiania wiedzy studentów, którzy odbywają u nas praktyki i ćwiczenia. To bardzo ważne zadanie i stworzyliśmy tu, w miarę naszych możliwości, optymalne warunki do pracy z młodzieżą. Oczywiście sami nie podałabym tym wszystkim obowiązkom, pomagają mi w tej pracy wszyscy koledzy, którzy mają wysokie kwalifikacje zawodowe i moralne. Personel apteki jest raczej ustabilizowany, część kolegów pracuje ze mną w tej aptece już kilka i kilkanaście lat.

— No, proszę, a ma pan opinię bardzo surowego szefa.

— Może raczej wymagającego?
— I to też.
— Nie wiedziałem o tym. Czyżby wpłynęły jakieś skargi?

— Nie. Wprost przeciwnie, to co usłyszałem na ten temat, można by sprezywać w następujący sposób: surowy, ale dobrze się z nim pracuje, bo ma wysokie kwalifikacje zawodowe, dużo wymaga od siebie i wie czego chce.

PARTNER LEKARZA

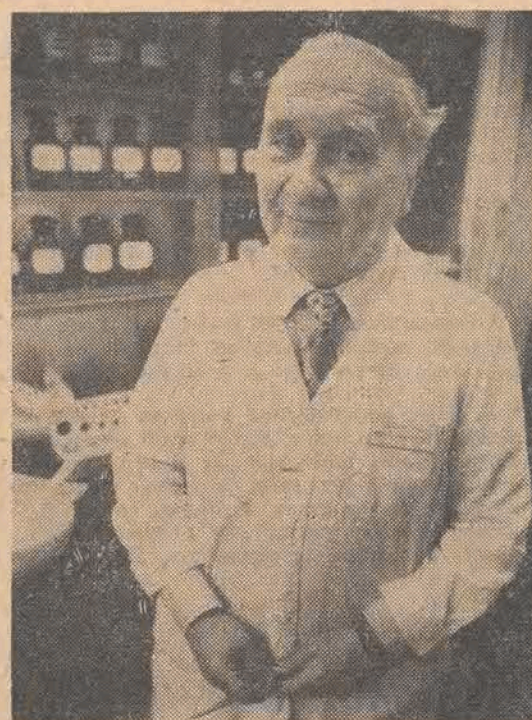
Rozmowa z kierownikiem apteki nr 44, przy ul. Piotrkowskiej 225, mgr farmacji ANTOLEM LESZCZYŁOWSKIM

— No, wie pan... Przyjemnie mi to usłyszeć. Po prostu pracujemy możliwie najlepiej, nie zapominając ani na chwilę, że naszym naczelnym obowiązkiem jest niesienie pomocy ludziom cierpiącym, chorym. Zawód farmaceutyczny wymaga pełnej koncentracji uwagi, tu nie ma miejsca na pomyłki. Farmaceuta odpowiada za zdrowie, a nawet za życie chorych. To właśnie farmaceutę, a nie przepisywającego recepty, ponosi pełną prawną odpowiedzialność za wydany lek. Dlatego nie uznaję w naszej pracy żadnej tolerancji. Również od studentów wymagam sumienności w pracy, obowiązkowości, punktualności, pełnej koncentracji uwagi i, oczywiście, poważnego podejścia do sprawy pogłębiania wiedzy. Jestem w pracy wymagający, to prawda, co jednak wcale nie oznacza, że jestem niewyrozumiały.

— Wcale tak nie myślałem. Chwała sumieniu wykonywanym obowiązkom i dobrej organizacji pracy. Oby jak najwięcej takich przykładów Dobrej Roboty.

Panie magistrze, na sejmowej komisji zdrowia mówiono o dużych brakach w zaopatrzeniu w leki: w 1978 roku brakowało 280 rodzajów leków, a w trzecim kwartale 1979 znacznie więcej. Nie pytam pana o przyczyny tego zjawiska, ponieważ takie pytanie należałoby skierować pod innym adresem, ale czy zarysowała się jakaś poprawa pod tym względem w końcu ub. roku i na początku tego roku?

— Braki w zaopatrywaniu aptek w leki występują okresowo, w mniejszym lub większym



„W okresie międzywojennym o ubezpieczeniach w takiej skali nie było mowy”.

Foto: R. Lucyszyn

stopniu. Jednak w minionym roku, jak wiadomo, były one szczególnie uciążliwe.

— Jakich leków w pańskiej aptece brakowało w szczególności?

— Krążeniowych, hormonalnych, przeciwastmatycznych, psychotropowych i witaminowych. W ostatnim kwartale ub. roku i w styczniu 1980 nastąpiło pewne złagodzenie niedoborów, ale braki w różnych asortymentach leków występowały nadal. Robimy wszystko, żeby klienci naszej apteki odczuwali to najmniej boleśnie. A przyczyny tych braków? Trudno powiedzieć.

Są różne. Zresztą nie jestem upoważniony do wydawania ocen w tym przedmiocie.

— Ale jedna z tych przyczyn: ubezpieczenia społeczne — leży w zakresie pańskich ocen.

— Tak. To wielki problem. W okresie międzywojennym o ubezpieczeniach w takiej skali nie było mowy. Nie można było nawet marzyć, żeby wszyscy obywatele państwa byli ubezpieczeni i korzystali z bezpłatnych usług służby zdrowia oraz z darmowych lub nisko odpłatnych leków, w tym nawet bardzo drogich. Z tym wiązały się, oczywiście, świadczenia finansowe państwa na rzecz obywateli, ale niewiele spośród nich zdaje sobie sprawę z ogromu tych świadczeń.

— Czy mógłby pan podać nieco liczb, ilustrujących tę pomoc państwa?

— Owszem. Ilość leków na jednego mieszkańca kraju zwiększa się systematycznie z roku na rok. Na przykład, w 1954 roku, jedna osoba w kraju zużywała leki za sumę 100 złotych 97 groszy, w 1965 — już za sumę 277 złotych. W 1970 roku suma ta wzrosła do 426 złotych, ale w 1978 roku sięgała już ponad 861 złotych na jednego obywatela! Przy tym coraz więcej wydajemy leków na recepty z odpłatnością 30-procentową i bezpłatnie. W minionym roku mieliśmy w naszej aptece niemal trzykrotnie więcej recept na leki bezpłatne niż w 1971 roku. A, proszę pamiętać, że ubezpieczeniem objęto także całą ludność wiejską. Ludzie zażywają coraz więcej leków...

— ...i trzeba ich też coraz więcej produkować.

— Właśnie.

— Jak ten ogromny „przerób” leków kształtuje się w złotych kwotach?

— To są kolosalne sumy. Na przykład na przestrzeni lat 1974—78 obroty lekami zwiększyły się o 80 proc. Ten wzrost układa się różnie w poszczególnych grupach farmakologicznych. Różnie przede wszystkim obrót w grupie antybiotyków, środków stosowanych w niedomogach krążenia, w naciśnieniu oraz leków przeciwpadaczkowych. Zapotrzebowanie na te dwa ostatnie wzrosło o sto procent. A jeśli chodzi o ziołówki: wartość leków, które znalazły się w obrocie w roku 1974, według cen detalicznych, w skali całego kraju wyniosła 17 miliardów 734 miliony złotych, a w 1978 roku — 28 miliardów 395 milionów złotych.

— Miliardów czy milionów?

— Miliardów! I jak pan widzi, z tendencją wzrostu. To tylko same leki. A inne świadczenia służby zdrowia? One też kosztują miliardy.

— Ten wzrost nakładów państwa na rozszerzenie bazy usług leczniczych z jednej strony cieszy, ale z drugiej trochę niepokoi, będąc chyba świadectwem rosnącej zachorowalności.

— Nie powiedziałbym tak. Kilka przyczyn wpływa na wzrastające wciąż zużycie leków. Należy do nich zaliczyć, między innymi, zwiększenie profilaktyki i wykrywalności chorób, rozszerzenie frontu walki z chorobami zawodowymi, wzrost oświaty sanitarnej, która przełamuje barierę leku przed lekarzem, negatywne i, niestety, stale przybierające na sile, zjawisko lekomanii. Niemniej, sądząc po wydawanych lekach, dostrzegam szybki wzrost przede wszystkim niedomogom systemu nerwowego i chorób układu krążenia. Jesteśmy już krajem uprzemysłowionym, pozostajemy pod coraz silniejszą presją rozwoju cywilizacyjnego, wzrostu tempa życia, ekscytujących wydarzeń na świecie. Powoduje to wzrost określonych schorzeń. Życie, panie doktorze, życie.

— Sama proza, nie da się ukryć. A jak by pan ocenił jakość naszych leków?

— Wysoko. Złych leków nikt by od nas nie kupował, a przecież eksportujemy ich sporo również do wysoko uprzemysłowionych krajów świata. Nasz przemysł farmaceutyczny jest preżny, produkuje dużo, w tym wiele leków licencyjnych. W większości leki krajowe nie ustępują pod względem jakości i skuteczności działaniom renomowanym lekom zagranicznym.

— Prestiż zawodu?

— Dobrze, że pan o to pyta. Utała się wśród farmaceutów opinia, że prestiż farmaceuty, w porównaniu z jego pozycją w okresie międzywojennym, znacznie zmalał. Na tę powszechną niemiłą opinię rzutuje uposażenie farmaceutów, niższe od przeciętnej w kraju. Tak jest, ale przecież nie tylko ono warunkuje prestiż zawodu, w każdym razie nie powinno. Teraz, kiedy nauki farmaceutyczne i przyrodnicze osiągnęły bardzo wysoki poziom, przed farmacją otwiera się perspektywa kontroli dostępności leku i jego racjonalnego stosowania w oparciu o wciąż rozwijającą się biofarmację, jak również nie mniej interesująca perspektywa farmacji klinicznej.

— To znaczy farmaceuty jako pomocnika lekarza.

— Nie, nie pomocnika, lecz partnera, doradcę lekarza. Już dziś coraz częściej zatrudnia się magistrów farmacji, w klinikach, szpitalach, w przemysłowej służbie zdrowia, ochronie środowiska, służbie sanitarnej i in. Rola farmaceuty klinicznego polega na informowaniu lekarza o działaniu, dostępności, dawkowaniu i interakcji, czyli efekcie terapeutycznym, przy stosowaniu dwu lub więcej leków jednocześnie oraz wzajemnym oddziaływaniu jednego leku na drugi. Korzyści płynące z takiej współpracy są oczywiste. Niewątpliwym osiągnięciem, zarówno resortu zdrowia, jak i Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego jest wprowadzenie stopni specjalizacyjnych dla farmaceutów, równorzędnych ze stopniami lekarskimi. Następuje więc ewidentny wzrost prestiżu tego zawodu.

— O ile mi wiadomo, jest pan aktywnym działaczem społecznym.

— Owszem, pracuję społecznie od trzydziestu pięciu lat, przede wszystkim w organizacjach zawodowych i związkowych. Nie jestem w stanie wymienić nawet części pełnionych w tym czasie funkcji społecznych, bo zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Wspomnę tylko, że jestem współzałożycielem Łódzkiego Oddziału PTF, współzałożycielem sekcji aptek PTF, byłem przez szereg lat członkiem zarządu tej sekcji i jej przewodniczącym przez kilka kadencji, zasiadałem w komisjach rewizyjnych i pełniłem wiele innych funkcji społecznych. Obecnie, m.in. uchodzę w skład komisji rewizyjnej PTF, Oddział w Łodzi i zarządu sekcji aptek PTF. Otrzymałem szereg wyróżnień, dyplomów uznania i nagród za wzorową pracę. Jestem członkiem ZBOWiD oraz Związku Inwalidów Wojennych PRL, gdzie pracuję w różnych komisjach.

— Czy ma pan odznaczenia resortowe?

— Tak. „Odenakę za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia”.

— A państwowe?

— Nie.

— Apteka, którą pan kieruje, należy do produjących w Łodzi.

— Tak. Zespół apteki bierze od szeregu lat czynny udział w przeróżnych akcjach, pracach społecznych i konkursach, szczególnie w dziedzinie oświaty zdrowotnej. Mamy też liczące się osiągnięcia: I nagrodę ministra zdrowia i opieki społecznej za temat „Miej serce dla swych płuc”, wyróżnienia za tematy: „Nie pal przy dziecku” oraz „Alkoholizm”. W łódzkim konkursie, organizowanym przez PTF CEFARM i Społeczny Komitet do Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc, zajęliśmy dwukrotnie I miejsce — w latach 1975 i 1979 oraz II miejsce w 1977 roku. Pracownicy apteki stanowią zespół ofiarny i zaangażowany w pracę zawodową, który od lat nie szczędzi starań, żeby w pełni sprostać trudnym obowiązkom farmaceuty.

— Skromnie przemilcza pan swój udział w tych osiągnięciach. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

W nadchodzących latach będzie w Polsce coraz więcej ludzi w starszym wieku. W 1980 roku mamy ok. 4,2 mln ludzi na emeryturze, a w 1990 r. będziemy mieć ok. 5,3 mln osób. Ten fakt rodzi wiele problemów związanych z kształtowaniem warunków ich życia z wykorzystaniem ich wiedzy i wykształcenia, zapewnieniem należnego im miejsca w życiu społeczno-gospodarczym i kulturalnym kraju.

Jak dotychczas problemy te nie zostały jeszcze zadowalająco rozwiązane. Występuje nadal dysproporcja pomiędzy wysiłkami i środkami tożnymi przez społeczeństwo na rzecz przedłużania życia ludzkiego, a staraniami związanymi ze znalezieniem społecznie użytecznego i dającego satysfakcję miejsca dla starości. Służby zajmujące się sprawami ludzi starszych mają na ogół charakter opiekuńczy, zbyt mało jest ich pomocy w kształtowaniu odpowiedniego stylu życia, przygotowania się do nowej sytuacji życiowej, uwzględniającej przemiany w osobowości po ustaniu pracy zawodowej. Mało odczuwalna jest też ich pomoc w tworzeniu warunków zapewniających tym ludziom przeżycie otych lat w sposób pełniejszy, bardziej użyteczny i dający więcej satysfakcji.

Zachodzi więc konieczność ukształtowania nowej polityki społecznej wobec tej grupy ludzi. Musi ona uwzględnić potrzeby i możliwości osób starszych, zarówno sprawnych jeszcze fizycznie i psychicznie, jak i tych, które już ze sprawności utraciły. Trzeba rozwiązać wiele kwestii, jak: możliwość kontynuowania pracy, zachowania aktywności społecznej, zaspokojenia potrzeb kulturalnych i oświatowych, potrzeb w zakresie warunków mieszkaniowych, warunków naturalnego środowiska człowieka itp.

Wśród zagadnień, które trzeba rozwiązać, szczególnie ważne są sprawy zatrudnienia ludzi starszych, tworzenia im warunków pracy uwzględniających specyficzne potrzeby starzejącego się człowieka, takie jak np.: dostosowanie stanowisk pracy do wieku, regulowanie wymiaru czasu pracy, przyznawanie dodatkowych urlopów, doskonałe kwalifikacji itp. Aktywność zawodowa jest bardzo istotnym czynnikiem w życiu człowieka ze społeczeństwem. W naszym systemie społecznym problemy pracy ludzi starszych muszą i powinny być traktowane w całej swej złożoności, w kontekście ogólnej problematyki rozwoju osobowości człowieka.

Brak jest socjalistycznej teorii zatrudnienia tej grupy ludzi, która określałaby przesłanki dla możliwie pełnego sprzytowania ich doświadczeń i zdolności w życiu społecznym. Utrzymuje się na przykład, wciąż jeszcze ukształtowaną historycznie zasadą określania granicy wieku emerytalnego. Brak jest (bądź są — ale zdeaktualizowane) — podstaw naukowych określenia tego wieku dla mężczyzn i dla kobiet, jego zależności od sprawności człowieka i zdolności do pracy. Do określenia wieku emerytalnego podchodzi się głównie z biologicznego punktu widzenia, kierując się wskazaniami kalendarza, a przecież na stan zdrowia człowieka, na jego organizm i cechy indywidualne ma wpływ nie tylko wiek, istotną rolę odgrywają tutaj warunki pracy i życia, poziom opieki zdrowotnej, warunki materialne, socjalne, mieszkaniowe itp. Wiek powoduje bez wątpienia spadek sprawności, ale następuje on stopniowo i w szerokich granicach, tak że w momencie osiągnięcia wie-

ku emerytalnego człowiek zachowuje jeszcze zdolność do pracy. Natomiast warunki pracy i życia odbiegające od normalnych oraz długotrwała rozbieżność między obciążeniami, a wydolnością organizmu, mogą znacznie silniej osłabić zdolność do kontynuowania pracy niż proces biologicznego starzenia się człowieka.

Problemy pracy ludzi starszych budzą u nas różne odczucia społeczne. Inaczej ocenia się ich aktywność w rolnictwie, inaczej też w działach pozarolniczych. Praca w rolnictwie do późnego wieku stanowi utrwalaony element życia, a zarazem istotną miarę społecznej wartości człowieka, toteż jej zaprzestanie pociąga za sobą dewaluację tej wartości i to, zarówno w ocenie własnej jak i społecznej wiejskiej. W związku z tym osoby starsze traktują pracę jako zasadniczą treść swego życia, a fakt jej zaprzestania wiąże z pojęciem jego kresu. Wynika to oczywiście z charakteru pracy w rolnictwie i panującej obyczajowości, wspartej wielowiekową tradycją.

Przerwanie pracy w działach pozarolniczych, odejście na emeryturę, traktuje się jako proces naturalny, chociaż także nie zawsze wolny od obaw przed utratą prestiżu społecznego i szacunku otoczenia. W odczuciu społecznym nabycie uprawnień emerytalnych jest równoznaczne z przerwaniem pracy. Przedsiębiorstwa dość konsekwentnie przesuwają pracowników na emeryturę w razie uzyskania przez nich formalnych uprawnień. Składa się na to wiele motywów, jak na przykład niechęć do zatrudnienia osób o niepełnej sprawności, obawa przed brakiem rytmiczności pracy i niewykonania planu, konieczność zwalniania ludzi starszych z pewnych obowiązków, zapewnienia im pracy jednoznacznej czy też pracy w niepełnym wymiarze czasu.

W społeczeństwie funkcjonuje pewien stereotyp człowieka w wieku emerytalnym, którego zazwyczaj utożsamia się z człowiekiem starym, zniedołężniałym, zależnym od opieki innych. Taki stereotyp ukształtowany w przeszłości, w dużej liczbie przypadków nie odpowiada już rzeczywistości. Różne badania wykazują, że wiele osób starszych cieszy się na ogół dobrym zdrowiem i jest zdolnych do względnie samodzielnego życia. Przyszła generacja ludzi starszych mieć będzie jeszcze lepsze zdrowie i wyższą sprawność niż generacja obecna, korzystniejszą ma ona bowiem warunki pracy i życia oraz szersze możliwości wypoczynku, ochrony zdrowia i zdobywania wiedzy. Toteż jeszcze bardziej nie będzie „przystawać” do tego utrwalonego u nas stereotypu.

Dzięki postępowi medycyny proces starzenia się ulega zwolnieniu i złagodzeniu, gdyż coraz częściej dominują w nim zjawiska stopniowego wygasania czynności fizjologicznych, a nie burzliwe zakłócenia z kręgu patologii. Również dzięki postępowi techniczno-organizacyjnemu, istotnemu zmniejszeniu ulega obciążenie fizyczne, a zwiększa się obciążenie psychiczne, czyli zyskują na znaczeniu te cechy, które nawet w okresie zaawansowanej starości nie ulegają drastycznym zmianom. W starszym wieku spadek sprawności fizycznej i zmniejszająca się zdolność adaptacyjna mogą być w dużym stopniu rekompensowane rutyną i doświadczeniem zawodowym, systematycznością, wytrwałością i rzeczywistym zaangażowaniem się w pracę. U ludzi starszych bowiem nad zmianami biologicznymi typu

strukturalnego i czynnościowego biorą górę czynniki wolucjonalne (wywołane wolą), a głównie czynnik współzawodnictwa i poczucia więzi społecznej. Toteż, chociaż nie zawsze są one na tyle duże, aby równoważyć użytek wydolności biologicznej, istotnie pomagają starzejącemu się człowiekowi przezwyciężyć spadek ogólnej sprawności organizmu, a w niektórych przypadkach zapewniają mu nawet większą niż u młodych pracowników przydatność zawodową.

W związku z tym konieczna jest zmiana sposobu podejścia do sprawy przydatności zawodowej i zdolności do pracy ludzi starszych, weryfikacja wielu ocen zbyt mocno pomniejszających efektywność ich pracy. Konieczne jest również podjęcie na szeroką skalę działań ułatwiających im wykonywanie pracy zawodowej, a więc stwarzanie takich warunków, które by lepiej odpowiadały ich psychicznym możliwościom i potrzebom, żeby człowiek znajdujący się u kresu wieku produkcyjnego mógł z powodzeniem wykończyć nagromadzoną wiedzę i doświadczenie dla siebie i społeczeństwa. Sprzyjać temu powinien cały zespół metod i środków organizacyjnych oraz zabiegów technicznych, a zwłaszcza postęp ergonomiczny w produkcji, czyniący pracę lżejszą, łatwiejszą i bezpieczniejszą.

W dążeniu do racjonalnego wykorzystania ludzi starszych w produkcji i życiu społecznym należałoby zwrócić uwagę na następujące sprawy:

- ☆ doskonalenie techniki, technologii i organizacji pracy w taki sposób, aby ludzie starsi mogli pozostać na dotychczas zajmowanym stanowisku,
- ☆ przenoszenie ludzi starszych do innej, ale zbliżonej do poprzedniej pracy, a przy tym mniej obciążającej,
- ☆ umożliwienie podejmowania innej pracy w tym samym zakładzie, ale związanej ze zmianą kwalifikacji,
- ☆ wzbogacenie pracy, polegające na scalaniu czynności o różnym stopniu trudności w ramach jednego zadania, uproszczenie pracy zbyt trudnej i tworzeniu samodzielnych zespołów pracowników o zbliżonych możliwościach produkcyjnych, przy jednoczesnej rezygnacji z pracy łasnowej.

- ☆ racjonalne dostosowanie do możliwości i potrzeb ludzi starszych projektowania trybu pracy i wypoczynku w trakcie jej trwania (stosowanie odpowiednio długich i częstych przerw w pracy) oraz umożliwienie samemu pracownikowi doboru zakresu pracy i jej rytmu (organizowanie pracy w tzw. autonomicznych grupach roboczych),
- ☆ organizowanie pracy w niepełnym wymiarze godzin, bądź na zasadzie kontraktu na określoną liczbę godzin w ciągu roku kalendarzowego,
- ☆ stopniowe skracanie tygodnia pracy oraz zwiększenie wymiaru urlopów wypoczynkowych i zdrowotnych,
- ☆ udoskonalanie procesów technologicznych pod kątem znacznego ograniczenia lub wyeliminowania szkodliwych czynników środowiska roboczego i w ogóle środowiska zewnętrznego.

- ☆ w przemyśle o wielozmianowym systemie pracy rezygnację z pracy osób starszych w porze nocnej (zatrudnienie tych osób tylko w systemie dwuzmianowym),
- ☆ podnoszenie kwalifikacji ludzi starszych, ale również szanse zawodowe ludzi starszych, lepiej wy-

kształconych, są znacznie większe niż u ludzi mniej wykształconych, a poza tym przy niskim stopniu wykształcenia sprawność umysłowa obniża się dość szybko.

Wydać się, iż spośród tych działań należałoby upowszechniać zwłaszcza pracę w niepełnym wymiarze godzin w dotychczas wykonywanym zawodzie, a szczególnie zaś w szeroko rozumianych usługach (dotyczy to zwłaszcza kobiet). W przemyśle bowiem, wobec postępującej mechanizacji i automatyzacji preferowani będą ludzie młodzi, o pełnej sprawności i o większych możliwościach nabywania nowych umiejętności. Usługi natomiast wolniej przyjmują postęp techniczny i wymagają stosunkowo niewysokich kwalifikacji. Toteż, jeśli praca w nich nie wiąże się ze zbyt dużym wysiłkiem i obciążeniem psychicznym, może ona być z powodzeniem wykonywana przez osoby starsze.

Kierowanie zatrudnieniem emerytów i rencistów należałoby powierzyć publicznemu służbom zatrudnienia i spraw socjalnych. Program działania tych służb winien obejmować:

- ☆ poradnictwo zawodowe i pośrednictwo polegające na zabezpieczaniu pracy odpowiednio dobranej i dostosowanej do możliwości starszego człowieka,
- ☆ szkolenie zawodowe i rekwalifikację zawodową umożliwiającą emerytom nabycie nowych umiejętności, pozwalających wykonywać zawód inny lub pokrewny w stosunku do wykonywanego poprzednio,
- ☆ opiekę nad emerytem w miejscu pracy.

Konieczność szerszej aktywizacji zawodowej ludzi starszych stanie się aktualna u nas szczególnie w latach osiemdziesiątych, kiedy to znacznie zmaleje przyrost ludności w wieku produkcyjnym, a jednocześnie nastąpi dalsze polepszenie warunków pracy i usprawnienie organizacji, m. in. także w aspekcie ergonomicznym. Okoliczności te, jak można sądzić, sprzyjać będą sięganiu po ludzi starszych, dla pełniejszego wykorzystania ich doświadczenia. Stwarzanie

w tym zakresie szerszych możliwości powinno uwzględniać zarówno potrzeby ludzi starszych jak i interes społeczny. Chodzi bowiem o to, aby przedłużenie okresu aktywności zawodowej nie było mechaniczne, gdyż byłoby to równie szkodliwe jak mechaniczne rugowanie tych ludzi ze stanowisk nie z powodu niezdolności, lecz z racji wieku.

W warunkach, kiedy przedłuża się znacznie okres życia ludzkiego i propaguje się walkę o aktywną starość, przedwczesne rezygnowanie z pracy zawodowej, mimo jego humanitarnych pozorów, wchodzi w sprzeczność z postępowiem społecznym. Przesuwając przedwcześnie na emeryturę, skazuje się bowiem często człowieka na bezczynność, mimo że chce on nadal być pożyteczny i pragnie aktywnie uczestniczyć w życiu zawodowym i społecznym. Praca



psychospołecznego punktu widzenia jest podstawą egzystencji, a jednocześnie wyznacznikiem miejsca człowieka w społeczeństwie. Praca ułatwia zachowanie i przedłużenie życia, jeśli tylko nie jest ponad siły, jeśli jest interesująca i jeśli daje człowiekowi zadowolenie. Toteż, wobec rosnącego w społeczeństwie udziału i znaczenia ludzi starszych, należy troszkę o ich przyszłość łączyć ściśle z wydużeniem określa ich aktywnego życia twórczego, a zarazem z dążeniem do możliwie pełnego spożytkowania ich wiedzy i doświadczenia życiowego.

W naszym społeczeństwie starość nie może i nie powinna być traktowana jako kres aktywności społecznej człowieka, lecz jedynie jako zmiana trybu jego życia. Trzeba więc tworzyć warunki, aby starzejący się człowiek, zamiast pograżać się w mrokach pesymizmu, nadal był społecznie przydatny i by odczuwał radość życia, życia dla siebie, dla swych bliskich i swego społeczeństwa.

Dr Józef Penc jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego.

NIE TYLKO HISTORIA

Autora „Spotkań z historią”, wydanych ostatnio (1979) przez wydawnictwo „Iskry” przedstawia nie ma potrzeby Janusza Tazbira zna chyba każdy miłośnik przeszłości: zna go jako wybitnego uczonego, badacza przede wszystkim dzieł XVI-XVII wieku doskonałego popularyzatora historii i wreszcie świetnego telewizyjnego historycznego dyskutanta i gawędziarza z którym często mamy ostatnio okazję spotykać się na szklanym ekranie. W odróżnieniu od plejady osób równie opowiadających ze swadą i popularnie o historii Janusz Tazbira, nawet kiedy mówi o niej w sposób najbardziej dostępny, rezygnując z wszelkiego nimbów profesjonalnej uczoności, powiada o sprawach i zdarzeniach, które zna ze swych własnych, wielostronnych poszukiwań badawczych. Dlatego też i popularne piśarstwo historyczne Janusza Tazbira może być rzeczywiście znakomite i może — a zapewne to sprawa — przysporzyć o przypływie zainteresowań tych wszystkich zawodowych popularyzatorów (od siedmiu boletów), których cała umiędzynarodowiona jest opinia — nie zawsze własnymi słowami, to co zawodowi historycy napisali już w swoich książkach

i artykułach. Janusz Tazbira z pewnością odbiera chlebny i fabrykantom popularnych historycznych opowieści, których rozmnożyła ponad wszelką potrzebę nieudolna praktyka naszych oficyn wydawniczych. I dobrze, że tak jest, i niechaj tak będzie, bowiem dla szerokiego kół czytelników nie powinno być obojętne czy to, co biorą do ręki, aby odetchnąć po znojach dnia codziennego nad książką historyczną. Jest to tekst bez jakiegokolwiek wartości, czy dziełem rzeczywiste kompetentnym, które wyszło spod pióra człowieka który zna się na tym, o czym pisze i jeszcze w dodatku — umie o tym pięknie opowiedzieć.

Na „Spotkania z historią” składają się — jak powiada autor — „szkice, eseje i obrazki” — a więc formy małe, ulotne, powstałe na marginesie naukowego piśarstwa uczonego, chociaż — jak znamy Janusza Tazbira — tymczasem mu nieobojętne. W swej większości teksty te były już wcześniej publikowane zarówno na łamach czasopism historycznych, jak prasy kulturalno-literackiej. Teraz doczekały się nowego opracowania, zostały skomponowane w całość i — przy okazji — pozbawione (niestety) aparatu

trykcyjnego. Mówię niestety, gdyż wiem, że wiele z tych szkiców taki aparat pierwotnie miało i nie godzę się z niedobrem — moim zdaniem — manierą naszych wydawnictw, które w książkach o charakterze popularnym bardzo niechętnie godzą się na umieszczenie jakiegokolwiek przypisu czy odwołania. Praktyka ta weszła już naszym wielu wydawnictwom w nawyk i myślę, że stało się tak z sprawą — i w interesach — wspomnianych już wyżej fabrykantów historycznej popularności, którzy są zainteresowani tym, by nie podawano skąd czerpią oni swą wtórną wiedzę, edyż tego rodzaju informacje musiałby ujawnić... jej wartość.

Metoda rezygnowania z jakiegokolwiek — nawet najskromniejszej — dokumentacji ogłaszanych tekstów pozwala z powodzeniem na kreowanie raz po raz — w miarę okolicznościowej, najczęściej rocznicowej potrzeby — autora, który na zadany temat powie akurat to, czego się odeń oczekuje. Mało to razy spotykaliśmy się z podobnymi publikacjami? A potem mamy pretensje, że w świadomości historycznej społeczeństwa funkcjonują nie tylko stare, ale i nowe już schematy, i

którymi przez lata przychodzi walczyć naszej historiografii i ambiciozniejszej historycznej publicystyce! Dlatego — wbrew wygórnym zrywom niektórych naszych domów wydawniczych — jestem zawsze za podawaniem, nawet w pracach popularnych, obliczonych na zainteresowanie najszerzych kół czy-

SPOTKANIA Z PRZESZŁOŚCIĄ

techników, bodaj najbardziej skróconej dokumentacji. Nasz czytelnik nie jest człowiekiem beznamiętnym, przyjmującym wszystko na wiarę. Umożliwmy mu więc — jeśli będzie miał na to ochotę — choć w skromnym zakresie możliwość skontrolowania naszych historycznych rozważań. Możemy to uczynić tylko wtedy, kiedy powinniśmy mu wyraźnie, na czym je oparliśmy.

Wróćmy jednak do obchodzącej nas dziś, znakomitej książki Janusza Tazbira. Autor ułożył owe „Spotkania” w trzy cy-

kle, którym nadał tytuły: „Obrazki staropolskie”, „Polska w kulturze europejskiej”, „Z pogranicza literatury pięknej i historii”. Na każdy z nich składa się po kilka szkiców. Chronologiczny zakres spraw omawianych tu przez autora, jest bardzo rozległy: sięga on od epoki Odrodzenia po współczesność — ostatnim esejem, zamieszczonym w książce, jest tekst o „Dzieciach na ekranie malowanych”, poświęcony naszemu filmowi historycznemu (którego osobie nie lubię — filmu, rzecz jasna). Zakres problemowy książki przewidzieć łatwo, jeśli zna się inne prace autora: oczywiście wiele jest tu o sprawach naszej kultury i obyczajów o zagadnieniach wyznaniowych, staropolskiej umysłowości, ideałach i antyideałach, nadziejach i obawach, przesądach i wierzeniach, jakimi żyło społeczeństwo staropolskie.

W centrum uwagi uczonego znalazła się wreszcie problematyka miejsca kultury polskiej XVI-XVII wieku w kulturze europejskiej. Trzeba zresztą od razu zaznaczyć — pisze Janusz Tazbira na wstępie do swego dzieła — iż mowa bilansu, wolna od czarnobiałstwa i megalomanii narodowej, wypadła w tym ostatnim zakresie nadspodziewanie dodatnio. Nie tylko bowiem w XVI wieku, ale i w następnym wieku kultura nasza wniosła wiele wartości do ogólnej dorobku cywilizacji europejskiej; szczególnie istotną rolę odegrała tu ideologia braci mskich. Rzeczpospolita szlachecka była krajem utrzymującym ożywione kontakty zarówno z zachodnią częścią kontynentu (...), jak i z krajami Orientu. Stąd też samizm, swoista odmiana kultury szlacheckiej, jaka rozkwitła w XVII wieku, swój oryginalny kształt zawdzięcza w znacznym stopniu symbiozie cywilizacyjnej.

Nie będę jednak streszczał tej pięknej książki — streszczać nie byłoby znacznie gorzej od lektury jej tekstu. Do niej też chyba zachęcać nie trzeba.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

„Odgłosy”: W przodujących państwach świata na 100 rozwiązań naukowych, zarówno teoretycznych jak i praktycznych, wykorzystuje się w gospodarce 30—35. W Polsce trafia do gospodarki mniej niż 15 rozwiązań na 100. Proponujemy zatem zacząć naszą rozmowę od oceny stopnia wykorzystania wyników naukowych w reprezentowanych przez Panów Profesorów dyscyplinach.

J. Michalski: Na początek zgłoszę pewne zastrzeżenia. Uważam, że sytuacji istniejącej w danej dyscyplinie nie można przenosić na pozostałe. Zbyt ogólne recepty, zwłaszcza w tak skomplikowanej i delikatnej materii jak nauka, zupełnie się nie sprawdzają. Nie można też zapominać o tym, że rozwój niektórych dyscyplin podstawowych stanowi bazę dla rozwoju techniki oraz rozwiązań o charakterze praktycznym w sensie bardziej złożonym. Na przykład współczesna chemia jest dziś pomostem między naukami ścisłymi: matematyką i fizyką oraz biologią molekularną, od której już tylko krok do współczesnej medycyny. Stąd też kwestia wykorzystania wyników i wzajemnych wpływów była bardzo trudna do określenia.

Musimy też pamiętać o tradycyjnych pionach, w których rozwija się nauka w Polsce. Są to wyższe uczelnie, dyspo-

nictwa wyższego z Polską Akademią Nauk i instytutami resortowymi w stopniu, jaki uznalibyśmy za pożądany. Zarówno PAN jak i szkoły wyższe mają tendencję do przekazywania wyników prac bezpośrednio do przemysłu, do czego przemysł zazwyczaj nie jest przygotowany. O wiele rzadziej spotykamy sytuację, w której wyniki przekazywane są do przemysłu poprzez instytuty resortowe. Uważam, że na przykład chemiczne instytuty resortowe są doskonale przygotowane do przyjęcia od uczelni i akademii pewnego etapu badań i prowadzenia ich dalej.

W przemyśle chemicznym sytuacja jest złożona, żeby nie powiedzieć absurda. Po prostu dlatego, że ilość opracowanych rozwiązań znacznie przewyższa możliwości realizacji. Innymi słowy, przemysł chemiczny nie jest w stanie skonsumentować tego, co stworzyły te trzy wymienione przez mnie grupy placówek naukowych.

Z. Haś: To wprost nie do wiary!

J. Michalski: To wydaje się nie do wiary, ale taka jest rzeczywistość. Przemysł aparatury chemicznej w naszym kraju jest tak słabo rozwinięty, że przemysł chemiczny musiał zbudować własne zaplecze aparatury chemicznej. Przy okazji XII Plenum KC PZPR powiedziałem z pewną dozą żalu, że niestety, mechanicy polscy nie wykazują zainteresowania aparaturą, która się „nie rusza”. Natomiast fascynują się tym wszystkim, „co się rusza i świeci”. Jest to oczywiście bardziej

że trudno je uważać za sukcesy.

J. Indulski: Ja również oceniam poziom naszej nauki, jako nie zadowalający w stosunku do możliwości. Potencjał krajowy jest znacznie większy niż obecnie wykorzystywany. Przyczyny tego stanu rzeczy są bardzo różnorodne, ale o tym za chwilę.

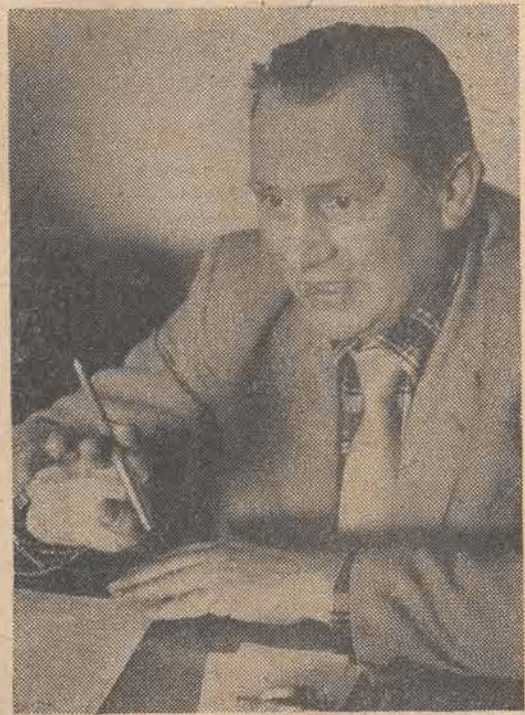
Z. Haś: Koledzy pozwolą, że będę kontynuował. Założenie, żeby PAN i szkolnictwo wyższe prowadziły badania podstawowe, a zaplecze przemysłowe transponowało je na użytek przemysłu jest słuszne, tylko nie zawsze spełnia się w praktyce. Wynika to m.in. z niemożności adaptacji w przemyśle wyników badań podstawowych. Jest to także konsekwencja poziomu badań prowadzonych w tzw. zapleczu naukowo-badawczym. Instytuty resortowe reprezentują niekiedy wysoki poziom, znacznie gorzej jest w zakładach ośrodkach badawczo-rozwojowych.

J. Indulski: Przy okazji warto przypomnieć, że w Stanach Zjednoczonych 60 proc. postępu technicznego powstaje w laboratoriach przykładowych.

Z. Haś: Nie mówmy o stanie idealnym, w którym gospodarka korzystałaby jak najwięcej. Wróćmy do naszych realiów. Jeśli prowadzimy badania podstawowe, z których gospodarka nasza nie może korzystać, to korzystają z nich ci, którzy mają zaplecze przemysłowe na odpowiednim poziomie. Bo przecież nie ukrwamy wyników naszych badań. Publikujemy je i to w między-



Doc. dr hab. TADEUSZ KRZEMIŃSKI: „Sądzę, że nie należy oślabiać roli badań podstawowych — przy oczywistym założeniu, że dobór tematyki jest prawidłowy z punktu widzenia poznawczego”.



Prof. dr hab. ZDZISŁAW HAŚ: „Efektywność naszej nauki w porównaniu z efektywnością nauki w innych państwach jest jeszcze niska”.

mam co do tego wątpliwości. Ale tylko wyniki badań podstawowych, nie mających bezpośredniego związku z praktycznym wykorzystaniem w technice krajowej.

Z. Haś: Ale nie ma badań stosowanych bez badań podsta-

darki narodowej czy kraju. Daleki jestem od tego, by oślabiać ideę badań bezpośrednich powiązań nauki z pilnymi potrzebami współczesności. Jednakże sądzę, że nie należy oślabiać roli badań podstawowych — przy oczywistym założeniu, że dobór tematyki jest prawidłowy z punktu widzenia poznawczego. Już przecież nie jeden raz w historii nauki okazywało się, jak doniosłe znaczenie praktyczne miały rezultaty badań, które umownie określamy podstawowymi. Bardzo często dyskusyjne bywa kwalifikowanie wyników badań. Bo jeśli na przykład władze terytorialne zleca wykonanie mapy hydrograficznej, to po wykonaniu badań spotykamy się z interpretacją, iż jest to działalność aplikacyjna służąca praktyce. Natomiast, jeżeli mapy hydrograficzne, geomorfologiczne czy geologiczne wykonywane są na przykład w ramach planów badawczych Instytutu Geograficznego PAN czy Instytutu Geologicznego, to działalność te traktujemy jako badania poznawcze. Praktyczny walor tych prac ujawnia się, jednakże w umiejętności ich wykorzystania.

„Odgłosy”: Jak wpłynął na wykorzystanie wyników badań przyjęty swego czasu z wielką nadzieją system sterowania nauką poprzez problemy rządowe, węzłowe, resortowe, itp.

Z. Haś: Sądzę, że jest to typowy przykład systemu opartego w znacznej części na dobrych chęciach. Sprzyja on zapokojeniu ambicji i własnych celów, ponieważ w ramach zawartych umów między, na przykład, uczelnią a zleceniodawcą, na pierwszy plan wysuwa się własny doktorat czy habilitacja. Gospodarka może poczekać, stąd też korzyści są dla niej niewielkie. Tworząc takie systemy, nie pytamy socjologów, ekonomistów i psychologów, czy te systemy, bądź ustawy będą łączyły interesy społeczne z interesami jednostek? Czy rzeczywiście taki system centralnego sterowania mobilizuje naukowca do pracy dla gospodarki i jednocześnie pozwala mu zaspokoić własne cele.

„Odgłosy”: Innymi słowy, czy system uruchamia takie mechanizmy, które powodują, że pracownik nie będzie miał innego wyboru poza pracą na najwyższym poziomie, gdyż inaczej będzie wyeliminowany przez lepszych.

Z. Haś: Moim zdaniem, system ten nie eliminuje najslabszych.

J. Michalski: Uważam, że w naukach podstawowych system centralnego sterowania stanowi ogromny krok naprzód w porównaniu z przeszłością. Może mój przedmowa zbyt katastroficznie przedstawia te problemy. Można mieć, co prawda, pewne zastrzeżenia co do tego systemu, uważajmy jednak, abyśmy nie wylali dziecka razem z kąpielą.

J. Indulski: Jestem zwolennikiem centralnego planowania. Jeśli to planowanie nie sprawdzi się w praktyce, to znaczy, że my je wadliwie realizujemy. Sam jestem koordynatorem I i II stopnia kilku problemów i z całą odpowiedzialnością mogę

się przyznać, iż czuję się winny. Nie jestem, na przykład, w stanie rozpiąć badań, mimo iż wiem, jakie badania są potrzebne — ale muszę dopasować rodzaj i zakres badań do takiej placówki, która może je wykonać, bo ma warsztat badawczy. Gdyby można było ogłosić konkurs na wykonanie tematu, to uważam, że byłaby to najbardziej racjonalna forma, jaką potrafiliśmy wymyślić. Inny przykład, jest placówka, która od kilku lat pracuje fatalnie. Musimy jej jednak zapłacić, bo zawarliśmy umowę na cały rok. W przyszłości mogę z nią nie współpracować, ale nie naprawimy już poniesionych strat.

Bardzo istotny jest również odbiór prac. Po prostu musi on być bardzo surowy i obiektywny. W Instytucie Medycyny Pracy odbieramy wyniki podczas specjalnie organizowanych sympozjów, na które zapraszamy specjalistów z różnych dziedzin. W ich obecności autor musi obronić swoje badania. Taka forma przyjmowania prac podnosi oczywiście ich poziom, ale nie zjednuje nam uznania u wykonawców badań. Niedawno byłem świadkiem odbioru prac w pewnej instytucji, gdzie wszystkich rozliczano tak samo, bez względu na uzyskane wyniki. Bo odbierający pracę najbardziej martwił się o to, aby nie zostały im pieniądze...

Z. Haś: Wiele sprawdzi się to, co mówiłem na początku. Forma egzekwowania, przestrzegania wysokiego poziomu zależy od dobrej woli prof. Indulskiego, a nie od założeń systemu sterowania.

J. Indulski: Ale ten system daje takie możliwości, podczas gdy przed rokiem 1971 takich szans nie było. Uważam, że system zdaje egzamin w tych placówkach, które mają dobrą kadre, dobre wyposażenie, inicjatywę, pomysły i co najmniej jednego człowieka, który potrafi przygotować jeden porządný temat.

„Odgłosy”: Czyli z góry zakłada maksymalnie dobre warunki. Jeśli jeszcze apeluje się do dobrej woli i odpowiedzialności...

J. Michalski: Odpowiedzialny wykonawca sam będzie się kontrolował, nawet jeśli umowy były zawierane na pięć lat. Powinny jednak funkcjonować jakieś mechanizmy kontroli.

T. Krzeminski: Jestem przeciwny zbyt częstym reorganizacjom w nauce, ale uważam, że obecnie trójczłonowy system organizacji nauki należy modyfikować i ulepszać. Mówiliśmy już o braku powiązań między poszczególnymi pionami nauki. Może ułatwiłoby to powiązania przebiegające przez uczelnie całosci zadań związanych z kształceniem, doskonaleniem kadry oraz nadawaniem stopni naukowych.

J. Michalski: Ale tak właśnie wygląda poprawnie ustawiony model, o którym cały czas mówimy.

Z. Haś: Nadal uważam, że prawidłowe funkcjonowanie modelu jest wynikiem tylko dobrej woli i moralnej odpowiedzialności niektórych osób.

J. Indulski: Stworzyć więc warunki, w których takie działanie stanie się powszechne. Uczestniczyłem przez kilka lat w badaniach polsko-amerykań-

INWESTOWAC W MYŚLENIE...

nujące największą ilością pracowników naukowych, następnie placówki PAN nastawione przede wszystkim na badania poznawcze, prowadzone kompleksowo. Akademia Nauk powinna służyć jako model zarówno pod względem organizacji jak i poziomu prowadzonych badań. Nie można zapominać także o instytutach resortowych. Zasadniczo zajmują się one realizacją postępu technicznego. Jednak część z nich prowadzi także badania podstawowe.

Zastanówmy się teraz, w jakim stopniu działalność tych instytucji wzajemnie się przenika. Od razu powiem, że to przenikanie występuje w bardzo niewielkim stopniu, co oczywiście rzutuje na wykorzystywanie wyników. Brak jest na przykład współdziałania szkol-

efektywne i atrakcyjne dla konstruktora. Jednakże słaby rozwój przemysłu aparatury chemicznej utrudnia wprowadzanie w życie efektów badań naukowych. Taka jest sytuacja w naukach chemicznych. Jeszcze raz podkreślam, że nie można jej uogólniać.

Z. Haś: Uważam jednak, że można się pokusić o ocenę całości. Po prostu efektywność naszej nauki w porównaniu z efektywnością nauki w innych państwach jest jeszcze niska, a przecież nasi pracownicy naukowcy i absolwenci wyższych uczelni nie odbiegają poziomem od zagranicznych. Rzućmy dla przykładu okiem na przygotowywane co roku przez PAP listy dziesięciu największych osiągnięć naukowych w kraju. Niektóre z nich są tak słabe,

narodowych czasopismach. Pytanie: kiedy można ujawnić wyniki badań bez szkody dla własnej gospodarki.

J. Michalski: Poruszył Pan kapitalne zagadnienie, za co jestem wdzięczny. Całkowicie się z tą tezą zgadzam. Chemicy często ogłaszają we własnych instytutowych wydawnictwach publikacje, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Ujawniają nie tylko własne pomysły, ale z trudem zdobyte doświadczenia, jednym słowem — ciężką pracę. Dlaczego publikują? Bo zostali do tego zmuszeni. Instytuty stały się przecież po trosze pseudouczelniami, które chcą nadawać stopnie naukowe. Z drugiej strony publikacje łączą nas z nauką światową. Czy więc należy publikować? Nie

wowym na odpowiednim światowym poziomie. Warunek, że są to rzeczywiście badania na poziomie światowym, a nie adaptacje. Inaczej nie wdrożymy nauki do praktyki przemysłowej.

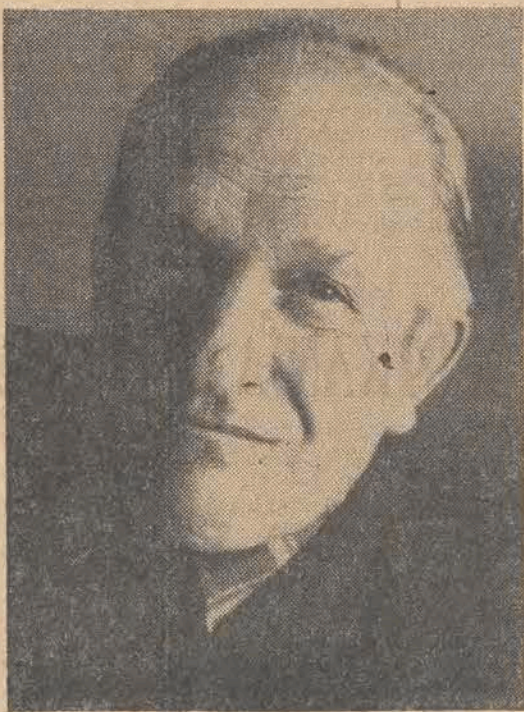
J. Michalski: Nie zapominajmy, że większość rozwiązań technicznych i naukowych, nawet te oryginalne pomysły, nie powstają z próżni, ale z powiązań z nauką światową, z tego, co obserwujemy za granicą. Innymi słowy, do rozwiązań powszechnie znanych dokładamy nową część. Aby móc czytać tego typu obserwacje, aby umieć czytać między wierszami, trzeba samemu reprezentować wysoki poziom wiedzy.

T. Krzeminski: Nie można jednak sprowadzać wkładu nauki i szkół wyższych w rozwój kraju tylko do wymiernych efektów gospodarczych. Wyniki badań naukowych, uzyskane w uczelni typu uniwersyteckiego, zwłaszcza na kierunkach humanistycznych, prawnych i ekonomicznych, wnoszą wartości potrzebne w równej mierze, co na przykład rozwiązania technologiczne. Jeśli spojrzymy na zagadnienie w szerszym i historycznym ujęciu, to dostrzeżemy doniosłość roli absolwentów szkół wyższych. Wnoszą oni do swoich środowisk nowoczesną wiedzę, twórczy niepokój, wywołują zmiany w organizacji pracy i przyniosą przemiannę w świadomości społecznej otoczenia. Są to efekty niewymierne, a czasem niedostrzegalne, bo słusznie uznaliśmy je za naturalne, mimo że dokonały się w krótkim okresie 35-lecia.

Łatwiej już uchwycić instytucjonalne powiązania uczelni, bądź pracowników naukowych różnych specjalności z praktyką życia gospodarczego i społecznego. Udział przedstawicieli środowisk naukowych w radach naukowych urzędów wojewódzkich, zjednoczeń przemysłowych i resortów oraz związane z tym doradztwo naukowe, jest właśnie bezpośrednim wkładem myśli naukowej w rozwój regionu, gałęzi gospo-



Prof. dr hab. JANUSZ INDULSKI: „Potencjał jest znacznie większy niż obecnie wykorzystywany”.



Prof. dr hab. JAN MICHALSKI: „W sprawozdaniach nie pisze się co zrobiliśmy, tylko co robiliśmy”.

KONRAD FREJDICH

ZAWÓR

Dalszy ciąg ze str. 1

Zakład Sieci Ciepłej w Łodzi do Fabryki Automatyki Chłodniczej w Cieszyńcu:

„Wobec pozytywnych wyników badań i prób eksploatacyjnych oraz właściwej trwałości mechanicznej zaworów elektromagnetycznych typu EZS-W 32, Zakład Sieci Ciepłej zwraca się z prośbą o opracowanie prototypów tego zaworu o średnicy znamionowej 25 mm i ewentualnie 16 mm.

Po uzyskaniu prototypów w/w zaworów zakład nasz przeprowadzi wymagane próby i dostarczy ich wyniki.

Uważamy, że opracowanie wymienionych zaworów pozwoli wzbogacić asortyment oferowanych przez Fabrykę Automatyki Chłodniczej — Cieszyń — poprawnych zaworów elektromagnetycznych oraz umożliwi przełamanie oporów potencjalnych odbiorców.

Fabryka Automatyki Chłodniczej w Cieszyńcu do Zakładu Sieci Ciepłej w Łodzi:

„Zakład nasz po włączeniu do Ministerstwa Przemysłu Maszyn Ciepłych i Rolniczych został zobowiązany do pełnego zabezpieczenia potrzeb przemysłu rolno-spożywczego, według programu rządowego „Kompleks Żywność” oraz zabezpieczenia rynkowej produkcji (chłodziarek, pralek i elektrycznych ogrzewaczy wody).

W związku z tym całe nasze moce produkcyjne, a szczególnie w zakresie obróbki mechanicznej, zostały pochłonięte przez produkcję na potrzeby naszej branży. Chcemy poinformować, że zakład w 1977 r. zaspokoił potrzeby w zakresie automatyki zaledwie w 60 proc. W tej sytuacji wnioskujemy przekazanie produkcji zaworów dla ciepłownictwa fabryce wytwarzającej armaturę ciepłowniczą.

Jesteśmy w stanie przekazać odpłatnie dokumentację, oprzyrządowanie (choć skromne) i pomóc w uruchomieniu produkcji”.

Zakład Sieci Ciepłej w Łodzi do Zakładów Automatyki MERA-POLNA w Przemysłu:

„W nawiązaniu do rozmów przeprowadzonych dn. 28. I. 1978 r. w Warszawie pomiędzy mgr inż. Glinką i dyrektorem Waszego zakładu mgr inż. Adamem Bubenem, Zakład Sieci Ciepłej — Łódź prosi o wyprodukowanie serii zaworów elektromagnetycznych wg dokumentacji dostarczonej Wam w terminie późniejszym.

Zawory elektromagnetyczne są podstawowym i jedynym dostępnym krajowym elementem wykonawczym układów automatycznej regulacji odbiorczych węzłów ciepłych stosowanych w Łodzi i w większości ośrodków ciepłowniczych Polski.

Dotychczasowy wytwórca jedynych dostępnych powszechnie w kraju zaworów typu EZOC — W 25 P tj. Fabryka Automatyki Chłodniczej w Cieszyńcu, ma wg posiadanych przez nas informacji zaniedbać produkcję tych zaworów z końcem 1979 r. co byłoby jednoznacznie zaawansowaniem w dużym stopniu procesu automatyzacji węzłów ciepłych, jeżeli nie zostanie podjęta przez innego wytwórcę produkcja tych zaworów lub podobnych o lepszych parametrach użytkowych.

Z uwagi na duże znaczenie społeczne i gospodarcze sprawy liczymy na Wasze przychylne stanowisko, deklarując jednocześnie gotowość najdalej idącej współpracy”.

Zakład Automatyki MERA-POLNA w Przemysłu do Zakładu Sieci Ciepłej w Łodzi:

„W odpowiedzi na Wasze pismo TN/389/79 z dn. 19. I. 1978 r. uprzejmie informujemy, że ze względu na brak mocy produkcyjnych nie możemy przyjąć do

produkcji zaworów elektromagnetycznych”.

Za sztydem Zakładu Sieci Ciepłej w Łodzi kryje się grupa pracowników z działu nowej techniki tej instytucji. Inż. Grzegorz Wacek, absolwent Politechniki Łódzkiej, pracuje w ciepłownictwie ponad dwadzieścia lat. Mgr inż. Kazimierz Styracz, także absolwent Politechniki Łódzkiej jest specjalistą w dziedzinie elektroniki. Trzeci bohater sprawy oznaczony kryptonimem „zawór” Wiktor Żmijewski zmarł niedawno, nie doczekawszy się jej ostatecznego rozwiązania, bo tylko biurokracja jest u nas nieśmiertelna. Trwa nieprzerwanie obieg papierków, peczęteli, teści korespondencji, ale ciepła tak potrzebnego do ogrzewania naszych mieszkań od nich nie przybywa.

Ale zaczynamy wszystko od początku. Rozwój ciepłownictwa rozpoczął się u nas, wraz z rozwojem przemysłowych form budownictwa, w końcu lat pięćdziesiątych. Wtedy to z naszych miast zaczęły znikać małe, ale za to potężnie kopące kotłowne, nad kominami fabrycznymi przestał unosić się dym. Ich funkcje przejęły elektrociepłownie, dostarczające parę dla przemysłu i wodę na cele ogrzewcze. Wykorzystanie wody okazało się najbardziej opłacalne, toteż jej udział w procesie ogrzewania nieustannie wzrasta. Gorąca woda daje dziś 2/3 ciepła wytwarzanego przez cztery łódzkie elektrociepłownie. To daje wyobrażenie o skali przedsięwzięcia. Wiadomo także, że o możliwościach produkcyjnych decyduje poziom temperatury wody wracającej do elektrociepłowni. Im ta woda będzie chłodniejsza, tym sprawniej działa cały system, tym mniejsze są straty energii i tym wolniej następuje korozja. Jest już dziś pewne, że właściwy obieg wody może zapewnić tylko automatyka regulująca. Systemy stosowane na zachodzie okazały się w naszych warunkach nieprzydatne i za drogie. Trzeba więc było sięgnąć do rozwiązań własnych.

W końcu lat sześćdziesiątych powołano w łódzkim Zakładzie Sieci Ciepłej dział doświadczalny, przekształcony następnie na dział nowej techniki. Na jego czele stanął inż. Grzegorz Wacek. Dobrawszy sobie współpracowników, rozpoczął serię eksperymentów, które miały na celu opracowanie systemu automatycznej regulacji. Należało zbudować i skoordynować ze sobą trzy urządzenia: zawór elektromagnetyczny, czujnik temperatury oraz regulator temperatury ciepłej wody, pozwalający utrzymać ją na stałym poziomie. Początkowo wszystko wykonywali sami, ale ciepłownictwo nie ma zaplecza produkcyjnego, toteż te działania nie mogły wyjść poza granice prób. Zresztą w tym czasie idea automatyzacji procesów ogrzewczych nie miała zbyt wielu zwolenników. Zespół inż. Wacka traktowano więc do czasu jak marionetki. Ale tym entuzjastom przyszyła w sukurs decyzja Prezydium Rządu z r. 1974 w sprawie gospodarki paliwowo-energetycznej. Przecięła ona ścieżkę dyskusji, automatyzacja regulacji ciepła stała się nakazem chwili.

Ale droga do niej była wciąż daleka, bo wciąż nie rozwiązany był problem produkcji urządzeń. W tej sytuacji jednoczenie „Mera” chciało zakupić na zachodzie licencję, bo to wydawało się najprostszą, mimo zasadniczych różnic technologicznych. Na szczęście do tego nie doszło, ktoś jednak nie przelechał się za granicę, a w Łodzi, mimo oporów różnych ludzi, zaczęto wprowadzać automatyczną regulację ciepła w oparciu o dostępne urządzenia krajowe.

Okazało się przede wszystkim, że Cieszyń produkuje za-

wory, które po odpowiednich przeróbkach mogą znaleźć zastosowanie w ciepłownictwie. Z kolei ośrodek metrologii elektrycznej zaprezentował regulator o symbolu RE-7, który po nieznacznej adaptacji także nadawał się do wykorzystania przez zespół inż. Wacka. Czujniki znalazłono na miejscu, w Łodzi.

Czytelnik daruje mi tę dawkę terminologii technicznej, ale bez niej nie można wyjaśnić na czym polega rewelacyjność łódzkiego opracowania. Dodajmy więc może jeszcze, że charakteryzuje się ono wyjątkową prostotą: jest to po prostu regulacja z przerwami. Jeśli temperatura w pomieszczeniu przekracza 20 stopni Celsjusza, ciepło przestaje dopływać. Włącza się ponownie, kiedy temperatura spadnie poniżej tej wartości progowej. W naszych warunkach klimatycznych jest to po prostu niezbędne, nie tylko dlatego, że zapewnia ekonomię wykorzystania paliw. Okazało się bowiem, co potwierdziły szczegółowe badania przeprowadzone w trzydziestu łódzkich budynkach, gdzie zastosowano system automatycznej regulacji, że w pewnych latach zachodziła potrzeba dostarczania ciepła przez cały rok z wyjątkiem sierpnia. Uwzględniając tylko okres przejściowy, to znaczy te momenty, kiedy temperatura zewnętrzna wynosi więcej niż + 5 stopni Celsjusza, system automatycznej regulacji ciepła pozwala zaoszczędzić 10 — 12 proc. energii, a w nowych przypadkach nawet 15 proc. Równa się to w skali rocznej mniej więcej 12 tonom paliwa umownego dla każdego budynku!

Dla potwierdzenia obiektywizmu tych wyników łódzki Zakład Sieci Ciepłej zwrócił się do Instytutu do spraw zaopatrzenia w energię (Institut für Energieversorgung), w NRD, który po gruntownych badaniach, w grudniu 1978 r. nadał sprawozdanie. Okazało się, że w warunkach niemieckich oszczędność energii wyniosła jeszcze więcej, bo 20 — 25 proc. Te dodatkowe procenty biorą się stąd, że Niemcy w swoich budynkach stosują dwa węzły ciepłownicze w zależności od stron świata. Innego ogrzewania wymaga strona północna budynku, słabo wystawiana na słońce, innego zaś południowa. W NRD natychmiast zrozumiano korzyści automatycznej regulacji. Institut für Energieversorgung wystąpił bez zwłoki do władz o wprowadzenie łódzkiego systemu w całym kraju. Znając praktyczny zmysł naszych sąsiadów zza Odry można przypuszczać, że szybko uruchomią produkcję niezbędnych urządzeń. Może się tak zdarzyć, że w przyszłości be-

dziemy je od nich kupować, choć są polskim pomysłem.

Tymczasem bowiem opracowany w Łodzi system automatycznej regulacji ciepłej wody „mów” znalazł się w martwym punkcie. Jedyną instytucją, która serio podejmuje się współpracy z zespołem inż. Wacka jest „Lumel” w Zielonej Górze. Ośrodek Badawczo-Rozwojowy „Lumel”, co jest zasługą inż. Jerzego Dobrzyńskiego, opracował całą rodzinę regulatorów temperatury, które umożliwiają automatyzację wszystkich węzłów komunalnych w Łodzi, co prawda bez klimatyzacji, ale i tak o światowym standardzie. Ale to dopiero część problemu.

Rzecz w tym, że nie ma takiej siły w kraju, która spowodowałaby produkowanie w skali przemysłowej elektromagnetycznych zaworów samoczynnych typu EZS-W o średnicy 20 mm i 32 mm, choć od ośmiu lat istnieją krajowe, sprawdzone w działaniu prototypy. Mówi coś o tym cytowana na początku mego artykułu korespondencja. Podobno urządzenie jest za proste, a więc i za tanie. Niekiedy chcieliby zakupić licencję za granicą. Kupiono zresztą od Francuzów licencję na regulator stałej różnicy ciśnienia, typu BRW. Stosuje się go pomocniczo w automatyce, choć można się bez niego obejść. Ale elektromagnetycznych zaworów samoczynnych jak nie było, tak nie ma. Zakład Sieci Ciepłej w Łodzi produkuje je chałupniczo, żeby podtrzymać krajową produkcję, bo potrzebne są także w Bydgoszczy, Poznaniu, Szczecinie i Zielonej Górze, które poszły w ślady naszego miasta. I mają te same kłopoty.

Sprawa bowiem nie kończy się na zaworach. Ostatnio wystąpiły także kłopoty z czujnikami temperatury, które instaluje się w mieszkaniach i już choćby dlatego trzeba im zapewnić estetyczną obudowę. Koszt jej przygotowania miał wynieść siedemdziesiąt tysięcy złotych, uznano, że to za dużo i znowu sprawa utknęła w martwym punkcie. Na domiar złego krakowskie zakłady, które dostarczały czujniki bez obudowy, zapowiedziały już, że nie będą mogły skierować do Łodzi potrzebnej ilości tych urządzeń. Powodem jest brak platyny, której zresztą używa się w aptekarskiej ilości. Można by ją zastąpić niklem, ale krakowskie zakłady niklem też nie dysponują.

Można podziwiać upór łódzkich inżynierów. Mimo piętrzących się przeszkód, od czterech lat konsekwentnie realizują automatyczny system regulacji ciepłej wody dostarczanej do nowych mieszkań. W czterdziestu budynkach wprowadzono także automatyczne układy centralnego ogrzewania. I w zasadzie wszystkie nowe łódzkie budynki przystosowane są do kompleksowej automatyki centralnego ogrzewania i ciepłej wody gospodarczej. Urządzenia instaluje się w młodej posiadłości potrzebnych elementów.

Chodzi więc o to, żeby urządzenia te stały się powszechnie dostępne, żeby nie okazały się nikomu niepotrzebne wysiłki

takich ludzi jak inż. Romański z Inwest-Projektu i inż. Osmalek z Miasto-Projektu, którzy doprowadzili do opracowania typowych projektów automatyki węzłów ciepłowniczych. Żeby pan Włodarczyk z tegoż Inwest-Projektu nie musiał bawić się w detektywa, żeby ściągnąć do Łodzi niezbędne do instalacji regulatory.

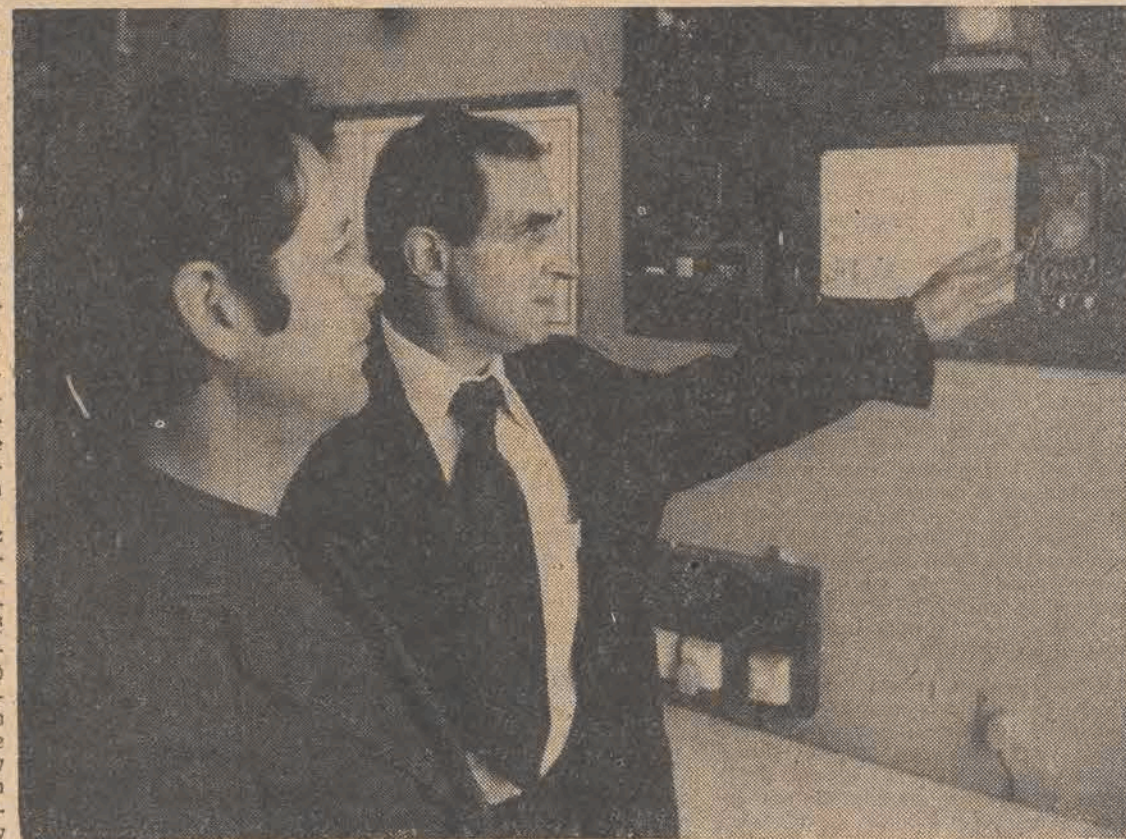
Ciepłownictwo jest dziś dziedziną, która może mieć zasadniczy wpływ na powodzenie planów gospodarczych. Wiemy o tym coś niecoś po doświadczeniach ubiegłorocznej zimy, kiedy trzeba było wyłączać maszyn w fabrykach, a w niedogranych mieszkaniach szczególnie zębami przemarności ludzkiej. Automatyka nie załatwi wszystkiego, ale może poważnie zmniejszyć dzisiejszy deficyt, dając milionowe oszczędności. Pamiętajmy zresztą, że to tylko pierwszy etap, że niezbędne jest przejście na technologiczną i jeszcze wyższą jakość.

W Łodzi już myśli się o zdalnych pomiarach i sterowaniu całokształtem sieci ciepłowniczej i węzłów przemysłowych. Będzie to przedsięwzięcie kosztowne, rzędu pół miliarda złotych, ale opłacalne w ostatecznym rachunku. Zagwarantuje bowiem niezawodność pracy całego systemu i poprawi jego ekonomię. Nie zapominajmy także, że rozbudowując magistralę ciepłowniczą, nie możemy bez przerwy zwiększać zatrudnienia. Automatyka jest więc niezbędna, żeby w pełni kontrolować sytuację, ograniczając liczbę awarii, których można po prostu uniknąć z korzyścią dla wszystkich.

Trzeba jednak także pamiętać, że automatyka bezліtośnie obnaża wszystkie braki konstrukcyjne sieci, że demaskuje fuzerki i prowizorki. W Łodzi wycofano z tego wnioski i sięgnięto po rozwiązania optymalne przystosowujące nowe budynki do zastosowania automatycznych urządzeń, kiedy staną się powszechnie dostępne.

Niekiedy trzeba działać wbrew dyrektywom — uśmiecha się inż. Wacek — bo one mają charakter doraźny. W ciepłownictwie myślimy od dawna kategoriami przyszłości.

Ale za tym myśleniem muszą iść konkretne działania. Tymczasem minęło osiem lat od podjęcia prac w dziedzinie automatyzacji węzłów ciepłowniczych i mimo ewidentnych korzyści dla gospodarki narodowej, wciąż tylko w minimalnym stopniu zbieramy profit z łódzkiego opracowania. Drobiazgi, jak choćby sprawa wyprodukowania estetycznej obudowy dla czujników temperatury, niweczą rozwiązania globalne. Czy przykład zaworów, na które nie można znaleźć w kraju producenta. Kto wreszcie odkrył ten zawór na drodze do postępu?



Mgr inż. KAZIMIERZ STYRACZ i mgr inż. GRZEGORZ WACEK: „W ciepłownictwie myślimy od dawna kategoriami przyszłości”.

Foto: R. Lucyszyn

skich. Brał w nich udział człowiek, który zajmował się tylko kontrolowaniem metod, układem badań i ich wykonaniem. W rezultacie, po trzech latach pracy mógł wystąpić z wnioskiem o zaprzestanie finansowania badań, jeśli efekty nie były zadowalające. U nas nie ma takich możliwości. Czasami przez pięć lat nie wiadomo, jak przebiega praca.

J. Michalski: Bo w sprawozdaniach nie pisze się, co zrobiliśmy, tylko co robiliśmy i dodaje spis publikacji.

J. Indulski: Jeśli chcemy podnieść efektywność nauki, należy wrócić do rzetelnej krytyki naukowej.

T. Krzemiński: Ten brak krytyki doprowadza do instytucjonalizmu, którego nauka nie znosi. Nie tylko nie ma krytyki w uczelniach czy instytutach, ale także brak płaszczyzn ułatwiających krytykę między tymi pionierami. Współczesne dążenia do powiększenia dorobku naukowego przez zwiększanie liczby publikacji nie sprzyjają, niestety, refleksji i dyskusji naukowej.

Z. Haś: Rzetelna krytyka naukowa w obecnym systemie wydaje mi się mitem z krainy fanfanzji.

J. Indulski: Nie sądzę, nie sądzę. Obiektywna, surowa krytyka naukowa, recenzje, odbiór pracy, śmiałość decyzji, a przede wszystkim rzetelna ocena programu badań przed ich podjęciem powinny doprowadzić do poprawy. Jeśli zdołamy się na odwadę i powiemy: „Proszę pana, bardzo nam przykro, ale na podstawie pańskich dotychczasowych wyników nie widzimy potrzeby dalszego finansowania pańskich prac. Może pan zgłosić się do nas za dwa lata, z nowymi wynikami”. Wtedy wyeliminujemy słabszych. Do wyników pracy powinien być dostosowany system gratyfikacji.

T. Krzemiński: Zgadnam się z częścią tych opinii. Obawiam się jednak, że tkwi w nich pewne niebezpieczeństwo dla podstaw i charakterów ludzkich. Czw. w tej konkurencji finansowej nie zubi się pasja badawcza i element poznania, który powinien u pracownika naukowego być na pierwszym planie. Pracownik naukowy powinien mieć takie warunki pracy i płacy, aby mógł zająć się badaniami, które stanowią pasję jego życia. Warunki te możemy współtworzyć, doskonaląc system organizacji i finansowania nie tylko samych badań, ale także szkół wyższych i instytucji naukowych.

Z. Haś: W każdej dyscyplinie znajdziemy pracowników, którzy pracują z ogromnym entuzjazmem i pasją. Niestety, ten entuzjazm zaczyna słabnąć, jeśli na przykład najmłodszy pracownik widzi, że system finansowania badań pozwala niekompetentnym ludziom podejmować pracę za duże pieniądze. System badań naukowych powinien opierać się na podstawowych prawach ekonomicznych i współdziałać z entuzjazmem naukowców, a nie odwrotnie.

„Odgłosy”: Zdajemy sobie sprawę z tego, iż w redakcyjnej dyskusji zasygnalizowaliśmy tylko pewną grupę problemów. Niemniej opinie i propozycje naszych dyskutantów układają się w pewną spójną całość. Za najpilniejszą z punktu rozwiązania istniejących trudności uczestnicy dyskusji uważają potrzebę wzmocnienia działalności Akademii Nauk, wyższych uczelni i instytutów resortowych. Chodzi tu m.in. o nie dublowanie funkcji i nie wkraczanie w nie swoje kompetencje. Nie znaczy to oczywiście, aby placówki te działały w odosobnieniu, przeciwnie, konieczne jest wzmocnienie wzajemnych kontaktów i merytorycznej współpracy. Z drugiej strony, wdrażanie wyników badań naukowych do przemysłu nadal będzie przebiegało opornie, jeśli zaplecze naukowe przemysłu nie stanie się partnerem dla placówek naukowych i uczelni.

Do refleksji i praktycznych działań skłaniała także uwagi związane z publikowaniem wyników badań naukowych i właściwie pojęcia współpracujących z granicą. W dyskusji nie zabrakło także ostrzeżeń o braku krytyki naukowej. Opinie te powtarzały się tak często, iż można wnosić, że sami naukowcy uważają istniejącą sytuację za alarmującą.

Dyskusję przygotowała: MALGORZATA GOLICKA

Foto: R. Lucyszyn

Pragnąc ustrzec swoje kraje przed postępującą na Zachodzie inflacją, Organizacja Krajo- wca Eksportujących Naftę (OPEC) podwyższa ceny na ropę naftową i jednocześnie ogranicza wy- dobycie ropy, wychodząc z założenia, iż „ziemia, która kryje ropę naftową jest najpewniejszym sejfem ich bogactwa”. OPEC nie zapomina też, że złota „płynnego złota” nie są wieczne.

Kraje eksportujące ropę są nadal zaniepo- kożone nieustanną zmianą kursu dolara amery- kańskiego w stosunku do mocnych walut mię- dzynarodowych co, oczywiście, obniża realną cenę nafty OPEC. W ubiegłym roku podjęły one decyzję, że jeśli w wyniku spadku warto- ści dolara pojawią się oznaki dalszego obniże- nia realnych dochodów OPEC, to, być może, podejmie się decyzję gromadzenia walut jako środka kompensacji ponoszonych strat, jak rów- nież w celu utrzymania na tym samym pozo- mie siły nabywczej kapitałów OPEC. Na ra- zie, w związku z dalszym spadkiem dolara do rekordowo niskiego poziomu: 1,70 marki za- chodniemiejskiej za 1 dolara oraz obniżeniem jego wartości w stosunku do franka szwajcar- skiego, funta szterlinga i jena japońskiego, kra- je eksportujące ropę naftową rozważają możli- wość dalszej podwyżki cen ropy. Warto wspom- nieć, iż na początku stycznia br. Meksyk pod- niósł cenę swojej ropy z 24,50 dolara do 32 do- larów za baryłkę.

Zachodnie środki masowej informacji, a zwa- szcza amerykańskie, podnoszą już od paru lat wielki szum wokół kryzysu energetycznego i za spowodowanie go obwiniają kraje eksportujące naftę. OPEC uważa jednak, że za światowy kryzys energetyczny ponosi całkowitą winę nie 13 ministrów OPEC, lecz prezydent Carter i sze- ściu przywódców innych rozwiniętych krajów zachodnich, którzy nie chcą wziąć pod uwa- gę ostrzeżeń OPEC sprzed pięciu lat, że zasoby naftowe krajów eksportujących naftę są coraz mniejsze. Jednocześnie przywódcy państw nale- żących do OPEC podkreślają, że nie mniejszą odpowiedzialność za kryzysową sytuację ener- getyczną na świecie ponoszą także, a być może przede wszystkim, monopole naftowe, których zyski osiągały już astronomiczne liczby.

Kiedy w końcu 1973 roku Organizacja Krajo- wca Eksportujących Naftę czterokrotnie podwyższa- ła cenę na swoją ropę naftową, decyzje te mo- tywowano nie tylko dążeniem do ustalenia ta- kich cen na ten surowiec energetyczny, które by odpowiadały ówczesnym realiom ekonomiki światowej. Krok ten podjęła OPEC po powtarzanej dewaluacji dolara, która znacznie ograniczyła dochody krajów eksportujących naftę, jak rów-

nież po 3-4 krotniej, podwyżce cen za zboże, miedź, węgiel i prawie wszystkie inne pro- dukty surowcowe, kontrolowane przez ponadna- rodowe korporacje. A przecież ich nabywcą są właśnie kraje produkujące naftę, które po tych wszystkich podwyżkach spróbowaly skompen- sować swoje straty, poniesione w konsekwencji spadku kursu dolara oraz wzrostu cen na im- portowane surowce i wyroby przemysłowe.

Chociaż ta zależność jest oczywista, amery- kańskie środki informacji usiłują tłumaczyć wszystkie swoje niepowodzenia ekonomiczne wydatkami, związanymi rzekomo z importem nafty OPEC. Jednocześnie pomija się milcze- niem, że te wszystkie wydatki stanowią zaled- wie bardzo nieznaczny udział w ich udziale w ogólnym planie importu wykazuje tendencję

w obliczu pogłębiającego się na Zachodzie kry- zysu, którego najbardziej jaskrawym wyrazem są: bezrobocie, inflacja, wstrząsy walutowe. Po- wtórnie kartel zachodnich monopolów naftowych podejmuje obecnie próbę narzucenia światu dyktatu — przede wszystkim w dziedzinie cen, dąży do ustanowienia wolnych cen ryn- kowych.

Miedzynarodowy kartel naftowy, do którego wchodzi siedem zachodnich monopolów, kontrolu- je większość źródeł ropy naftowej, środki jej transportu, kompleksy petrochemiczne, sieć rozdzielczą. Kartel może, na przykład, zelektry- zować świat wiadomością, że brakuje nafty, może na pewien określony czas zastrzyż na- piecie, zmienić źródła dostaw produktów naft- owych, żeby w odpowiednim momencie i w

o 1,5 miliona baryłek dziennie i o 2,7 mln bary- łek w innych krajach. Więc skąd aż tyle hałasu?

Komentator francuskiego tygodnika „France Nouvelle” wyraża pogląd, który podziela zresztą wielu zachodnich ekspertów, że wszystkie trud- ności ekonomiczne świata zachodniego są zwi- azane z systemem kapitalistycznym, ale nigdy z naftą. Z pewnością, tylko że teraz, w powstałej sytuacji, stała się ona bronią polityczną. Po- za tym tzw. kryzys naftowy używa się jako pretekstu do prób wywierania nacisku na na- rody krajów rozwijających się. Utrzymujące się przez długie lata stałe ceny za naftę impor- towaną z tych krajów nosiły wyraźny eksplo- atatorski charakter, a nie kontrolowana pen- etracja ich bogactw naturalnych stymulowała szybkie gromadzenie kapitałów.

Teraz monopole naftowe już nie kontrolują wydobycia ropy naftowej, w każdym razie kon- trola ta jest bardzo ograniczona, niemniej, w zamian, próbują powetować sobie tę stratę ra- jej zbyć. Chcą mianowicie zmusić kraje importujące naftę do płacenia strat, które po- nosi kartel z tytułu ubytku zysków naftowych. Tu i ówdzie robią to z powodzeniem. Ale taka sytuacja nie zadowala kartelu, ponieważ coraz bardziej zastrza się kryzys zysków a w poję- ciach ponadnarodowych korporacji po prostu nie mieści się sytuacja, w której kraje produk-ujące ropę naftową same chcą kontrolować swoje bogactwa narodowe. Tym bardziej, że OPEC może się stać pewnego dnia niebezpiecz- nym przykładem do naśladowania dla pro- centów innych rodzajów surowców w krajach Trzeciego Świata. Właśnie lek przed taką e- wentualnością kryje się za hasłem „obrony Za- chodu”. Warto w tym miejscu wspomnieć, iż rewolucja w Iranie popchnęła rząd Arabii Sau- dyjskiej do wykupienia pozostałych 40 procent kapitału amerykańskiego kompanii naftowej „ARAMCO”. W ten sposób została zlikwidowa- nana ostatnia wielka amerykańska koncesja naftowa na Bliskim Wschodzie.

Rozwinięte kraje Zachodu będą się musiały coraz więcej liczyć nie tylko z realnymi potrze- bami rozwijających się krajów eksportujących naftę, lecz także z ich rosnącą zdolnością do walki o swoje interesy. A machinacje, do któ- rych już od dłuższego czasu uciekają się wo- dzireje naftowego biznesu są obliczone na stwo- rzenie w krajach świata zachodniego klimatu skrajnej nietolerancji wobec państw OPEC. Rzecz polega na tym, że nie znalazłono dotąd realnej alternatywy dostaw nafty z OPEC.

JERZY CZECH

NAFTA JAKO BRONŃ POLITYCZNA

zniżkową. Fachowcy w Zachodniej Europie twierdzą, że podwyżka cen za naftę spowodo- wała wzrost inflacji zaledwie o niecały procent. W tym świetle gniewny trydny pod adresem krajów arabskich produkujących naftę po- brzmiewa cynizmem. Najłatwiej to odczytać na przykładzie Francji. Wydobywa ona 1 mi- lion ton ropy naftowej na własnym terytorium i 3 miliony ton otrzymuje z przemysłu nafto- wego na Morzu Północnym. I odtąd ceny za te produkty naftowe ustala się wychodząc z cen za naftę bliskowschodnią, przy czym natych- miast podaża się w ślad za każdą podwyżką cen inicjowaną przez OPEC, a nieraz nawet się ją wyprzedza. Czyż nie jest to dziwna maniera walki z inflacją? — pytają z przymrużeniem oka publicyści niektórych pism zachodnich.

A zatem o jakie cele chodzi organizatorom tego hałasu, podnoszonego rzekomo z powodu kryzysu energetycznego? Co pragną przez to osiągnąć jego inicjatorzy? Przede wszystkim wi- dać tu wyraźne dążenie do zrobienia z krajów wydobywających ropę naftową kozła ofiarnego

odpowiednim miejscu zwiększyć swój nacisk gwoli osiągnięcia określonych celów ekonomicz- nych i politycznych. Teraz, podobnie jak to miało miejsce w 1974 roku, obserwuje się duże manipulacje w zakresie podaży i popytu nafty, nabierają rozmachu oszustwa z cenami za ropę naftową. Ale efektywność takich operacji wy- maga całkowitej swobody działania, swobody w zakresie cen, swobody działania koncernów naftowych na wspólnym nieograniczonym rynku.

Kryzys na Zachodzie zastrzyż się całkiem wyraźnie: znów rośnie inflacja, bezrobocie, wzrost ekonomiczny, mniej czy bardziej stabil- ny, nawet w takim kraju jak Stany Zjednoczo- ne, uległ zahamowaniu, a przecież w latach 1974-78 ceny na naftę nie rosły a spadały — w USA o 11 procent, w RFN o 19, we Francji o 26 i w Japonii o 46 procent. I oto znów pod- niósł się lamenty z powodu braku nafty, cze- mu zawiniły rzekomo wydarzenia w Iranie. Ale przecież zmniejszenie dziennego wydobycia nafty w Iranie do 3,8 mln baryłek, skompen- sowało wydobycie jej więcej w Arabii Saudyjskiej

Trwa VIII Zjazd Partii. W obec- ności licznych zagranicznych gości delegacji dyskutują sprawy partii i kraju. Oceniają dorobek, kreślą perspektywy. Oczywiście, w obszarze ich zainteresowania znajduje się również problematyka międzynarodowa i polityka zagraniczna naszego kraju. W dokumentach Zjazdu, referacie Edwarda Gierka i sprawozda- niu Komitetu Centralnego PZPR za okres od VII Zjazdu wiele uwagi poświęcono międzynarodowej działalności partii.

Ostatnie lata cechowała dalsze u- macnianie się sił pokoju i socjaliz- mu, a odrzucenie stało się tendencją dominującą. Równocześnie jednak w wielu krajach kapitalistycznych dały o sobie znać nuryt prawicowe, a przeciwnicy odrzucenia, przystąpili do ataku. Tym bardziej więc walka o trwałą pokój i zaniechanie wy- sięgu zbrojeń stała się dla nas, jak i dla całej wspólnoty krajów socja- listycznych, sprawą nadrzędną. Temu podporządkowana jest polska po- lityka zagraniczna.

Fundamentem naszych działań jest sojusz i przyjaźń z ZSRR. One sta- nowią podstawę bezpieczeństwa i

kanie w Madrycie. Prowadzimy ży- wą wymianę poglądów z wielo kra- jami w trosce o jego należyte przy- gotowanie.

Realne niebezpieczeństwo dla od- rzucenia niesie wyścig zbrojeń, trwa- jący i napędzany przez koła impe- rialistyczne. Odrzucają one równo- wagę sił jako podstawę współistnie- nia, chcą przechrzcić szale na swoją korzyść i rozmawiać z państwami socjalistycznymi z pozycji siły. Ostat- nie decyzje paktu północnoatlan- tyckiego wprowadziły świat w stan pewnego napięcia. Co więcej — po- głębiają one nieufność i mogą oddać się niekorzystnie na całości stosun- ków międzynarodowych w latach osiemdziesiątych.

W tych antyodrzućniowych po- czynaniach sekunduje kołom milita- rystycznym Zachodu polityka przy- wódców chińskich, której hegemoni- styczne cele ujawniły się przed nie- dawnym czasem zbrojną agresją na Wietnam. Pekin jest w ciągłym kon- takcie z siłami zimnowojennymi w Europie i popiera rewizjonistyczno- nacjonalistyczne tendencje w RFN.

Polska występuje przeciwko takie- mu kursowi — na zbrojenia i a- wanturnictwo, uważając, że otwarcie dróg do rozbrojenia jest dziś naj- ważniejszym frontem w walce o po- kój.

Nasz kraj wciąż rozszerza i wzma- cnia współpracę z krajami rozwija- jącymi się, spośród których wiele obiera socjalistyczną orientację w polityce wewnętrznej i zagranicz- nej. Wspólnie z ruchem niezaanga- żowanych występujemy o budowa- nie nowego, sprawiedliwego między- narodowego ładu gospodarczego, któ- ry pozwoliłby nowym państwom su- werennie decydować o swoich bo- gactwach.

W działaniach na rzecz pokoju Polska ma swój ceniony udział. Z naszej inicjatywy w końcu 1978 ro- ku Zgromadzenie Ogólne NZ uchwa- liło deklarację o wychowaniu spo- łeczeństw w duchu pokoju, szerokim echem odbiło się w świecie polskie Poślanie, przyjęte na manifestacji w Gdańsku w 40 rocznicę napadów na nasz kraj Niemiec hitlerowskich. Tak więc swoje możliwości i u- kształtowany już autorytet wykorzy- stujemy najpełniej dla sprawy poko- ju. Czynimy tak, gdyż uznajemy pokój za najwyższe dobro i prawo człowieka i chcemy stworzyć jak najlepsze warunki zewnętrzne rea- lizacji naszych narodowych zamie- rzeń.

VIII Zjazd Partii aprobuję ten kierunek działania i zobowiązuje do dalszego czynnego uczestniczenia we wszelkich działaniach, które mają na uwadze rozwijanie odrzucenia politycznego i wzmocnienia go od- rzuceniem militarnym.

W. ŚLAWSKI

W styczniu 1960 roku na nadzwyczajnym posiedzeniu Miedzynarodowej Organizacji Radiowo-Telewizyjnej (OIRT) w Budapeszcie, powołano podległą OIRT-owi wy- specjalizowaną instytucję pod nazwą Interwizja z sie- dzibą w Pradze. Dziś należą do niej: Bułgaria, Czecho- słowacja, Kuba, Mongolia, NRD, Polska, Rumunia, ZSRR i Finlandia. Zgodnie z założeniami, celem Interwizji jest wzajemna wymiana dóbr kulturalnych, informacja o ży- ciu narodów, przekazywanie programów o ważnych mię- dzynarodowych wydarzeniach, a także z dziedziny nauki, techniki i sportu.

Ogromne znaczenie dla dalszego rozwoju Interwizji miało w kilka lat później powstanie kosmowizji czyli te- lewizyjnej łączności satelitarnej. Dzięki temu mogliśmy oglądać powierzchnie Księżyca, Wenus i Marsa... Byliśmy naczynymi świadkami podboju kosmosu przez człowieka, lotów statków kosmicznych z międzynarodową załogą, kosmonautów radzieckich i ich kolegów z CSRS, Pol- ski i NRD...

Warto podkreślić, że wzajemna wymiana programów w ramach Interwizji wzrasta z roku na rok. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zwiększyła się ona trzykrotnie i obecnie wynosi dwa tysiące godzin rocznie.

Jak wiadomo, odpowiednikiem Interwizji w krajach zachodnich jest Eurowizja. Trzeba, niestety, stwierdzić, że wymiana programów między obu systemami nie jest równomierną. Członkowie Interwizji odbierają i prze- kazują na ekranie o wiele więcej informacji od swoich zachodnich partnerów, niż ci — od Interwizji.

POLONICA KULTURALNE

Grupa polskich śpiewaków występowała ostatnio w Paryżu: Leonard Andrzej Mróz odtworzył partię tytu- łową w przygotowanej przez radio francuskie oryginal- nej wersji „Borysa Godunowa” Musorgskiego, nadanej z udziałem i innych polskich solistów — Paulosa Rap- tisa i Marii Sart; Halina Łukomska uczestniczyła w koncercie zorganizowanym z okazji przyznania Grand Prix du Disque z jej udziałem plicie poświęconej twó- rczości Webera.

Scena eksperymentalna „Teatru 77” z Łodzi współpra- cowała z brneńskim zespołem „Divadlo na Provazku” przy wystawieniu w Brnie spektaklu, opartego na wy- darzeniach historycznych, dotyczących kontaktów polsko- czeskich w 1848 r.

W Tbilisi ukazał się wybór opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza w przekładzie na język gruziński.

W Bagdadzie w Galerii Sztuki Współczesnej otwarta została wystawa fotograficzna „Polacy i ich kraj” upa- miętniająca 35 rocznicę powstania PRL.

W ośrodku im. Kennedy’ego w Waszyngtonie odbyły się koncerty kompozytorskie Witolda Lutosławskiego, pod którego batutą wystąpiła Narodowa Orkiestra Sym- foniczna. Krytyk muzyczny dziennika „Washington Star” określił koncerty muzyki W. Lutosławskiego mianem wydarzenia muzycznego roku w USA.

Pracom nadesłanym z Polski przypało jedyne wyróż- nienie przyznane przez krytyków sztuki i znanych ma- larzy oraz przez jury dziecięce na „Miedzynarodowym konkursie rysunków dzieci” w Madrycie. W konkursie zorganizowanym przez Hiszpańskie Stowarzyszenie Przy- jaciół Dzieci i dziennik „Ya” uczestniczyli dzieci z 12 krajów.

20 LAT INTERWIZJI

Regularna wymiana wszelkiego rodzaju informacji i programów między wszystkimi członkami Interwizji da- tuje się od roku 1966. Coraz aktywniejszy udział bie- rze w nich i Kuba — kraj położony przecież na dru- giej półkuli. Byłoby to nie do pomyślenia bez wykorzy- stania dobrodziejstwa łączności satelitarnej. Wkrótce przystąpi do pracy naziemna stacja łączności kosmicz- nej w Wietnamie. W ten sposób programy Interwizji bę- dą mogli oglądać również mieszkańcy krajów połud- niowo-wschodniej Azji.

Tegoroczne plany działalności Interwizji przewidują wiele pozycji o bardzo poważnym znaczeniu. Kraje członkowskie ustaliły już zasady wymiany programów, poświęconych 110 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina.

Praktyka wykazała, że obchodząca swe 20-lecie Inter- wizja jest jednym z najważniejszych ogniw w działalności OIRT — wielkiej międzynarodowej organizacji radio- wo-telewizyjnej. Dostarczając wielu różnorodnych i in- teresujących wartości poznawczo-wizualnych zbliża na- rody, cementuje ich przyjaźń.



16-letnia Miss Francji, Patrycja Barzyk — ucze- nica II klasy liceum. 60 z kolei miss zna trzy języki; jej wymiary — 1,73 m — 85-60-85 cm, odpowiada- ją wymiarom Catherine Deneuve i Marilyn Monroe.

TYDZIEŃ W POLITYCE

rozwoju kraju. Z wielokrotnością też nasze możliwości oddziaływania na sytuację w świecie, a przede wszyst- kim w Europie. Jesteśmy bowiem o- gniwem wspólnoty państw, które stawiają sobie te same cele między- narodowe. Ścisłe współpracujemy w Doradczym Komitecie Politycznym Państw-Stron Układu Warszawskie- go i w Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Inicjatorem takich działań jest PZPR, która wnosi także swój zna- czący wkład w umacnianie ideowej jednności i współdziałania międzyna- rodowego ruchu robotniczego. Z in- icjatywy naszej partii oraz Włos-kiej Partii Komunistycznej w czer- wcu 1976 roku odbyła się w Berlinie Konferencja Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy, której doku- ment określa wspólne stanowisko w walce o odrzucenie na gruncie ist- niejącego porządku polityczno-tery- torialnego w Europie i zasad Aktu Końcowego KBWE.

Ugruntowaniu norm współżycia międzynarodowego, przyjętych przez helsińską Konferencję Bezpieczeń- stwa i Wzajemnej Pomocy, służyły bełradzkie spotkanie sygnatariuszy Aktu Końcowego Dzięki stanowcze- mu stanowisku krajów socjalistycz- nych nie udało się wypaczyć jego celów i spotkanie afirmowało wolę kontynuowania odrzucenia. W roku bieżącym odbędzie się kolejne spot-

Podobno praszek — uparcie, bardziej znany pod nazwą Boga, dmuchnął pierwszemu człowiekowi w bok, żeby obudzić w nim życie i ducha. Gdyby wtedy zamiast prasza dmuchnął Louis, człowiek o wiele lepiej by się udat — stwierdza Julio Cortazar w swej kronoplastycznej podróży w osiemdziesiąt światów wokół dnia, nazywając zresztą Louisa Armstronga chronologicznie pierwszym, przeogromnym kronopiem.

— Famy, uszy precz od jazzu! — chciałoby się zawołać. — Jazz to muzyka kronopistów! — po co jednak grać w stylu wielkiego Latynosa, kiedy można bardziej swojsko:

Są tacy, co nie znają się na stylach, ale znają się na rzeczy. Nie wiedzą, ani co do czego podobne, ani co kto wcześniej napisał. Ale wiedzą, co to Macondo. Wiedzą, co jest dla nich, jeśli mnie dobrze rozumiecie.

Słowa te znają jazzfani z okładki pierwszej płyty zespołu The Quartet, wydanej przez Poljazz. I dobrze je rozumieją, bo wiedzą, co jest dla nich.

Leopold Stokowski powiedział kiedyś, że jazz jest najbardziej zdumiewającym zjawiskiem w całej historii muzyki światowej, zaś Jerzy Waldorff przyznał publicznie, że blues zawiera te same cechy wielkiej sztuki, co Joanna d'Arc Honeggera.

Za jazzem nikogo już agitować nie trzeba. Nawet przeciwnicy uznali jego fascynującą oryginalność, przeogromną różnorodność i imponujące bogactwo.

Czyżby? Po tym radosnym zadeciu spuszcza noc na kwintę, zadając pytanie: czy istnieje Łódź jazzowa? Trudno bowiem udzielić na to pytanie odpowiedzi jednoznacznej, zwłaszcza gdy pamięta się o wspaniałych tradycjach...

W KREGU MITÓW I LEGEND

Wszyscy wiedzą, nikt nie zaprzecza: polski jazz odrodził się po wojnie w Łodzi wraz z Melomanami — jedną z najpiękniejszych legend — rodzimej muzyki synkopowanej.

W kwietniu 1947 roku w łódzkiej YMCA powstał klub muzyczny Melomani, w którym działali m. in. Jerzy Brodzki, Janusz Cegiełło, Aleksander Liniecki, Marian Tadeusz Suchoccy, Marek Sarti Szezerbiniński, Roman Wasilewski i Romuald Zieliński. Muzykują i popularyzują jazz, który jest dla nich wszystkim.

Jesienią 1949 roku — wspomina Jerzy Brodzki — pozyskaliśmy do naszego klubu nie tylko kogoś, bo późniejszą — i obecną — gwiazdę jazzu. Dowiedziałem się, że w stołowie uniwersyteckiej — „Gęsie piórno” na Piotrkowskiej — pewien facet świetnie gra na saksofonie. Poszedłem tam, posłuchałem. Przyjechał właśnie z Krakowa, by zapisać się do Wyższej Szkoły Filmowej. Przedstawił mi siebie. Jerzy Matuszkiewicz — powiedział. Przyszedł do nas i zaczął grać.

Przyszedł Jerzy Duduś Matuszkiewicz — nazwany później przez Don Ellisa pierwszym w polskiej Polsce jazzmanem — i zaczął robić jazz, mimo iż YMCA została wkrótce zlikwidowana a sama muzyka — uznana za ideologicznie obcą. Melomani przetrwali jednak ten najtrudniejszy okres. Wprowadził Matuszkiewicz stworzył nowy kwintet (J. Duduś Matuszkiewicz — cl, ts, A., Ikon Wojciechowski — tp, A. Trzaskowski — p, W. Kujawski — b, W. Dentosz Sobociński — dr), lecz od starej nazwy nie zdołał się oddegnać: nadal nazywano ich Melomanami. Grywali gdzie się dalo: na balach w szkole filmowej, w knajpach, w mieszkaniach prywatnych.

Sam Duduś wspomina ten okres: Grając do tańca, stawali się przemycać jak najwięcej czystego jazzu. To nieoconspiracyjne uprawianie „zakazanego owoc” przetrwało nasze działalności bohaterkiego romantyzmu, mimo woli z muzyków staliśmy się szermierzami walki przeciw schematyzmowi.

Ech, iza się w oku kręci... Melomani przetrwali najgorsze, wychodząc w końcu z podziemia w ładny dobrego muzyki, rozmowy w swingu. Wiele łódzian pamięta zapewne ówczesne imprezy jazzowe, które elektryzowały całe miasto. W marcu 1955 prelekcje Jerzego Skarżyńskiego z historii jazzu w Klubie Dziennikarza, ilustrowane przez Melomanów. W grudniu 1956 w sportowej hali Wimy na Widzewie entuzjastycznie przyjmowana orkiestra

Teddiego Cottona. W 1957 r. w Filharmonii Łódzkiej prawdziwe koncerty jazzowe, organizowane przez dyrektora Janusza Cegiełłę (sic!) — z udziałem obu składów Melomanów: dixielandowego i bebopowego. I wiele wiele innych...

W 1957 roku Melomani przenoszą się do Warszawy, lecz jazz w Łodzi pozostaje. Działa aktywnie zespół Hot Seven A. Wojciechowskiego, zaczyna podbijać publiczność Tiger Rag.

Łódź jest w tamtych latach ciągle jednym z najaktywniejszych ośrodków jazzowych w kraju. A przecież tradycje są znacznie głębsze i wcześniejsze, o czym najmłodsze generacje jazzmanów pownie niewiele wiedzą.

Zaraz po wojnie działały tu znane jazzowe orkiestry taneczne braci Artura i Mieczysława Harrisów (tak, ten pierwszy, to autor Piosenki o mojej Warszawie) czy braci Daniela i Włodzimierza Łopatewskich (dwa standardy Caravan i In the mood w jej wykonaniu przypomnieli nam ostatnio Polskie Nagrania).

Pozostając jeszcze chwilę w kregu wspomnień, sięgnijmy po arcydzieła cytaty:

Osobny rozdział mojego zainteresowania jazzem stanowi... trąbka. Wprost pokochałem ten instrument. Może to zastąpa Armstronga? A może Makowieckiego...? Andrzeja znanem dość długo. Grał w łódzkim zespole „Tiger Rag” razem ze świetnym puzonistą Andrzejem Dorawą, kłarnecistą Henrykiem Czekalskim, perkusistą Andrzejem Orłowskim i innymi. To była dobra kapela, w ich wykonaniu stary jazz miał wyraz świeży i pełen ekspresji.

Po raz pierwszy usłyszałem jednak Makowieckiego w sierpniu 1963 w Uście. Siedzieliśmy przy wodce w „Baltyckiej”, na samym morzem. Do tańca przystępowała orkiestra, jak to o tej porze w knajpie — martwa i senna. Aż o północy Maki zadął w trąbkę. Miał taką starą, pogiętą, zaplesniałą czeską trąbkę. Wszedł na estradę i zaczął kosić. Sala pełna frajerów, wszyscy stanęli bez ruchu, zamilkli i w wielkiej ciszy Maki zasadił trzy numery. Ogień z trąbki mu szedł (...). Dzięki niemu usłyszałem najbardziej wstrząsający jazz, jaki można sobie wyobrazić: dynamiczny, ekspansywny...

Tak, to mowa o Andrzeju Makowieckim — dziś znakomitym reporterze, interesującym pisarzu, który — mam nadzieję — wybaczy mi, że posłużyłem się jego jazzową przesłócią, aby jeszcze bardziej przybliżyć i lepiej oddać wspaniałą atmosferę, jaką tętniła ongiś jazzowa Łódź.

Ech, iza się w oku kręci — znów rozbrzmiewa smutny refren. Brać i słosy w jazzie, czy tylko wspominki nam zostały?

CO DZIŚ GRAMY?

Czy istnieje Łódź jazzowa? — szukając odpowiedzi na to pytanie, przeprowadziłem rozmowę z pewną osobą, w której dyktorskich kompetencjach leży również upowszechnianie jazzu w naszym mieście. — Zainteresowanie jazzem ma zasięg ograniczony, bardzo wąski, może trochę studentów — zaczęła mnie nauczać owa osoba, której nazwiska nie wymienię, gdyż dalszy ciąg rozmowy był jeszcze bardziej kompromitujący: kompletna, bezdenna wręcz ignorancja!

Jak to się stało, że wybierając się do Europy i mając swobodę w wyborze kraju, zdecydowaliście się na przyjazd do Polski? — Bo tu jest centrum europejskiego jazzu. — Przecież, a skąd taka informacja? — Jak to skąd? To się wie! Taka oto rozmowa odbyła się między Stanisławem Cejrowskim, a Thomasem Carterem z nowojorskiego big-bandu The Fredonia Jazz Ensemble, który przez dwa tygodnie koncertował w naszym kraju.

Kurtuazja to tylko ze strony szacownego gościa?

Przeglądam wyniki ankiety Jazz forum top people '79. Najlepsi w Europie: muzyk roku — Jan Garbarek, combo — grupa Jana Garbareka (trzęcie miejsce Zbigniew Namysłowski Quartet), trąbka — Tomasz Stańko, sopranosax — Jan Garbarek, altsax — Zbigniew Namysłowski tenorsax — Jan Garbarek (drugie miejsce — Tomasz Szukalski), piąte — Janusz Muniak), skrzypce — nieżyjący Zbigniew Seifert (trzęcie w Europie i drugie w świecie — Michał Urbaniak), fortepian — Adam Makowicz, grupa wokali-

na — Novi Singers, płyta roku — Jarret (Garbarek) Danielson Christensen: My Song (ECM), trzęcie miejsce — Zbigniew Seifert: Man of the Light (MPS), piąte miejsce — Zbigniew Namysłowski (Muza). A nadio: organy — trzęcie miejsce Wojciech Karolak; inne instrumenty — piąte w Europie Namysłowski (cello) i piąte w świecie Urbaniak (lyricon), wokalistki — trzęcie Urszula Dudziak, kompozytorzy — piąte Namysłowski.

Dobry jesteście. Serce rośnie! Chce kto, czy nie, ale prawda jest taka: wśród ambasadorów polskiej kultury na świecie najwięcej mamy obecnie jazzmanów, bo to ludek nader ruchliwy i energiczny, a

Po euforycznej końcówce lat pięćdziesiątych w latach następnych odwróciła się od jazzu spora część publiczności, zwłaszcza młodsze jej generacje, które daly się bez reszty urzec big-beatowi, całkiem nie pomnie tego, iż owa hałaśliwa, elektryczność pełna muzyka — również z jazzu wyrosła.

Big-beat zagłuszył jazz nie na długo zresztą. Przesadziła o tym ewolucja tak jednej, jak i drugiej muzyki, które musiały się gdzieś w końcu zetknąć, gdyż obie z jednego pnia się zrodziły i to przecież nie w kształcie prostych równoległych. Zetknęły się na tej, tak trudno dziś uchwytniej, granicy jazzu i rocka.

Ragtime, Nowy Orlean, dixie-

JACEK INDELAK

REQUIEM



Foto: R. Łucyszyn

DLA JAZZU?

do tego cholernie ambitny. Nad wieloma zaś artystami ma tę przewagę, że posługując się językiem uniwersalnym, jakim jest jazz, nawet w jego najbardziej polskim wydaniu.

Czy w stwierdzeniu, że Polska jest centrum europejskiego jazzu, kryje się wiele przesady? Wiele nie.

Akiyosi, Tabackin, Hubbard, Shepp, Jones, Lewis, Herman, Rich, Kenton, Evans, Rosen-gren, Herbolzheimer, Getz, Brookmeyer, Drew, Solal, Lubat, Vesala, Krog, Vaughan, Carter, Magnusson, Waters, Zwerin, Escoude — oto na przednie wynotowane z pamięci garść nazwisk, tych większych i największych. Nazwisk luminarzy jazzu, którzy w ostatnim czasie przywieźli swoją muzykę do naszego kraju. Niektórzy byli nawet parokrotnie, spora część uczestniczyła w kolejnych edycjach festiwalu Jazz Jamboree, który jest dziś jednym z najbardziej liczących się w świecie. Tak jak jednym z najbardziej liczących się czasopism jest miesięcznik Jazz, stworzony przez Józefa Balceraka, a sprzedawany w 20 krajach 5 kontynentów. Liczy się też coraz bardziej ewenement w naszej żalostnej rzeczywistości płytowej — Wydawnictwo Płyto-towe Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego Poljazz. Międzynarodowy zasięg ma jego konkurentka — wytwórnia płytowa Helicon, firmowana przez Międzynarodową Federację Jazzową, a mieszcząca się w Warszawie, podobnie jak robocza redakcja dwumiesięcznika federacji — Jazz Forum.

Bywało różnie, lecz dziś polski jazz ma wspaniałą pozycję, nie gorszą też pozycję ma jazz w Polsce. Najważniejsze — ma swoją publiczność, której o mało nie utracił.

land, Chicago, swing, bebop — kolejne style i etapy rozwoju jazzu które poprowadziły go w stronę coolu i hard bopu, z jakich zrodził się w końcu free jazz. Tradycjonalisci twierdzą, że w stronę free jazz się nie przerosł, lecz wyodręblił, wynaturzył, nie mają jednak racji. Free — stanowiąc kolejny naturalny etap rozwoju jazzu — rozsadził go niejako od wewnątrz, doprowadził do rozluźnienia, do liberalizacji jego gramatyki i poetyki, która umoliwiła z kolei narodziny jazzu lat siedemdziesiątych. Electric jazz — nazwijmy tak, wbrew niechęci Joachima Berendta ten, żywy wciąż, styl — przyczynił się w sporej mierze do swoistego renesansu muzyki jazzowej, która znów na długo odzyskała masową widownię.

Jazz ma więc swoich fanów — reprezentujących wiele pokoleń, włącznie z młodszymi, którym przedjady się banalne i płytkie piosenkareczki.

Jazz zresztą — po swoich fascynujących przygodach z rockiem — zaczyna szukać znów dróg nowych, bo sam jest przecież wieczną tułaczką i wiecznym poszukiwaniem. Zatrzymał się jakby, zamyslił, snuć zaczął refleksje — a może by tak wrócić do głównego nurtu, odczekać, przeczekać, poczekać na nowe pomysły? Zawsza więc spora część muzyków w stronę, która się zowie main stream. A za sobą pociąga tych, których zwabił niedawny rockowy sztafaj, którzy jazz kupili za cenę elektrycznych keyboards, wah-wah i fuzz, przesuwając fazy i modulatorów pierścieniowych, wah-tonów i multividerów, różnych moogów i syntetyzerów. Pociąga ich za sobą tam, skąd przyszedł. I nagle co się oka-

zuje? Ze nawet ci najmłodszy jazzfani, elektronicznego chowu, z nie mniejszym dziś aplauzem słuchacząc zaczyna żywiłowego traditionalu, oklaskując swingujące big-bandu i kontemplując comba, wyraźnie zatracając intelektualizmem z coolu rodem.

Słowem, jest fajnie. Co więc dziś gramy?

Improwizujmy dalej, prowadząc temat w coraz to niższe rejestry.

Niezapomniany Krzysztof Komeda-Trzciński zwierzał się kiedyś: Jak wszyscy polscy jazzmani marzę o graniu w klubie, na sobie sprawdziłem, ile daje codzienne beśpośrednie granie i słuchanie dobrej muzyki. Poza tym tylko w klubach można wychować prawdziwego wrażliwego odbiorcę. Jazz bez klubów — to bezsens!

Ciągłość za intensywnym życiem jazzowym, za właściwą atmosferą, za klimatem dla twórczości jazzowej byty i są obopólne. Podkreślali je zawsze tak muzycy, jak słuchacze. A bywało różnie. Bywało tak, że jedyną szansą na posłuchanie jazzu było sięgnięcie po zdobytą z trudem płytę lub na-stawienie odbiornika na zagraniczną radiostację. Bywało też, że w świetlicach, klubach, knajpach, w parkach, na estradach na ulicy — rozbrzmiewał jazz.

To już wiemy. A jak jest teraz? Zależy gdzie.

Ma Warszawa — po osławionym baru na Wspólnej, po Siołochach i Hybrydach — klub jazzowy z prawdziwego zdarzenia: Akwarium i Remont. Mają też podobne placówki — choć nie na stołeczną przykrojone miarę — i inne miasta. Mają też wielkie, liczące się imprezy jazzowe.

Warszawa — Jazz Jamboree i Old Jazz Meeting, Wrocław — Jazz nad Odrą, Zabrze — Silesia Jazz Meeting, Lublin — Spotkania Wokalistów Jazzowych, Kraków — Zaduszki Jazzowe (nb. najstarszy w kraju festiwal jazzowy), Kalisz — Międzynarodowy Festiwal Pianistów Jazzowych etc.

A Łódź? Ma mieć — kolejne majowe Łódzkie Spotkania Jazzowe, z których jak do tej pory niewiele wynikało.

A TU POSPOLITOŚĆ SKRZECZY

Szkoda byłoby, gdyby błagający się dziś po łódzkich ulicach Obywatel Jazz, nie znajdując dla siebie miejsca, odszedł na dobre — pisał przed rokiem na naszych łamach (Odgłosy nr 11/79) Janusz Janyst, który w króciutkim tekście sygnalizował obumieranie ruchu jazzowego w naszym mieście. Cytował on wypowiedź Mariusza Stopnickiego, lidera zespołu Wersja 77. Warto ją przytoczyć powtórnie:

Nasz kwintet działa właściwie w konspiracji. Pomijając trudności ze znalezieniem miejsca na próby, nie mamy okazji do stałego grania dla publiczności. Dla muzyka jazzowego, dla jego rozwoju jest to, jak wiadomo, sprawa pierwszej wagi. Szczególnie palące są przy tym dla nas problemy zarobkowe. Nie udało nam się znaleźć mecenasa, pracujemy więc każdy w innej instytucji. Na jazz pozostaje niewiele czasu. Jeśli sytuacja nie zmieni się, wyjdziemy z Łodzi.

Mariusz Stopnickiego przegarnęło Wybrzeże. Wersja 77 przestała istnieć. Zespół — nieżył zresztą — rozpadł się, jak we wcześniejszych okresach zespołu Juliusza Wacławskiego, Henryka Capa i Jana Obergeka, Andrzeja Olejniczaka, nie mówiąc już o takich efemerydach, jak grupa Wrak. Na marginesie wspomnijmy, że świetny saksofonista Andrzej Olejniczak wyemigrował z Łodzi, gdzie nie miał szans. Dziś zalicza się do najbardziej wziętych młodych jazzmanów. Grał w pierwszych składach Extra Ball i Sun Ship, zaś po grupie No smoking i występach w RFN — kupił go Kazimierz Jonkisz do swego kwintetu.

Prawdziwe życie jazzowe Łódź skończyła się na Tiger Ragu — stwierdzają ze smutkiem melomani. I przypominają motyły wręcz żywot klubu Staryville w podziemiach przy Piotrkowskiej bodaj 55. Wytykają studentki klub jazzowy Forum, wokół narodzin którego było wiele szumu, a który istniał zaledwie pół roku, nie wykraczając zresztą w swej działalności poza stereotypowe prelekcje i muzykę mechaniczną. I tak dalej.

Obecność jazzu w Łodzi stała się prawie niedostrzegalna. Owo prawie sygnalizuje jednak,

że ruch jazzowy nie obumiera całkiem, chociaż ma dziś charakter wyraźnie szcztakowy.

Jednym z takich szcztaków jest jeden (słownie: jeden) stricte jazzowy... etat w naszej milionowej aglomeracji. Na etacie tym pracuje znany w środowisku jazzowym działacz — Maciej Jaworski, przewodniczący Łódzkiego Klubu Jazzowego.

Przypomnijmy tu, skąd się wziął klub, a więc i etat.

W marcu 1975 roku powstało Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe, któremu przewodniczył tenże sam Maciej Jaworski, a które usiłowało reaktywować ruch jazzowy. Po trosze mu to się udało: możliwości były jednak znikome. Wydział Kultury i Sztuki UŁ — z sympatią ponoć obserwujący próby reanimowania dogorywającego jazzu — postanowił pomóc stowarzyszeniu, wyświadczając mu w efekcie — nie tylko moja to opinia — przysiołową niedźwiedzią przysługę. Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe przestało istnieć, odradzając się równocześnie 1 marca 1979 roku w postaci Łódzkiego Klubu Jazzowego pod profesjonalnymi skrzydłami Stowarzyszenia Muzyki Estradowej.

Do tej pory nie wiem, dlaczego nie wzięto pod uwagę innego postulowanego wówczas rozwiązania: utworzenia łódzkiego oddziału Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego z filiami Agencji Koncertowej i Agencji Wydawniczej PSJ. Zamiast tego, utopiono jazz w estradowym kotle.

Co zdziało do tej pory klub? Tyle zaledwie, co jego nieprofesjonalny poprzodnik: kilka imprez jazzowych z kolejnymi Łódzkimi Spotkaniami Jazzowymi i łódzką edycją Jazz Jamboree na czele.

W przypadku tego ostatniego było zresztą wiele kwasów, gdyż okazało się, że koncerty gwiazd wymagały dofinansowania przez SME, a mimo to ceny biletów pozostały na tyle wysokie, że popsuły frekwencję. SME, które sądziło, że jazz jest kura znośną złotej jaski — padło ofiarą nieporozumienia, przykrego dla obu stron. Zresztą, gdyby nawet tak miało być, to na hodowlę kur też trzeba się znać, a nade wszystko — nie szczerzyć im ziarna, zwłaszcza że dopiero wykluły się z jaski.

Co jeszcze zdziało? Stowarzyszenie Muzyki Estradowej?

Objęło mecenat nad jednym łódzkim zespołem jazzowym o nazwie Swing Group (w aktualnym składzie: Krzysztof Oleśński — leader, ts, Piotr Salamon — as, Piotr Cholsy — tp, Henryk Cap — p, Marek Piaszkowski — g, Andrzej Kwieciak — b, Grzegorz Mizerski — dr). Nie wiadomo zresztą na czym ten mecenat polega, jeśli członkowie zespołu stwierdzają: — Utrzymujemy się z muzyki, ale z samego jazzu wyciąć się nie da. Żeby zapewnić sobie, a i rodzinom, minimum egzystencji — musimy chałturzyć. Smutne. Marzy nam się wciąż jakiś lokal, w którym moglibyśmy regularnie grać, a i robić próby. — Naszym ideałem, do którego dążymy — powiada Maciej Jaworski — niemal naszym marzeniem, jest posiadanie własnego lokalu, ale tu, niestety, w grę wchodzi straszne pieniądze.

Błaga się więc Obywatel Jazz — ze znacznikiem SME w kłapie — po ulicach Łodzi. I pewnie długo błądzić nie będzie, bo się do cna rozeźli i poczapie tam, gdzie otworzą przed nim ramiona.

Tym minorowym zadaniem moglibyśmy skończyć naszą improwizację na temat Łodzi jazzowej. Nie jest ona jednak posępnym requiem dla jazzu, który — mam nadzieję — wróci do łask animatorów naszego życia kulturalnego, jak wrócił do łask publiczności. Najpilniejsze potrzeby — oddział PSJ i klub czy piwnica — nie jest tak trudno zaspokoić.

Zwłaszcza że tu i ówdzie jest — jeszcze czy już? — klimat, jest właściwa dla jazzu atmosfera. Przykład najświetniejszy i nieco zaskakujący. Wspomniałem i hojnym patronem i mecenasem okazała się być Łódzka Fabryka Dywanów Dywan, w której Zakładowym Domu Kultury narodził się jazzowy... big-band Łódź, prowadzony przez Marka Łuczaka, absolwenta Wydziału Wychowania Muzycznego łódzkiej PWSM, który skupił w nim spore grono absolwentów i studentów tej uczelni.

Dywan stworzył warunki, nie szczędził pieniędzy i pomocy, teraz zaś czeka na efekty, a z nim cała Łódź jazzowa, która — mimo wszystko — chyba nadal istnieje.

Przypomniał mu się plac fabryczny, przez który szedł ku niemu uśmiechnięty Henryk. Dosyć będzie chyba tego gniewania — powiedział. — Chodźcie do mnie, pokażę wam syna. Jaworski milczał chwilę. Wnuka Piotrowskiego? — spytał. — No to co? — zjeżył się Matula. — Dobrze wiecie, co — odpowiedział, a Henryk spojrział na niego gniewnie. Nie myślałem — powiedział — że wam więcej chodzi o zemstę niż o sprawiedliwość. Odwrócił się i odszedł.

W tej chwili z głosiłki umocowanego tuż nad jego głową znów zabrzmiały dźwięki tego żalobnego marsza. Podeszedł do rogu budynku i spojrzął na plac przy szczytnym otoczone ciżbą ludzi. Po schodach czterech mężczyzn znośli trumnę, w alejce stał czerwony sztandar, a kilkanaście kroków przed nim białą księżowska komża.

Usłyszał obok siebie stukanie drobnych kroków i obejrzał się. Nie opadał, przy skraju alei, stanęła Sosnowska, tuląc w dłoniach rozwiniętą już z opakowania wiankę.

— Dobrze stąd będzie widać — powiedziała z nutą poufałości w głosie.

Nie odpowiedział. Popatrzył spod oka na holubione przez Sosnowską kwiaty związane fioletową wstęgą, na której złote litery głosiły. Zaczęli się sędziadzi rodzina Sosnowskich.

— Była pani sąsiadką Matuli? — spytał.

Spojrzała na niego koso. — Dobrze pan wie, że byłem — powiedziała. — Nieraz mnie pan tam widział. A mój mąż był przyjacielem Matuli, razem wędrowali we wrześniu.

Nie odpowiedział. Zauważył, że ksiądz ruszył przed siebie, a za nim w aleję wkroczył poczet sztandarowy. Z głosiłki przy domu pogrzebowym ciągle lały się zawodzące dźwięki marsza.

— Elegancki pogrzeb — powiedziała Sosnowska. — Przed moim mężem szła orkiestra tramwajarska, ale Matula też ma elegancki pogrzeb.

— Słyszałem o pani mężu — mruknął Jaworski. — Henryk śmiał się, że go szkolili i namówili do strajkowania.

— Może się i śmiał — odparła Sosnowska z wyniosłym spojrzeniem. — A w dwadzieścia lat potem ja się śmiałam, jak Matula przez trzy dni z fabryki nie wychodził.

Nie odpowiedział, bo sam nie go dził się wtedy z Henrykiem. Kiedy usłyszał, co się w fabryce dzieje, poszedł tam, choć był już od trzech lat na emeryturze i odszukał Matulę. Rozmawiali przy drzwiach, na sali pod ścianami siedziało kilka złych i zmęczonych kobiet. Matula nie chciał wracać do domu, twierdził, że ktoś rozsądny musi na oddziale zostać. Właśnie przyszedł na oddział jakiś młody chłopak, Henryk obmacał go, odebrał mu butelkę z wódką i obiecał, że odda ją po wszystkim. Młody przez chwilę próbował protestować, ale zamilkł, kiedy Matula oddał tę butelkę jakiejś zamasztyj kobiecie w fartuchu roboczym.

Kondukt zbliżał się powoli, a prowadzący go ksiądz był już blisko. Sosnowska zgięła się w jakimś półprzekłęk i przeżegnała pośpiesznie. Jaworski zaczął na sztandar i pozdrowił go wyprzedzając się i przykladając kapelusz do serca. Za sztandarem jakieś trzy dziewczyny niosły wieniec; chyba od zakładu, bo była wśród nich wnuczka starego rewolucjonisty. Potem, za jeszcze jednym wieniem, czterech mężczyzn niosło na ramionach trumnę: jednym z nich był, ani chybi, ten młody chłopak, któremu Matula odebrał wtedy w sali butelkę z wódką.

Za trumną szła między Ireną i Bronkiem Matulowa, a potem gęsta ciżba ludzi wypełniała aleję. Poczekali aż zrobiło się trochę luzniej i włączyli się do konduktu niespiesznie.

— Dzień dobry, panie Jaworski. Zobaczył obok siebie tę kobietę, której Matula oddał wtedy w dniach strajku odebraną młodemu butelkę. Była dziś bardziej zadbaną niż w tamtą noc, ale poznał ją od razu.

— Dzień dobry — powiedział. — Dawno panu znana Matule?

— Dwa lata po wojnie zabrał mnie ze wsi i przyprowadził do miasta — odpowiedziała. — Nawet i mieszkaliśmy u nich jakiś czas.

— A prawda — mruknął i przypomniał mu się, jak to chyba w roku zjednoczenia siedział w pokoju Matulów: rozłożona Matulowa pokazywała mu wielką fotografię ślubną, na której ona i Matula odrobieni byli w takich strojach, jakich nigdy chyba nie mieli. Wytrzymała mu — prosiła Matulowa — niech się nie upiera. Kolory jak żywe, rama elegancka. Henryk słuchał tego chmurny, zły. Jak to powiesz — powiedział — to ja się wyprowadzę.

— Ładny obrazek — odezwała się Łódź, ale Matulowa nie była rada z takiej sojuszniczki. Ty się nie wtrącaj — fuknęła. — To rodzinna sprawa!

— Przecież uciekła pani od nich — przypomniał spoglądając na Łódź, która nie bardzo przypominała tamtą urodziwą i pogodną dziewczynę.

— Bo nie mogłam z Matulową wytrzymać — przyznała. — Ale jak wróciłam do Łodzi i przyszedł do fabryki, to pan Matula nie nie mówił, że pracuję na tym samym oddziale co on.

— Właśnie — mruknął. — Niełatwo to była kobieta ta jego żona. — Pan Matula napisał na kartce, że mam przyjść na przyjęcie po pogrzebie. — Łódź była wyraźnie wzruszona.

— Rządzi się na tym pogrzebie jak szara gęś — powiedział. — Tak, jakby to był jej pogrzeb.

— Kto taki? — Łódź nie rozumiała, niczego, więc pojechała ją i zszedł na skraj alei.

Stał zamyślony, jakby nie widział mijających go ludzi, ale gdy w końcu kondukt zauważył Kaczorowską ożywił się i podeszedł do niej.

— Powinien ktoś przemówić w imieniu kasy — powiedział. — Skinęła głową.

— Oczywiście. Zrobi to dyrektor.

— Dyrektor? — nie spodziewał się tego.

— Sam się zgłosił — tłumaczyła Kaczorowska. — Podobno przed dwudziestu laty Matula uczył go pracować na krosnie.

Spodobało mu się to, co usłyszał.

— Dobrze bytoby zaśpiewać ją nad grobem Matuli!

Inżynier zdziwił się.

— Czy on siedział w więzieniu? Nigdy o tym nie słyszałem.

Pomyślał chwilę. — Macie rację — powiedział. — Nie siedział. Trzeba wymyślić coś innego.

Zostawił zdumionego inżyniera i szybko poszedł za konduktem, który skręcił już w boczną alejkę i zmierzzał do miejsca, gdzie nad przymą świeżego piachu stali robotnicy cmentarni. Ksiądz doszedł do otwartego grobu, przystanął i dyskretnymi gestami wskazywał miejsce pochówku sztandarowemu i delegatom z wiencami. Odtwarzany z taśmy marsz sęczył się ciągle gdzieś daleko. Niosący trumnę zbliżyli się do mogiły i oddali swe brzemie fachucom; za chwilę trumna stanęła na ziemi. Wokół niej, rodziny, księdza i kupki piachu zaczęli skupiać się uczestnicy pogrzebu.

Ksiądz rozejrzał się i uznał, że winien już rozpocząć pogrzebową ceremonię. Postąpił krok naprzód i w tej chwili z ciżby przepchnął się nad trumnę Jaworski, zdecydowanym gestem ręki zatrzymał celebrans i wyprzedził się uroczysto. Jednym rzutem oka ogarnął zebranych, nabrał powietrza w płuca i donośnym głosem zaśpiewał:

obejrzała się za siebie i wskazała ręką na wysoki blok stojący po drugiej stronie uliczki. — Kiedy byłam tu poprzednim razem, jeszcze go nie było.

— Wkrótce wszystko zabudują — mruknął. — Wszystko będzie nowe, wielkie, niszczyste.

— Czy Broniek buduje to osiedle? — pytała Irena.

Dziewczyna potrząsnęła głową i powiedziała, że ojciec buduje gdzie indziej, ale takie same grzmoty.

Przez niewielkie drzwi i małą sionkę weszli do pokoju, który Jaworski znał doskonale i pamiętał doskonale. Na kanapie pod oknem siedziała Matulowa, Broniek stał obok niej, a naprzeciwko pod ścianami zebrał się goście i było ich nawet sporo: Kaczorowska i Plich; Wysocka i młody chłopak (ten od butelki wódki), wnuczka rewolucjonisty i Sosnowska; kierownik oddziału Matuli i jakiś młody chłopak w jasnej, skórzanej kurtce.

— Jesteśmy w komplecie — powiedział Broniek. — W imieniu matki i pozostałych członków rodziny dziękuję państwu za przybycie. Dziękuję za spełnienie życzenia ojca, bo on chciał, by najbliżsi mu ludzie spędzili w tym domu kilka chwil po jego pogrzebie.

zostali, a nie dla tych, co odeszli. — A kto został? — spytał Jaworski. — Tylko matka? Ty nie zostajesz, ja nie zostałem? Dla mnie też był ten pogrzeb.

Broniek uśmiechnął się lekko. — Wszyscy to słyszeli — powiedział. — Zagniewał go ten uśmiech.

— Nie w tym nie ma śmieszności — mruknął. — Powiem prosto: mam żal do ciebie. Nie dopilnowałeś.

Broniek rozłożył ręce i westchnął. Wyglądał jak chłopak, który coś przeszkrobał i nie wie, jak się wytłumaczyć.

— Ech, Matule, Matule — powiedział Jaworski. — Baby was za nos wodzą. — Broniek znów nic nie odpowiedział, więc trzeba było kończyć rozmowę. — Niedługo będę się zbierał — oznajmił. — A do twojej matki nie podejdę. Nie giewaj się.

Odwrócił się od Bronka i ruszył w stronę wyjścia. Po drodze zobaczył nad etażerką wielkie ślubne zdjęcie Matulów: nigdy dotąd tu nie wisiało. Z Henryka zrobił fotograf jakiegoś barana, a z Henrykowej aniołka.

Zatrzymał się i patrzył na ten nowy dowód winy. — To ma być Matula? — spytał ktoś za Jaworskim. Obejrzał się; stał za nim kierownik Henrykowego oddziału i Kaczorowska.

— Dopiero teraz powiesiła — powiedział Jaworski. — Nieboszczyk kazał to wyrzucić, ale jak oczy zamknęły...

Kierownik i Kaczorowska spojrzeli po sobie zakłopotani.

— Chciałbym — powiedział kierownik — zapisać sobie słowa tej pieśni, którą pan śpiewał. Bardzo mi się spodobała.

— Dużo ich jest — powiedział Jaworski. — Zapisz i zostaw dla was na portierni.

— Sprawiliście wszystkim niespodziankę — powiedziała Kaczorowska. Jaworski spojrzął na nią uważnie.

— Wcale nie myślałem o wszystkich — rzekł. — O jednym człowieku myślałem.

Skinieniem głowy pożegnał kierownika i Kaczorowską i ruszył w stronę wyjścia, ale zastąpiła mu drogę Irena, trzymająca w ręku tacę z kieliskami. — Bardzo proszę — zaproponowała.

— Chyba że z tobą.

Zgodziła się i gołnęła jak chłop, bez zmużenia oka, a potem zaprowadziła go do stolika i nałożyła na talerz kielbasy z chrzanem. Nawet dobra była ta kielbasa, a chrzan wiercił w nosie jak trzeba.

— Zdaże się — powiedziała — że dał pan burę Bronkowi. Po rozmowie z panem miał nitegą minę.

Rozejrzał się: Broniek rozmawiał właśnie z Kaczorowską.

— Ciekaw jestem — spytał Jaworski — czy jego żona często naciera mu uszu?

Irena powiedziała, że chyba tylko wtedy, kiedy trzeba i przeprosiła go mówiąc, że musi pełnić obowiązki gospodyni. Nałożyła na talerzyk jeszcze kawałek kielbasy i zauważył, że opodał stoi młody chłopak z oddziału Henryka i dziobnie widelcem swój talerzyk z wyraźną złością. Jeszcze niedawno ten chłopak rozmawiał pod oknem z Henrykową wnuczką, ale teraz zastąpił go ten w skórzanej kurtce.

— Nie ma się co złościć — powiedział Jaworski. — Tego towaru nie zabraknie.

Młody uśmiechnął się kwaśno i nie nie odpowiedział. Jaworskiego wcale to nie zniechęciło.

— Widziałem — powiedział — jak Matula odebrał wam w siedemdziesiątym butelkę wódki. Co się z nią stało?

Młody najwyraźniej nie rozumiał o co chodził.

— No wtedy, kiedy ludzie przez trzy dni na oddziale siedzieli — przypomniał Jaworski.

A wtedy — rozjaśnił się chłopak. — Oddał mi tę butelkę. Oddał ją, jak wychodził z parku po wszystkim, tak jak powiedział. Nawet gołnęliśmy sobie zaraz w parku nad stawem.

Zasmiali się obaj.

— Nie podziękowałem wam — powiedział Jaworski.

— Za co?

— Nieśliście przecież Henryka.

Młody zdziwił się.

— Każdy by to zrobił — powiedział.

— Pan był krewnym pana Matuli?

— Krewnych się nie wybiera — odparł, machnął ręką i szybko wyszedł do ogródka. Przez chwilę stał przed drzwiami i rozglądał się wokół. Zobaczył, że ścieżką od furtki wraca Łódź, zamyślona, smutna.

— Co tam pani zobaczyła? — spytał.

— Zobaczyłam, że czas ucieka — powiedziała. — Wszystko zmalało, skurczyło się. Ostatni raz byłam tu chyba trzydzieści lat temu.

Wesła do domu, a on, wzdłuż frontowej i szczytowej ściany przeszedł za dom, do szopki. W piętrowych klatkach siedziały tu Henrykowe króliki, rozleniwione, zadbane. Stał przez chwilę przed klatkami,

EDWARD SZUSTER

SKRYTKA



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— To dobrze — powiedział. — Gdyby jeszcze orkiestra zagrała „Czerwony sztandar”, to by było jeszcze lepiej.

— Nie mamy orkiestry — uśmiechnęła się Kaczorowska.

— Wiadomo — wzruszył ramionami. — Teraz tylko na gitarach potrafią grać, a chodzą z gitarą na cmentarz — gupio. Zresztą „Czerwonego sztandaru” na gitarach grać nawet nie wypada.

Po kilku krokach natknął się na inżyniera Plichę, który stał przy alejce i masował sobie prawe ramię.

— Co panu jest? — spytał.

— Nic — uśmiechnął się inżynier.

— Trumnę niosłem...

— Znal pan Matulę?

Inżynier pokiwiał głową.

— Poznałem go w 1945 — rzekł.

tak, jakby ta data była szczególnie ważna. Jaworski przypomniał sobie, kiedy to po raz pierwszy zobaczył inżyniera. Siedział wtedy razem z Matulą w prezydium jakiejś narady; na mównicy prelegent gromił o konieczności zaostrzenia walki klasowej i potrzebie likwidacji niedobitków reakcji. Matula szturchnął Jaworskiego w łokieć: Popatrz na tego pod oknem — powiedział. Pod oknem siedział samotnie wysoki, młody jegomość i uważnie oglądał swoje palce. Myśle — szepnął Matula — że on ma teraz pietra. — Czemu? — zdziwił się Jaworski, a Matula uśmiechnął się lekko. Bo był krajowcem — powiedział — i chyba wie, że ja o tym wiem. — Krajowcem? — zdziwił się Jaworski, a Henryk wzruszył ramionami. Co ty tam wiesz — powiedział. Całą wojnę przesiedzieliś w Prusach.

Starszy o dwadzieścia pięć lat Plich przestał masować ramię. Jaworski spojrzął na niego z nadzieją.

— Inżynierze — spytał. — Czy znacie pieśń „Złamany więzienną katusz”?

— Nie znam — odparł inżynier. — A co się panu przypomniało?

Dla sprawy wolności i ludzi przedwojenne wstąpił dziś w grób...

Jaworski widział przed sobą twarz znajomą i nieznajomą, ale na każdej z nich malowało się zdumienie. W ciszy, jaka zapanowała nad mogiłą, śpiewał dalej:

...A my, towarzysze twojej walki na cmentarz odnieśliśmy twój trup...

Zobaczył błysk zrozumienia w oczach Plichy i lekki uśmiech na twarzy Kaczorowskiej. Znowu nabrał tchu w piersi.

...Nie zmarłeś za kratą więzienną,

nie zgnęł nad tobą się kat.

Zamknęliśmy sami twe oczy

gdyś żegnał na zawsze ten świat...

Usłyszał, że w połowie ostatniej zwrotki wsparł go czysty głos kobiety. Odwrócił się w stronę śpiewającej i zobaczył, że jest nią Sosnowska.

Irena prowadziła swój samochód w milczeniu, nie nie mówiła córka Bronka siedząca na tylnym siedzeniu. Jaworski też nie miał ochoty na rozmowę, ale raz czy drugi uśmiechnął się do swoich myśli. Kiedy samochód stanął, wysiadł pośpiesznie, by zrobić miejsce Henrykowej wnuczce.

Dziewczyna zgrabnie wydołała się z tego małego pudełka i wszyscy troje podeszli do furtki. Ceregielowali się trochę przy wejściu, bo one chciały, by wszedł pierwszy — pewnie ze względu na lata — ale on wiedział przecież, co się należy.

Ostatecznie Irena weszła najpierw, dziewczyna potem, a on na końcu. Wąską alejką szli przez ogródek do drzwi niewielkiego domku.

— Nie mogę się przyzwyczaić do tego grzmota. — Irena przystanąła,

a potem zorientował się, że nie jest tu sam. Henrykowa wnuczka przyprowadziła tu tego młodego w skórzanym kurtce.

— To jest dziadka hodowla — powiedziała.

— Królki — powiedział młody — to pracochłonny materiał. Uzyskanie od nich kilograma białka wymaga większych nakładów niż od innych zwierząt hodowlanych.

— Nikomu tu o żadne białko nie chodziło — zachnął się Jaworski. — Henryk za nie w świecie nie wzięty do ust swojego królika.

Młodzi zamilkli i popatrzyli po sobie.

— Nie wie pani — spytał Jaworski — kto je oprzątnął?

— Babcia — odparła dziewczyna. — Co rano się za to bierze.

— Dziwne — mruknął. — Dawniej nie lubiła tej roboty.

Zostawił młodych przy kłatkach i poszedł w stronę furty na ulicę. Kładi już rękę na klamkę, kiedy usłyszał głos Ireny. Stała przy drzwiach domu.

Wrócił. — Dobrze, że jesteś — powiedział. — Chciałem się pożegnać.

Irena potrząsnęła głową.

— Najpierw musi pan zobaczyć się z mamą.

— A po co? Wiesz, jak jest. Nie mamy o czym mówić.

— Wypada przecież pożegnać się z gospodynią.

— Nie ucz mnie, Irenu — powiedział. — Przecież nie o ceregiele chodzi.

— Czy pan się jej boi? — spytała. Wrzucił ramionami.

— Nie jej się boję — powiedział — a siebie. Rozumiesz? Siebie. Mogę nie strzymać i nagadam czego nie trzeba.

Wzięła go lekko pod ramię i wprowadziła do sieni. Za chwilę byli w pokoju. Plich grzebał coś przy stoliku z zakąskami. Kaczorowska rozmawiała z wnuczką rewolucjonistą, a Broniek z kierownikiem Henrykowego oddziału. Szumiało w pokoju od tych rozmów, a Matulowa siedziała po staremu na kanapie i patrzyła w drzwi, jakby na kogoś czekała.

Jaworski podszedł do kanapy i ukłonił się. Wdowa ruchem ręki poprosiła, by usiadł, więc usiadł.

— Irena mi wszystko mówiła — powiedziała. — Wiem, co myślicie.

— Nie będę się zapierał — odparł. Bez słowa podniosła się z kanapy, podeszła do komody wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej jakąś paczkę. Wróciła i siadła przy nim.

— Chcecie to odebrać? — spytała, podając mu plik jakichś kartek.

— Co to jest?

— Zobaczą.

Przyglądał się tym kartkom zapisanym wyblakłym atramentem. Ujrzał nagle jeniecki barak, stół, a wokół niego kilku zbiedzonych kolegów w złanych mundurach i siebie samego, powoli, uważnie zapisującego blankiet listu. Do kogo piesz? — spytał ktoś. — Mówisz, że nie masz rodziny, a piesz. Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią. Mam rodzinę — oświadczył. — Sam ją sobie wybrałem.

Przyglądał się paczce tych listów, a potem spojrział na Matulową. — To ja pisałem.

Matulowa skinęła głową.

— Do was.

— Z Prus — potwierdziła. — Przyszło trzydzieści lat temu. Chcecie je odebrać.

Patrzył na nią, na listy, na pokój. — Niech zostaną — rzekł po chwili. — tu ich miejsce.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i wtedy przydreptała do nich Sosnowska.

— Niech pan powie — spytała — czemu pan nie zaczął śpiewać tej pieśni od początku, tylko od środka?

— Specjalnie — uśmiechnął się Jaworski. — Nie pasowało nad grobem śpiewać o wieziennych katuszach.

— To i racja — zgodziła się Sosnowska.

— Od razu tak pomyślałam — dodała Matulowa.

— To znaczy, pamiętacie jak to idzie? — spytał?

Matulowa skinęła głową i zaśpiewała trochę drżącym, ale jeszcze mocnym głosem:

Złamany więzienną katuszą...

...skonałeś bez żalu i łka — śpiewały już obie: Matulowa i Sosnowska.

Jaworski przyłączył się do tego chóru.

...swej walce o sprawę ludową złożyłeś ostatnią swą dłoń.

W pokoju zrobiło się cicho; wszyscy obecni patrzyli w stronę kanapy.

— Kombatancki — powiedział do Plicha chłopak z Henrykowego oddziału.

Publikujemy drugą część artykułu zamieszczonego w zachodniemieckim tygodniku „Der Spiegel”, mówiącego o grabieży dzieł sztuki.

W wydobywaniu z ziemi i wysyłaniu do swego kraju cudzych dóbr kultury szczególnie gorliwość wykazywali archeolodzy francuscy, działający w Egipcie. Z niewądzką odbili sobie to, co Francja straciła sto lat wcześniej wskutek zwycięstwa Brytyjczyków pod Abukirem. Liczne towarystwa akcyjne i pojedynczy bankierzy finansowali własne ekipy badawcze, które przez całe lata prowadziły prace wykopaliskowe w dolinie Nilu. Dziełem Francuza Mariette było założenie Muzeum Egiptologicznego, które najpierw działało w Bulaku, a potem zostało przeniesione do Kairu. Muzeum to, kierowane przez naukowców francuskich, było również placówką kontrolującą eksport sztuki. Nikt nie ma wątpliwości co do tego, że przesyłki przeznaczone dla paryskiego Luwru, były kompletowane ze szczególną pieczołowitością.

Fakt, że kontrola eksportu dzieł sztuki z Egiptu znajdowała się w rękach Francuzów, a nie Egipcjan, było również na ręce archeologom z Niemieckiego Towarzystwa Orientalnego. Oni to właśnie w grudniu 1912 roku na terenie wykopalisk w Tell el-Amara znaleźli świetnie zachowaną głowę Nefretete. Kierownik ekipy archeologicznej i dyrektor Niemieckiego Instytutu Starożytności, Ludwig Borchardt, znalazł cenne znalezisko zapakować dyskretnie do jednego ze skrzyń, przeznaczonych do wysyłki do Berlina i — podobno już skontrolowanych i odcynowanych. Wiele lat później Borchardt oficjalnie temu zaprzeczał, nie ulega jednak wątpliwości, że francuski kontroler musiał przynajmniej oko.

Bezwzględne zagarnianie skarbów sztuki antycznej jest rzeczą złą, ale o wiele bardziej okrutne jest to, co zrobili władcy kolonialni w Afryce i na wyspach morza południowego — mówią przedstawiciele Międzynarodowej Rady Muzeów (ICOM). Tam, podobnie jak swego czasu w Ameryce Południowej, zniszczono całokształt, niekiedy dotąd kultury, a przedmioty ich kultury wywieziono w charakterze surowców.

Tak np. Królestwo Dam-Home zostało całkowicie spłądowane przez francuskie oddziały kolonialne zanim w roku 1899 włączono je do posiadłości kolonialnych francuskiej Afryki Zachodniej. Europejczycy rozgrabili także kulturę Aszantów, żyjących na terenie dzisiejszej Ghany. Kiedy handlarze i misjonarze dostatecznie już się obłowili, w roku 1896 Brytyjczycy zajęli stolicę tego kraju, Kumasi i w roku 1902 przekształcili cały ten obszar w swoją kolonię. Ooek niezliczonych drobnych figurinek ze złota, zabrali oni wówczas złote ozdoby królewskie, nabijany złotą blachą królewski hełm oraz liczne, cudowne roboty posągów o przeznaczeniu kultowym.

Całkowite zniszczenie miejscowej kultury dokonali Brytyjczycy także w królestwie Beninu, leżącym na obszarze dzisiejszej Nigerii. W odpowiedzi na zmasakrowanie w buszu kilku brytyjskich urzędników kolonialnych, Wielka Brytania zorganizowała karną ekspedycję. Żołnierze obrócili w perzynę królewską stolicę i zrabowali wiele tysięcy artystycznych przedmiotów kultury, łącznie z zawartością królewskiego skarbcza. Ołbrzymią część tego skarbu znajduje się dziś w rękach prywatnych, najcenniejsze eksponaty zaś — przechowywane są w Muzeum of Mankond, które obok Muzeum Wiktorii i Alberta jest największym zbiorem zamorskich zdobyczy.

Już sama architektura wielkich muzeów europejskich świadczy o tym, że budowane były one jako wielkie skarby, w których miały być przechowywane dzieła zdobyte różnymi drogami. Przykładem tego mogą być: rozbudowany do gigantycznych rozmiarów w roku 1930 kompleks berliński muzeum nad Szprewą, paryski Luwr, którego budowę rozpoczęto w epoce Renesansu, ale ukończono — jako muzeum — dopiero za czasów Napoleona III, czy wreszcie utrzymane w pompatycznym stylu klasycystycznym British Museum — miejsce, w którym — jak się wyraził jego dyrektor, David Wilson — znalazło schronienie dziedzictwo kulturalne całego świata.

Brak tego dziedzictwa tym boleśniej odczuwają kraje, którym je zrabowano. Kiedy w roku 1970 otwierano nigeryjskie muzeum państwowe, jego dyrektor, Ekpo Eyo, skarżył się przedstawicielom komisji UNESCO, że większość eksponatów z dziedziny sztuki benińskiej to tylko fotografie, bądź kopie. Jego prośba do europejskich kolegów, by z okazji otwarcia muzeum przekazali Nigerii choćby po jednym egzemplarzu ze swych bogatych zbiorów kultury benińskiej, pozostała bez echa. Muzeum nigeryjskie nie otrzymało ani jednego eksponatu.

Na wniosek prezydenta Zairu, Mobutu Sese Seko, w roku 1973 kraje Trzeciego Świata przeforsowały w ONZ — mimo sprzeciwu państw zachodnich — rezolucję w sprawie zwrotu dóbr kulturalnych.

Od tej pory problem zwrotu dzieł sztuki jest tematem numer jeden na wszystkich sesjach UNESCO, z roku na rok też żądania stają się coraz bardziej natarczywe, ton — coraz bardziej agresywny, a reakcje obecnych właścicieli — coraz bardziej nerwowe. Ale nawet najdalej posunięta ustepliwość nie zdołałaby doprowadzić do rozwinięcia dialogu między Północą a Południem; kraje Trzeciego Świata na konferencji generalnej UNESCO w roku 1978 przedstawiły cały program rewindykacyjny, którego głównym punktem był zwrot bezprawnie zagrabionych dzieł sztuki. Gdybyśmy chcieli spełnić wszystkie te żądania — oświadczył członek COM, Thomas Hume — moglibyśmy zamknąć a kłódkę wszystkie nasze wielkie muzea.

Listy żądań zostały już przedłożone. P. de Jiva, dyrektor Muzeum Narodowego Sri Lanki,

gorący bojownik sprawy zwrotu dzieł sztuki, po wieloletnich poszukiwaniach w Paryżu sporządził 500-stronicowy katalog przedmiotów artystycznych znajdujących się w obcych rękach. Katalog ten zawiera udokumentowany opis 15 tysięcy przedmiotów znajdujących się w 147 muzeach 27 krajów, w większości — w USA, ale także w Anglii i Niemczech Zachodnich. Co najmniej 10 tys. dalszych przedmiotów artystycznych znajduje się w rękach prywatnych.

Ministrowie kultury innych krajów poszli za jego przykładem. Muzeum Narodowe w Dar es-Salam, na przykład, przystąpiło do sporządzenia listy zaginionych i skradzionych dzieł sztuki, których zwrotu domaga się Tanzania. Adresatami tych żądań są muzea RFN i NRD, ponieważ w okresie poprzedzającym I wojnę światową Niemcy misjonarze i oficerowie armii kolonialnej wywieźli z Tanzanii wiele cennych zabytków.

Postanowiono utworzyć specjalny komitet UNESCO, który po raz pierwszy ma się zebrać w roku 1980. Ma on rozpatrzyć roszczenia dotyczące zwrotu, lub rekompensaty za zniszczenie tych dzieł sztuki, które znalazły się poza krajem swego pochodzenia wskutek panowania kolonialnego lub obcej okupacji, bądź też w inny bezprawny sposób.

Z tą formułą nie chcą się zgodzić państwa zachodnie, twierdząc, że wszystko, co znajduje się w ich posiadaniu, zostało uzyskane drogą legalną. Zaś tam, gdzie istnieją jakiegokolwiek wątpliwości, nie sposób powoływać się ani na prawo międzynarodowe, ani nawet na prawo wojenne, albowiem kwestionowane przedmioty pochodzą na ogół z kolonii i protektoratów nie będących terytoriami suwerennymi, nie objętych więc konwencjami haskiimi z lat 1899 i 1907.

Również konwencja UNESCO z roku 1970, zakazująca handlu zrabowanymi dziełami sztuki pozostaje do dziś bezskuteczna, ponieważ nie została dotychczas ratyfikowana przez żadne z zachodnich państw uprzemysłowionych poza Kanadą i Włochami. Ponadto statuty wielu muzeów zawierają klauzule zobowiązujące ich kierownictwo do powiększania zbiorów nie zaś do pomniejszania ich przez zwrot liczących eksponatów. Kiedy w roku 1963 odprawiano nowy statut Muzeum Brytyjskiego znalazła się w nim klauzula, zakazująca zwracania komukolwiek przechowywanych w nim eksponatów.

Niepodobna jednak odmówić słuszności twierdzeniom zachodnich historyków sztuki, którzy dowodzą, że owe sporne dzieła sztuki antycznej, w krajach swego pochodzenia dawno już przepadłyby bez śladu. Znamiennym tego przykładem jest słynny Oltarz Pergamoński, będący dziś chlubą muzeum w stolicy NRD. W roku 1870 archeolog-amator, Carl Wilhelm Humann, pochodzący z Zagłębia Rury ufał się do Azji Mniejszej, aby z polecenia rządu tureckiego zbadać tam możliwości zbudowania linii kolejowej. W wiosce Bergama, dawnym Pergamonie, Humann natknął się na olbrzymie ilości walijskich się beładnie szczątków antycznych rzeźb. Stwierdziwszy z przerażeniem, że okoliczni mieszkańcy z pokrzytych rzeźbami marmurowych bloków po prostu wypalają wapno albo używają ich jako materii budowlanej, Humann postanowił uratować ten wspaniały zabytek. W 1878 roku turecki minister oświaty, Munif Effendi, wydał mu zezwolenie na prowadzenie prac wykopaliskowych. Wkrótce po tym Humann uzyskał także od wielkiego wezwra Savfeta Paszy, zezwolenie na wywóz dwóch trzecich części znaleziska. W następnym roku rząd turecki oddał niemieckiemu archeologowi także trzecią część.

30 lat potrzebowali następnie Niemcy specjalistów na zrekonstruowanie z drobiazgową pieczołowitością Oltarza Pergamońskiego, który umieszczony został w specjalnie w tym celu zbudowanym muzeum w Berlinie.

Również pozbawieni na ogół skrupułów Francuzi wystąpili w roli ratujących bezcenne zabytki — tym razem z Indochin. Przez wiele dziesiątków lat ściągali oni (m.in. także młody wówczas Andre Malraux) liczne pąsagi i plakorzeby z będącej wówczas kolonią francuską Kambodży, w tym jedną z najlepszych rzeźb w brązie kambujskiego twórcy Bodhisatwy Maitrei czy światowej sławy tors boga Wisnu. Niewątpliwie najcenniejszym spośród tych zabytków jest plakorzeba z frontonu świątyni Banzaj Srei pochodząca z X wieku. Doszło więc do tego, że w paryskim Musée Guimet można oglądać świetnie zachowane wspaniałe dzieła sztuki pochodzące ze świątyni w Angkorze, podczas gdy wiele zabytków pozostawionych na miejscu, przepadło w zameczu wołennym ostatnich lat, bądź też padło ofiarą niszczycielskiej pasji Czerwonych Khmerów.

Podobnie jak w przypadku Kambodży, Europejczycy uratowali przed zniszczeniem wiele dzieł sztuki z Czarnej Afryki i Indonezji — podkreślają zachodnioeuropejscy przedstawiciele UNESCO. Stephan Waetzold nazywa nawet muzea zachodnie finansowanymi przez podatników oknami wystawowymi Trzeciego Świata. Wykształcenie w europejskich uczelniach historycy sztuki z krajów rozwijających się nie kwestionują bynajmniej tego poglądu. Zdają oni sobie sprawę, że żądania zwrotu wszystkich dzieł sztuki naraz są bezcelowe, a nawet pozbawione sensu. Większość krajów rozwijających się nie posiada bowiem odpowiednich warunków dla przechowywania cennych eksponatów, przede wszystkim zaś — wyszkolonego personelu dla ich konserwacji. Ani jeden spośród krajów afrykańskich nie dysponuje na tyle rozwiniętą infrastrukturą, by móc w ogóle wystawić dzieła sztuki na widok publiczny — oświadczył niedawno przedstawiciel Meksyku w UNESCO, Cuevas-Cancino.

Zresztą niektóre spośród tych krajów w ogóle nie odczuwają takiej potrzeby. Żyjące w warunkach naturalnych ludy i plemiona afrykańskie i indonezyjskie, nie mają bowiem właściwej narodowej świadomości historycznej. W ich pojęciu dawna kultura nie ma żadnego znaczenia dla współczesności. Niektóre wierze-

nia plemienne zakazują nawet przechowywania przedmiotów kultu, co więc za tym idzie — obce są im wszelkie zainteresowania muzealne.

Muzealne zamiłowania Europejczyków ocalały od zapomnienia całe wielkie kultury — twierdzi nie bez słuszności przewodniczący zachodniemieckiego Stowarzyszenia Muzeów, Wolfgang Klauswitz. Świadomie unika on jednak odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób należałoby się ustosunkować do żądań rewindykacyjnych ze strony krajów o wysoko rozwiniętej świadomości muzealniczej, np. z Ameryki Środkowej i Południowej czy z Bliskiego Wschodu.

Albowiem właśnie przedstawiciele tych państw wyrazili ostatnio gotowość ograniczenia swych żądań do nielicznych przedmiotów o wyjątkowym znaczeniu (cytat z dokumentu UNESCO), a mianowicie do przedmiotów, które mają znaczenie symboliczne dla własności kulturalnej jakiegoś ludu, lub plemienia, które są uważane nadal za przedmioty kultu religijnego oraz takich, które są charakterystyczne dla sztuki danego ludu.

W tych ściśle ustalonych ramach dyrekcie niektórych muzeów skłonne są rozważyć sprawę przekazania pewnych swoich eksponatów, zastrzegając sobie jednak prawo przeprowadze-



Venus z Milo (II w. p.n.e.) — w Muzeum w Luwrze

nia przed tym koniecznych prac konserwatorskich. Można już zresztą wymienić przykłady owocnej współpracy w tej dziedzinie: Australijczycy np. przed przekazaniem Papui — Nowej Gwinei, wywiezionych niegdyś stamtąd zabytków kultury, zbudowali w Port Moresby muzeum, kosztem 5 milionów dolarów. Zaś belgijskie Królewskie Muzeum Afryki Środkowej zobowiązało się do otoczenia opieką konserwatorską zbiorów przekazanych Zairowi i szkolenia miejscowych kadr muzealników.

Jednakże ani formuła opracowana przez UNESCO, ani dobra wola dyrekcji niektórych muzeów, nie są w stanie złagodzić wojny kulturalnej, jaka rozgorzała między Północą a Południem, a która ostatnio z szacownych muzealnych roszczeń rozszerzyła się na obszar, na których działają handlarze i przemysłowcy dzieł sztuki. Ci ostatni bowiem wykorzystują zwiększony popyt na sztukę z krajów Trzeciego Świata, dla uzyskiwania olbrzymich zysków na rynkach europejskich i amerykańskich, co z kolei do szalu doprowadza i tak już przeważających obronców dziedzictwa kulturalnego w Ameryce Środkowej i na Bliskim Wschodzie. Dochodzi do tego, że najpoważniejsi archeolodzy i miłośnicy dawnych kultur są z góry traktowani wrogo, a nawet szykanowani.

Nawet w Iraku i w Iranie nie da się już orzeknąć żadnego urzędnika, gdy idzie o wywóz zabytków ich narodowej kultury — stwierdza specjalizujący się w sztuce bliskowschodniej właściciel antykwarium w Zurychu. To nie to co dawniej — rozmarza się. — Niedługoś małe bakszysy można było przewieźć przez granicę wszystko, co się chciało...

W KRĘGU SZTUKI

Był tak wrywany w pejzaż Łodzi, że kiedy dotarła do mnie wiadomość o Jego nagłej śmierci, odniosłem dojmujące wrażenie, że rozbita została kompozycja tego pejzażu, złamany jego układ, wydarty zeń bardzo istotny, ważki dla całości element. Pejzaż ten stał się uboższym o prawdziwego malarza. O artystę, który przez całe życie wykonywał swój zawód najuczciwiej jak tylko potrafił, ale też — a może przede wszystkim — o człowieka. Prawdziwego, dobrego, życzliwego innym i ciekawego innych, mądrego nagromadzonego przez lata doświadczeniami.

Znałem Go od ponad dwudziestu lat. Nie byłem Jego studentem. Nie należałem do licznej grono Jego uczniów. Ale tak się złożyło, że przez te wszystkie lata spotykałem się z Nim bardzo często i wiele było rozmów, które pozwoliły mi poznać Go bliżej i lepiej niż zezwalała na to tylko Jego obrazy. Były to rozmowy lekkie i żałosne, różne. Było w nich miejsce na żart, anegdota, wspomnienie (miał ich wiele: studiował przecież w krakowskiej Akademii u Weiss'a i Kowarskiego, w Warszawie u Pekalskiego, był na stypendium w Paryżu, Dreźnie i Berlinie, przeszedł Powstanie Warszawskie, był wywieziony po jego upadku do Niemiec, mieszkał w Łodzi w 1947 roku...), ale także często i na głęboka, filozoficzna refleksja o sztuce w ogóle, o malarstwie, o ludziach, o życiu, które dotyczyło się w kółło, a w którym aktywnie uczestniczył. Nie byłem Jego uczniem, ale zawsze zwracałem się do Niego: — Panie Profesorze! I nie był to tylko wygodny zwrot retoryczny. Wyrażał nie tylko mój do Niego szacunek. Określał on w dużej mierze charakter naszej znajomości. Bo z tych rozmów, które prowadziłem, z dyskusji o najróżniejszych sprawach i rzeczach, zwykłe zamkniętych w rozległym nawiasie sztuki, wiele zapadło mi głęboko i na zawsze w pamięć. I mimo, że różniły nas i temperamenty artystyczne i bardzo różne były drogi, którymi szła Twoja i moja sztuka z wdzięcznością mogę przyznać się, że dużo, bardzo dużo się od Ciebie nauczyłem, Panie Profesorze.

Zrozumiałem między innymi dzięki Tobie i Twoim obrazom, że w wielkiej orkiestrze, jaką jest Sztuka, grają najróżniejsze instrumenty, głos-

ne i ciche, duże i małe — a wszystkie ich dźwięki są potrzebne, aby symfonia zwana Kulturą brzmiała z właściwą sobie harmonią: właściwą dla czasu i miejsca.

Był malarzem. Malarzem „starego typu” w tym najwłaściwszym i najlepszym znaczeniu tych słów. Malarzem przekonany nie tylko o słuszności własnych decyzji artystycznych, ale prawdziwie wierzący w potrzebę i sens sztuki w ogóle. W jej ponadczasowe racje i w jej uniwersalizm. Malował skromne, proste, jakby skupione w sobie obrazy: martwe natury, pejzaże, portrety, w dawniejszych latach kompozycje figuratywne. Najchętniej przedmioty codziennego, powszechnego użytku, pozornie banalne motywy krajobrazu, twarze ludzi, których znał, często własną twarz... W spokojnej,

wysmakowanej kolorystyce, w statycznym układzie kompozycji, w naturalności elementów, w pilnym śledzeniu gry światła, formy, przestrzeni, wyrażał nie tylko własne credo artystyczne, ale również swój osobisty stosunek do świata, ludzi i rzeczy. Obce były Jego sztuce gwałtowna ekspresja, hałaśliwość, brutalność form i kolorów, a tym bardziej treści. Był malarzem codziennych spraw, spokojnego optymizmu, dyskretnej, intymnej radości. Kochał życie miłością artysty, a sztukę miłością człowieka, który poświęcił jej wszystkie swoje siły, długie lata pracy i mimo zwątpień przypisywanych każdemu twórcy, nie doznał zawodu. Nie zawodził w pełni doceniany przez różnych buhalterów sztuki. Często nawet lekceważony przez tych, którym wydawało się, że

generacji artystów Profesor otrzymał honorowy tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL.

Marian Jaeschke był człowiekiem niezwykle życzliwym dla innych ludzi — zwłaszcza młodych — i nieustannie ciekawym ich dokonań artystycznych, niezależnie od tego, czy aprobował w pełni efekty ich przemysłu i pracy. Ta życzliwość i tolerancja skupiały wokół Niego wielu młodych twórców, którym On starał się pomóc nie belferskim wykładem ex cathedra, lecz rozmową, dyskusją opartą na zasadach pełnego współpartnerstwa.

Profesor Marian Jaeschke tworzył sztukę i żył sztuką na co dzień, wierny leonardowskim zasadom, że „sztuka malarska jest wiedzą i prawą córką natury, gdyż zrodziła ją sama natura”. Z tej dewizy wywodził nie tylko własną twórczość, ale starał się przekazać jej sens najgłębszy swoim uczniom podczas długotrwałej pracy pedagogicznej. Katalog Jego wystawy, która odbyła się w 1975 roku z okazji Jubileuszu 40-lecia pracy twórczej, otwierał cytaty z Leonarda da Vinci: „Jeśli będziesz gardził malarstwem, jedynym naśladowcą wszystkich widzialnych dzieł sztuki, z pewnością pogardzisz także przenikliwą inwencją, która z filozoficzną i dociekliwą bacznością rozważa wszelkie jakości form... otoczone światłem i cieniem”. Jakżeś spójne były te słowa z Jego twórczością.

Na katalogu z tejże wystawy Profesor napisał mi dedykację: „Z prośbą o pamięć”. Jak każdy twórca bał się obojętności a jeszcze bardziej zapomnienia. Ale są przecież Twoje obrazy, Profesorze, więc jakże tu mówić o zapomnieniu?

ANDRZEJ GRUN



MALARZ SPOKOJNEGO OPTYMIZMU

kroczył w awangardzie. Ale poza krótkotrwałymi stanami zniechęcenia, Jego stosunek do ludzi, a przede wszystkim do samej sztuki, nie ulegał zmianie. Nagroda miasta Łodzi za rok ubiegły sprawiła Mu wiele satysfakcji i autentycznej radości.

Od pewnego czasu miał kłopoty z sercem, ale malował do ostatniej chwili, do samego końca. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że odszedł z pędzlem w ręku. Jak malarz.

Był pedagogiem. Lata całe uczył malarstwa w łódzkiej PWSSP. Był to Jego drugi zawód i druga, równie silna pasja. Wielu Jego uczniów ma dziś nazwiska i liczący się dorobek twórczy. I chociaż poszli własnymi drogami, bo takie są prawa tego zawodu, nauki Profesora leżą u początków tych dróg. Za osiągnięcia i wysiłek włożone w wychowanie młodej

FILM

Brak godnych uwagi premier, jaki zaplanował w kinach w ciągu ostatnich tygodni, potra — jak przypuszczam, do marca. Przyczyna sytuacji, w której w kinach premierowych od paru miesięcy królują „Młodzi i miłość” i „Imperium namiętności” (że nie jest to głosne „Imperium zmysłów” dawno zostało już rozszyfrowane przez widzów) — jest bardzo zwyczajna. Od dawna wiadomo, że z całego rocznego, ponad dwustutylowego repertuaru, od paru już lat można zobaczyć wszystko, co istotne w ciągu dwu tygodni: na festiwalu gdańskim lub jego powtórkach w większych miastach (również w Łodzi) — jeśli idzie o filmy polskie, i na tzw. „Konfrontacjach Filmowych” w odniesieniu do filmów zagranicznych.

O ile jednak gromadzenie filmów (i nawet pewne opóźnianie ich premier) na ogólnopolski festiwal jest uzasadnione i nie wymaga obrony, o tyle stosowaniu tego samego zabiegu przed nadchodzącymi „Konfrontacjami 79” (podobnie, jak było to w latach poprzednich), wydają się przyswiewać przede wszystkim cele finansowe. Z tych właśnie względów dawno zakupione, opracowane, a nawet nierzadko zleżające już tytuły sprzedaje się z niewątpliwym zyskiem na przelocie lutego i marca. I to za spore pieniądze (cena kartetu), biorąc pod uwagę, że ta niegdyś sensowna impreza odbywa się tradycyjnie w kinach reprezentacyjnych (u nas: „Bałtyk”, „Iwanowo”, „Włókniarz”), choć później te same filmy można zobaczyć na przykład w „Stylowym” za pół ceny. Dodatkowo jeszcze — mimo że jest to sprzedaż hurtowa — widzi płaci także za to, czego bez „Konfrontacji” nigdy by prawdopodobnie w kinie nie zobaczył (i to — niestety — często bez specjalnej straty). Parę tytułów naprawdę ważnych kinie zazwyczaj na te produkcje zupełnie przeciętne „Konfrontacje” miały sens, gdy umożliwiała w przyspieszonej i skondensowanej formie zobaczenie filmów, które na krótko znalazły się w Polsce, a mimo ich wartości zrezygnowano z zakupu do normalnego rozpowszechniania.

Nie poruszałbym tego tematu przed zbliżającymi się „Konfrontacjami”, gdyby nie one właśnie winne były temu, co dzieje się dziś na naszych ekranach. Zwłaszcza, że przed kilkunastoma dniami pojawiły się w kinach (dopisując się do listy „Raju” i „Króla Cyganów”) dwa filmy — włoski „Afera Concorde” Rogera Deodato i „Zemsta różowej pantery” Blake Edwardsa — stanowiące punkt krytyczny przedkonfrontacyjnego dna Oba filmy — o sensacyjnej, kryminalnej fabule — stanowią w przyjętej konwencji całkowite przeciwieństwo. Pierwszy — jest zapisem filmowym wydarzeń, który nawiązuje do wypadków autentycznych (choć — jak można sądzić — tylko w zamierzeniu) związanych z pełną niepowodzeń eksploatacją słynnych samolotów typu „Concorde”. Drugi (jeden z popularnej w Anglii serii) — to tzw. komedia kryminalna.

„Afera Concorde” jest przykładem absolutnej stereotypowości zarówno postaci, jak i głównego motywu: skromny, nikomu nie znany bohater pokonuje samolotem ze stewardessą z „Concorde” potężną szajkę o międzynarodowym zasięgu. Jeżeli kogoś zadowalała tzw. sprawna reżyseria, w tym sensie, że nie stop coś atrakcyjnego, sensacyjnego dzieje się na ekranie (podstawowa reguła: pogoń, bójka, miłość), to zapewne łatwiej zniesie ten film od „Zemsty różowej pantery”. W filmie angielskim również działa międzynarodowy gang (tu nie o samoloty chodzi, lecz o narkotyki), jednak w świecie dalekim od jakiegokolwiek pojmowanego realizmu. Bohater filmu — głupek inspektor policji francuskiej likwiduje szajkę jak gdyby wbrew rzeczywistości chęcią i w dodatku metodami, które udowadniają naiwność przestępców (w konwencji komediowej rzecz jasna), a przy okazji konformistycz-

nie poczucie humoru u widza. Inna sprawa, że śmiech na seansach „Pantery” nie jest u nas specjalnie intensywny.

W przypadku obu tych filmów można by oczywiście pokusić się o wyjaśnienie ich genezy w obrębie kultury masowej. Przy „Aferze Concorde” trzeba wskazać na wyjątkowo wyraźne w ostatnich latach poszukiwanie przez film wątków współczesnych, autentycznych, powszechnie znanych. O ile film popularny przed kilkudziesięciu laty starał się raczej odrywać od rzeczywistości, o tyle dziś zauważamy tendencję przeciwną. Jest to niewątpliwie wpływ telewizji. Inna sprawa, że rezultaty tych poszukiwań są czysto zewnętrzne. Przykładem może być właśnie film Deodato. We współczesnym krajobrazie powracają stare schematy — właśnie z minionej epoki kina. Zasużony, niezawodny western odżywa po latach w filmach, które poza stabilnością opozycji dobro-zło, nie mają z nim pozornie nic wspólnego. Bo w istocie „Afera Concorde” przypomina filmy o Dzikim Zachodzie, choć na pierwszy rzut oka wszystko jak od nich dzieli, a zwłaszcza sceneria Antyli, gdzie rozgrywa się akcja.

„Gorzej z „Zemstą różowej pantery”. Humor absurdalny, specyficzny humor angielski — określenia te to nieudolne wytrychy do świata w istocie jeszcze bardziej prostolinijnego niż w filmach de Funesa. Potrzeba dużo dobrej woli, by zastanowić się poważnie nad „Panterą”. Cóż zresztą można powiedzieć, ponad to, że odbiorca tego filmu wery w tzw. humor czysty. Wiara w to określenie, które nie oznacza niczego istniejącego realnie, zmusza do zasmiewania się z gagów, które tak często pojawiają się w filmach, że działają już na zasadzie czysto mechanicznej. Katalogiem takich sytuacji jest nieszcześna „Zemsta różowej pantery”.

Sądząc po wymienionych tu tytułach, zasady zakupu i wprowadzania filmów zagranicznych na nasze ekrany stanowią problem wart większej uwagi. Sytuacja przedkonfrontacyjna ujawniła ostro najgłębsze punkty polityki repertuarowej. Warto wrócić do tej sprawy za jakiś czas, gdy minie już okres kinowej euforii, w którym przez naszą prasę przetacza się sążyste — jak co roku — omówienia „Konfrontacji 1979”.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

PRZED KONFRONTACJAMI

„Afera Concorde” jest przykładem absolutnej stereotypowości zarówno postaci, jak i głównego motywu: skromny, nikomu nie znany bohater pokonuje samolotem ze stewardessą z „Concorde” potężną szajkę o międzynarodowym zasięgu. Jeżeli kogoś zadowalała tzw. sprawna reżyseria, w tym sensie, że nie stop coś atrakcyjnego, sensacyjnego dzieje się na ekranie (podstawowa reguła: pogoń, bójka, miłość), to zapewne łatwiej zniesie ten film od „Zemsty różowej pantery”. W filmie angielskim również działa międzynarodowy gang (tu nie o samoloty chodzi, lecz o narkotyki), jednak w świecie dalekim od jakiegokolwiek pojmowanego realizmu. Bohater filmu — głupek inspektor policji francuskiej likwiduje szajkę jak gdyby wbrew rzeczywistości chęcią i w dodatku metodami, które udowadniają naiwność przestępców (w konwencji komediowej rzecz jasna), a przy okazji konformistycz-

Telewizja znów jest zapóźniona. W tygodniku „Razem” drukuje się w odcinkach arcybestseller Michalina Wisłockiej, w „Argumentach” — „Kamasutra”, zdobiona zdjęciami rzeźb świątyni Kandarija-Mahadewy z Kharduraho. Miłość jako temat, w tym ma ciekawie inne imiona. Zakończono właśnie emisję serialu „Zielona miłość”, który poruszył swoją młodzieńczą świeżością uczucie samego Jerzego Andrzejewskiego, autora „Bram Raju”. Rzeczywiście, gdyby nie pseudopoetycka przypowieść o białym jeleniu, która kraszono każdą odcinek, „Zielona miłość” można byłoby uznać za rzecz godną uwagi dla nastolatkowej publiczności.

Miłość rodzicielskiej poświęcono była ostatnia audycja z zamykanego skromnie cyklu „Jak”. Odtąd pomyślnie tego cyklu — tym, aby czterech rozmówców kierowani przez Macieja Wierzyńskiego przedstawili widzom swoje poglądy na zadany temat. Raz jest to bohaterstwo, raz odbojactwo, raz poczucie, obojętność. Kiedyś bezpośrednimi słuchaczami owej prezentacji poglądów byli uczniowie szkół warszawskich, którzy jednocześnie

TELEWIZJA

taki przykład w ogóle nie przystaje do podjętego tematu rozmowy, czego byliśmy świadkami w poprzednich audycjach. Poza tym — co bodaj najistotniejsze — czy rzeczywiście, jedynymi rozmówcami w „Jak” muszą być li tylko popularni artyści i inni warszawiści? Czy o godności, poczucie obowiązku etc. myśla i rozważają w sobie tylko niektórzy? Może warto byłoby zaprosić do takiego programu np. naukowców, robotnika, matkę, czy ja wiem, marynarza — jednym słowem ludzi bez głosnych nazwisk, ale przez to bardziej czy równie autentycznych. Ta ostatnia uwaga dotyczy i innych audycji publicystyki kulturalnej, bo oto np. program tv przewiduje „Moje fascynacje muzyczne” — będzie go przedstawiał Ernest Bryll! I nie chodzi tu o niego, ale o to, iż widzowie są już znudzeni oglądając te same twarze zwierające się kolejno z pasji kulturalnych, filmowych, teatralnych, muzycznych i nie wiedzieć jakiej jeszcze. Kilkanaście milionów widzów

O MIŁOŚCI

nie, na koniec audycji, jako milcząca większość, głosowali za tym, że rozmówców: Ja głosuję za bohaterstwem w ujęciu Kazimierza Koźmiewskiego, a ja za poczuciem odpowiedzialności w ujęciu Władysława Sokorskiego itd. Inspiracją dla dyskusyjnych uczestników programu (oczywiście, znów tak zwane znane postacie, o czym pisałem w jednym z ostatnich felietonów) są fragmenty filmów, zaproponowane przez autorki audycji (Smalowska, Terentiew). Od jakiegoś czasu zrezygnowano z głosowania, odwołując się do opinii widzów: niechaj każdy z nich, w zaciśniętych czterech ścian, rozważy zaprezentowane racje.

4 lutego Maciej Wierzyński zażądał Xymena Zaniewskiego, Jackowi Maziarowskiemu, Jerzemu Pasendorferowi i Januszowi Reykowskiemu temat miłości rodzicielskiej. Dyskusja przebiegała sprawnie, choć nie wszyscy jej uczestnicy przekonująco dowodzili swoich racji. Można np. zadziwić Jackowi Maziarowskiemu pryncypialności, życiowego doświadczenia i racjonalizmu bez zwątpień i gdyby nie Xymena Zaniewska, która mówiła o „autentycznych, najważniejszych wartościach tkwiących w pojęciu miłości rodzicielskiej, poświadczających sens człowieczeństwa”, można byłoby rzeczywiście pomyśleć, iż jest to uczucie atawistyczne i dziewiętnastowieczne. Trudno zresztą się polemizującym panom dziwić, którzy determinowani wyrywkowymi i krótkimi fragmentami z filmów, nie bardzo wiedzieli, czy psychologizować na temat owych zdawkowych migawek, czy wnieść się ponad nie i spróbować temat uogólnić. I w tym upatruję podstawowej słabości programu pt. „Jak”. Z niektórych wypowiedzi wynikało jasno, iż ich autorzy nie znali w całości filmów przywołanych we fragmentach, że te egzemplifikacje nadto ograniczają interpretację problemu itd. Czy nie lepiej by było, gdyby każdy z uczestników mógł zilustrować własną propozycję prezentowanym poglądem. Wówczas nie musiałby się wdawać w niepotrzebne dywagacje, że taki to a

chciałoby z pewnością posłuchać w tv i siebie samych. We wtorek (5.II) wyświetlono film Andrzeja Lotricha „Dom rodzinny”. Czy goście przyjmowali przez redaktora Wierzyńskiego nie mogliby właśnie mówić o miłości rodzicielskiej posługując się przykładem tego filmu? Warto było.

O różnych imionach miłości opowiadały filmy zaprezentowane w piątkowym (8.II) „Wieczorze filmowym” — Pawła Kędzierskiego i zespołu „Rozkład pożywania” — przejmujący i pouczający dokument społeczny, także „Przeżycie nieograniczone” (w programie — zawsze interesującym — Aleksandra Stępkowskiego i Macieja Łukowskiego „Przed i po debiucie” Hanny Włodarczyk. Ale co ciekawe, te ważne społecznie filmy, właśnie ze względu na swoją problematykę, pojawiają się w programach, których przedmiotem jest warsztat filmowy, biografie artystyczne młodych twórców, specyfika sztuki filmowej etc. A przecież Kędzierski, Wiszniewski, Dziworski, Włodarczyk realizują swoje filmy nie po to aby przekonać wszystkich, iż zasłużyli na dyplom PWSFTiVt, ale dlatego, że nieobojętna jest im rzeczywistość, w której żyją, że chcą w tej rzeczywistości aktywnie i twórczo uczestniczyć. Posłuchajmy zatem co mają do powiedzenia, a nie radujmy się tylko tym, jak pięknie mówią.

W ostatnim tygodniu mieliśmy również kawałek miłości własnej, zacietrzewionej i bezkrytycznej. Myślę tu o rozmówcy Adama Hanuszkiewicza w czwartkowym „Pegazie”. No ale to za długi ewenement. Do takiego imienia miłości już zdążyliśmy w tv przywyknąć.

GRZEGORZ GAZDA

KSIĄŻKA

Przez wiele lat Tadeusz Papier posługiwał się w pracy dziennikarskiej pseudonimem „Kronikarz”. I nie był to bynajmniej przypadek, bo również w swym beletrystycznym dorobku stawał się kronikarzem przeszłości i teraźniejszości, śledził przemiany wsi, dzieje rodzin, które osiadły w mieście, szkicował rozmaite przejały miejskiego społeczeństwa. Dotychczasowemu pojęciu na świat i ludzi pozostał wierny w najnowszej powieści. Zrazem jest to spojrzenie trochę odmienne, bardziej może skondensowane — saga rodzinna zbudowana została nie na zasadzie chronologii, lecz na niekończącym się przepłataniu spraw minionych z aktualnymi. Nie pierwszy to raz autor „Powrótnie śmierci Boryny” czyni narratorką młodą dziewczynę, naiwną trochę i niezbyt jeszcze doświadczoną, ale ciekawą życia i mającą umiejętność obserwacji tego wszystkiego, co się wokół dzieje. W ten sposób Tadeusz Papier — zachowując swoistą stylizację — adresuje powieść do najszerszych kręgów czytelników.

Każdy w „Anicie” znajdzie coś dla siebie, bo obok fikcji sporo tu wydarzeń autentycznych, obok fantazji występują rzeczywiste łódzkie realia. Książka Papiera związana jest z robotniczym miastem, pokazuje jego tradycje, rejestruje przemiany: — „Żebyś siedziała mocno w dniu dzisiejszym, musisz wiedzieć, co było wczoraj” — powtarza często nauczyciel

wyniesionymi z podłódkowej wsi. Niekiedy posługuje się pisarzką skrótami, wymowną metaforą. Takiego właśnie charakteru nabiera w „Anicie” zamiana starego, wysłużonego domu na nowe mieszkanie. Przy okazji przeprowadzić odnaleźć można wiele symbolicznych przedmiotów, stanowiących pretekst do snucia refleksji o nieuniknionym upływie czasu.

MIEDZY PRAWDĄ A LEGENDĄ

narratorki. Powiedzenie owo staje się niejako dewizą całej powieści, podzielonej na niewielkie rozdziały, przedstawiające rozmaite wydarzenia i obyczajne nie tylko z życia rodzinnego. Ten zabieg kompozycyjny służy przede wszystkim celom poznawczym, pozwala ukażać panoramę pokoleń, a w jej tle ekonomiczne, obyczajowe i kulturalne konfrontacje miasta z przyzwyczajeniami

Tadeusz Papier jest kronikarzem przeszłości i teraźniejszości, lecz nie jest to kronika pozbawiona namiętności. Narratorka jego powieści z całą świadomością (albo nawet przeświadczeniem) tworzy swoistą legendę, polegającą nie tyle na selektywnym wyborze wydarzeń, co na charakterystycznym nieco sentymentalnym ich naświetleniu. Owa uczuciowa postać narratorki świadczy

przede wszystkim o trwałości więzów rodzinnych i prawdziwej przyjaźni. Świadczy o potrzebie pozytywnego stosunku do otaczającej rzeczywistości. Jedną z postaci zauważa: „Ktoś powiedział, że te przedmioty i te okolice, których obraz tkwi w nas samych, zmieniają się wraz z nami”. Może dlatego właśnie powierzył autor narrację młodej osobie, która wobec wszystkich spraw zachowuje dystans jednakowy, pozwalając na miarę spójne połączenie minionego z dniem dzisiejszym. Brak życiowego doświadczenia wynagrodzony zostaje przez subtelne poczucie humoru, co również uatrakcyjnia lekturę. Na specjalną zaś uwagę zasługują aluzje literackie, których w „Anicie” sporo.

Najnowsza proza Tadeusza Papiera sytuuje się między prawdą a legendą — jak każda gawęda, a co dopiero gawęda z tak wyraźnymi emocjami.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Tadeusz Papier, Anita, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, nakład 20 000 + 350 egz., s. 131, cena zł 12.—

W „Odgłosach” o telewizji piszą ludzie poważni, z doktorskimi tytułami — i na dodatek owe doktoraty nie zepsuły im lekkości stylu, co jest w ogóle samo w sobie zjawiskiem nader rzadkim. Znam w Łodzi jednego świetnie niegdyś pisałego magistra, któremu po doktoracie styl się lekko znarowił. Dziś byłby magister jest już profesorem i czytać się go absolutnie nie da, taki jest nudny.

Mam nadzieję, „Odgłosy” doktorom od telewizji takie nie-szczęście nie grozi. Z niejaka obawą wchodzić dziś na teren zabroniony. Przed laty co prawda pisywałem w „Odgłosach” felietony telewizyjne pod pseudonimem „Teleman”, ale po fatalnej wpadce Naczelny wycofał mnie z tej rubryki szybko i na zawsze.

Po prostu zrecenzowałem spektakl teatru telewizyjnego, który został w ostatniej chwili odwołany. Gdzieś wyjeżdżałem, felieton musiałem oddać wcześniej, więc posłużyłem się informacjami na temat autora sztuki oraz informacjami na temat spektaklu z „Radia i Telewizji”.

A tu w ostatniej chwili — sztukę wycofano z anteny.

Po prostu — brak koordynacji między recenzentem a telewizją. Dziś obserwuję telewizję jako prywatny widz i bawię mnie niezmiernie sytuacją, gdy na Woronicza nie mogą się

dogać między jedną a drugą redakcją.

Jednego dnia słucham Szymona Kobylńskiego, który dyskwalifikuje autentyczność historyczną orzelka Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Kobylński jest specjalistą polskiej barwy i broni — wierzę mu. Ale oto parę dni później na ten sam temat mówi Janina Broniewska i mówi... zupełnie co innego. Broniewska jest też autorytetem, bo to przecież ona projek-

Podobnie rzecz wygląda z głośną rzeźbą Jarnuszkiewicza „Mały powstaniec”. W „Pegazie” — mimo pozorów obiektywizmu — wyraźnie dawano do zrozumienia, że to warszawski rzeźbiarz popełnił plagiat z rzeźby profesora ASP. Po relacji „Pegaza” takie odniosłem wrażenie — Jarnuszkiewicz ukazany został jako pokrzywdzony, wykorzystany artysta, bez siły orzeczenia — natomiast jego adwersarza ukazano jako

łą oczywistością jako dzieło i inicjatywę owego rzeźmieslnika, prof. Jarnuszkiewicza w ogóle nie jest tu wymieniony...

Rzecz prosta, nie wymagam od telewizji rozstrzygnięcia w kwestii plagiatu dzieła sztuki, bo nawet werdykt sądu bywa w takich sprawach wątpliwy. Wyrok ostateczny zresztą jeszcze nie zapadł, choć „Pegaz” z całym (hm...) obiektywizmem poinformował nas, że dwie dotychczasowe rozprawy wygrał prof. Jarnuszkiewicz.

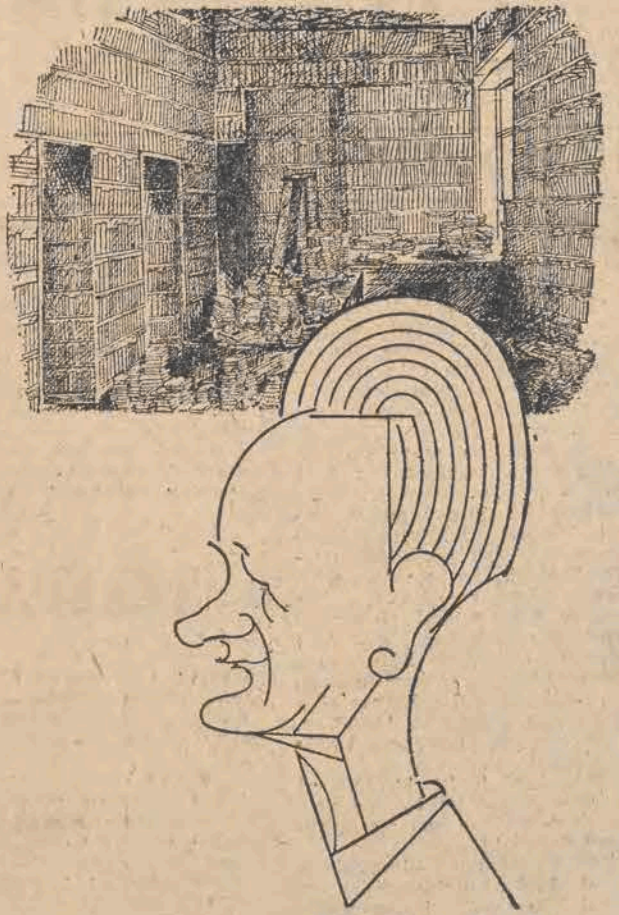
Moim zdaniem brak tu konsekwencji. Aluzje jednej redakcji opłukują niedwuznacznie za Jarnuszkiewiczem — powołując się na drugą redakcję, opłukującą za rzeźmieslnikiem — czynią mętlik w głowach widzów i nie dają materiału, aby wyrobić sobie własny pogląd na sprawę. Dość przecież głośno, bo dotyczącą bardzo popularnej rzeźby.

Jak więc widać telewizja tak nam się rozrosła, że już redaktorzy między sobą nie bardzo mogą się dogadać. O ekspansji telewizji świadczy również choćby i to, że w „Odgłosach” mamy już dziś aż dwa stałe felietony telewizyjne — a jeszcze nie wszystko są w stanie ogarnąć, więc niżej podpisany „z doskoku” wpadł na to poletko.

Wpadł, ale natychmiast ucieka, z nadzieją, że dr. Gazda i Orłowski wybaczą mu ten desant na chroniony teren.

WIDOK

HENRYK MASZEWSKI



DESANT NA TEREN TELEWIZJI

towała owego orzelka dla żołnierzy Pierwszej Dywizji — wierzę jej.

Ale kto — u licha! — ma rację? Chodzi przecież o sprawę dość istotną. Jaka zatem jest oficjalna wykładnia tego problemu? Nie wystarczy przecież prezentować różne opinie — warto też zająć własne stanowisko. Telewizja robi to zresztą często i przy różnych okazjach. Podejrzewam więc, że te rozbieżności wynikają po prostu z braku koordynacji.

krzykacza. Nie znam osobiście obu panów — może tak jest istotnie, może „Pegaz” był obiektywny, ale...

Dzień później oglądam rozmowę z pisarką Hanną Muszyńską-Hoffmanową. Okazuje się, że rzeźbiarstwo chyba nie zmieniła — postać Leosia Walczaka — owego „Małego powstaniec” — jest autentyczna — p. Muszyńska mówi o tym z całą pewnością. Pomnik „Małego powstaniec” na terenie Centrum Zdrowia Dziecka traktuje z ca-

SŁOWO — kto tu nie bywał, kto nie wpadał, Uwierzę nawet, że Mickiewicz Adam.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

ZWĄTPIENIA I NADZIEJE

XIII Zimowa Olimpiada w Lake Placid już się rozpoczęła. Ale na jej wyniki czekamy bez większego niepokojów. Kibice na ogół trafnie i racjonalnie ocenił możliwości naszej ekipy. Rewelacji nie oczekujemy. Ten i ów liczy po cichu, że może Piotrowi Pijowski lub Stanisławowi Bobakowi wyjdzie skok na medal, że może Józef Łuszczek poradzi sobie z konkurentami w mistrzowskim stylu.

Pisma sportowe przypominają przy okazji, jak plasowaliśmy się wśród medalistów zimowych igrzysk. Wspólnie z Belgią zajmujemy 18-19 miejsce, mając po jednym medale złotym, jednym srebrnym i po dwa brązowe. Nasi sąsiedzi NRD i CSRS plasują się znacznie wyżej. CSRS — na 16 miejscu, a NRD na 9. Prowadzi Związek Radziecki, mając 51 złotych medali, 32 srebrne i 35 brązowych. Razem: 118 medali w zimowych igrzyskach olimpijskich.

Jest jednak nadzieja, że i my w przyszłości będziemy osiągać lepsze wyniki. Rośnie bowiem kadra przyszłych olimpijczyków. W VII Ogólnopolskiej Zimowej Spartakiadzie Młodzieży pojawiło się kilka talentów, kilka klubów wystawiło zespoły młodych zawodników, z którymi z pożytkiem i dobrymi wynikami pracują już od dłuższego czasu. Jednym z takich klubów jest „Maraton” z Mszany Dolnej, ale nie jedyny przecież. I to jest pocieszające, choć niczego nie przesądza, gdyż po drodze, nim ci młodzi dojdą do olimpijskich kolek, wiele się jeszcze może różnych rzeczy im i z nimi zdarzyć. Ale bądźmy dobrej myśli.

Powoli coraz silniej zaczynamy tęsknić za piłką nożną. W ubiegłą niedzielę (10. II. 80) Tomasz Hopfer pokazał 8 bramek z jednego tylko meczu, a działało to na boisku w Anglii i jakoś zrobiło się głupio, że u nas zimowa cisza. Ale wieści z piłkarskich klubów, treningów, sparingów do kibica docierają. Paru zawodników wystąpi w innych barwach. Zmienił się też trochę skład reprezentacji, która powołana przez Ryszarda Kułesza rusza na wyprawę do Afryki, aby w ciepłym klimacie doskonalić formę i szukać wzajemnego porozumienia na boisku. Pojawili się w tej kadrze nowe nazwiska: Marek Motyka z Wisły, Andrzej Buncol z Ruchu, Zbigniew Mikołajew z Zagłębia czy Andrzej Pałasz z Górnika. Proces budowy kadry piłkarskiej trwa i to też jest pocieszające.

Przerwa w rozgrywkach ligowych zwróciła zainteresowanie kibiców w inną stronę. Oto w „Literaturze” toczy się dyskusja nad sprawami finansowymi i możliwościami wyjazdów zagranicznych sportowców oraz innych grup społecznych, głównie ludzi nauki, inteligencji twórczej. Autorzy listów adresowanych do „Rezerwowego: J. S.” wyrażają zaniepokojenie ograniczonymi możliwościami zagranicznych wyjazdów ludzi nauki, podkreślając, że może to mieć złe skutki dla rozwoju nauki, może powodować jej prowincjonalność.

Nie jest to tylko niepokój ludzi nauki. Sprawy finansów sportu ciągle wracają bądź to w różnych redakcyjnych rozmowach, bądź na łamach gazet i tygodników. Wprowadzenie kontraktów — zdaniem Jerzego Zmarzlika z „Przeglądu Sportowego” — rozwiązało wszelkie problemy związane ze zmianą barw klubowych i kaperoństwem, ale przecież pozostało sporo innych spraw związanych z klubowymi finansami.

Otrzymałam list od Bronisława O. ze Szczecina, który sporo czasu poświęcił opracowaniu projektu zasad finansowania piłkarzy w klubach. Bronisław O. słusznie zwraca uwagę na to, że o poziomie finansowania powinna decydować nie zamknięta klubowa, a pozycja jego drużyny w tabeli ligowych rozgrywek, pozycja każdego zawodnika w drużynowej tabeli punktów. Bronisław O. szczegółowo opracował zasady takiego punktowania, uwzględnił również potrącenia z premii, starając się przewidzieć wszystkie możliwe sytuacje.

Trudno mi jest oceniać projekt Bronisława O., potrzeba byłoby skonsultować go ze specjalistami z klubów, jak też z PZPN. Ale sama zasada oparcia premii piłkarskiej na wynikach osiągniętych na boiskach wydaje mi się ze wszelkich miar racjonalna. Bronisław O. poinformował mnie, że taki sam list wysłał do Ryszarda Niemca z krakowskiego „Tempa”. Jeśli władze PZPN projekt ten zainteresował, to można go otrzymać zarówno w naszej redakcji, jak i w redakcji „Tempa”. A myślę, że zainteresować się nim warto.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Uprzejmie proszę o spokój. Proszę i tak kawałek poczytać ten felieton do końca.

Najpierw będzie o Morzu Bałtyckim. Jest to morze śródlądowe, szelfowe. Przy okazji wyjaśniam, że szelf jest to płaska część kontynentu zalana wodą morską średnio do około 200 m. Szelf kończy się na ogół silnie nachylnym stokiem kontynentalnym. Średnia głębokość Bałtyku wynosi 55 m, maksymalna — 459 m i znajduje się na północny zachód od wyspy Gotlandii. Nie jest to jedyna wyspa na Bałtyku. Są inne: Sarema, Olandia, Hiiuma, Rugla, Bornholm, Wyspy Alandzkie. Morze to ma również zatoki: Botnicką, Fińską, Ryską, a także mniejsze, do których należą Gdańska i Pomorska. Zimą całkowicie zamarza Zatoka Botnicka oraz częściowo Fińska. Bałtyk zamarza też w czasie silnych mrozów w paśmie przybrzeżnym nawet do dwóch kilometrów w głąb morza. W Bałtyku żyją ryby: dorsze, śledzie, płastugi, szprotki, makrele, łososi, belony, głowacze i węgorze. Rybacy łowią te ryby Czasem rybakom gina sieć. Zdarzało się to dość często w rejonie Górki Szwedzkiej w pobliżu Helu.

Teraz będzie o U-bootach. U-bootami nazywano niemieckie okręty podwodne w czasie drugiej wojny światowej, które zwalczały obce okręty wojenne, a także konwoje statków handlowych, którymi przewożono z USA i Kanady towary i broń do Wielkiej Brytanii i ZSRR. Używano w zasadzie czterech typów U-bootów. Dwa z nich: „U-36” i „U-37” zbudowano przed wojną. „U-36” budowano też w wersji oceanicznej. Dwa inne typy U-bootów powstały już w czasie wojny: „U-510” i „U-2518”. Ten ostatni był najnowocześniejszym okrętem podwodnym w drugiej wojnie światowej. Powstał w 1944 roku. Miał 5 wyrzutni torped, 4 działka przeciwlotnicze kalibru 20 mm, zastosowano w nim nowy rodzaj akumulatorów. Typ XXI miał zasięg 15 500 mil morskich.

U-booty pływały też po Bałtyku. Przede wszystkim szkolne. Jeden z nich zatonął w pobliżu Górki Szwedzkiej niedaleko Helu. Teraz będzie o sztormach. Na Bałtyku szaleją sztormy. Przeważnie jesienią i zimą, ale latem też bywają. Siłę wiatru określa się w skali Beauforta. Ma ona 12 stopni. „Zero” — oznacza ciszę, 4 stopnie — to wiatr umiarkowany, wieje z szybkością 7.9 m na sekundę. Wiatr sztormowy ma 9 stopni i wieje z prędkością do 24.4 m/s. Działając w skali Beauforta — to sztorm. 11 — silny sztorm, 12 huragan. Wiatr wieje wtedy z prędkością do 36.9 m/s.

TAJEMNICA U-BOOTA

Teraz już musi paść pytanie: Co to wszystko ma wspólnego z tajemnicą U-boatów i o jakiego U-boat chodzi? Jest to pytanie logiczne. Sam zadaję je również.

Proszę się jeszcze nie denerwować. Zostawmy sobie nerwy na później.

W poniedziałek, 4 lutego 1980 roku w programie II telewizji nadają Studio Bis. Studio to — w pierwszej części — prowadzi Stefan Truszczyński. W drugiej — towarzyszy mu Wanda Rutkiewicz, ale ja już tego nie miałem siły oglądać. W ramach Studio Bis Stefan Truszczyński nadaje program pt. „Tajemnica U-boatów”, a całość miała jeszcze nadtytuł: „Tajemnice Bałtyku”.

Bardzo proszę się jeszcze nie denerwować!

Program o Bałtyku i U-boocie trwał przeszło 2 godziny. Ten felieton czyta się krócej. Kto doczytał do tego miejsca niech wie, że z tego felietonu dowiedział się o U-bootach i Bałtyku znacznie więcej niż dowiedziałby się z programu telewizyjnego.

Na ekranie widać było jak nurkowie przygotowują się do zejścia pod wodę, schodzą, są pod wodą i fotografują, wychodzą, rozbierają się i zaraz zrywają do sztormu. Po sztormie wszystko zaczynało się od początku. Był to raczej program z życia nurków. Szukali oni przy tej okazji wraku U-boatów, który zatonął w pobliżu Górki Szwedzkiej, ale nie wiadomo ani kiedy ani jak. Wrak znaleziono i nawet go sfotografowano po kawalku.

Stefan Truszczyński zaprosił do studia przedstawiciela Marynarki Wojennej, która pomagała w realizacji tego programu o nurkach. Zapytał swego gościa, czy wrak ten można podnieść. — Po co? — odpowiedział pytaniem przedstawiciel Marynarki Wojennej i wyjaśnił, że byłaby to bardzo droga impreza, wrak nie przedstawia żadnej wartości, a miejsce, gdzie spoczywa, można oznaczyć zakotwiczoną boją, żeby rybacy w tym miejscu nie łowili. No i, jak ćwiczy się nurków, to można ich wysłać na dno, żeby sobie poszukali wraku U-boatów i go obejrzel, zawsze to uatrakcyjnia ćwiczenia. Wszystko.

A gdzie tajemnica U-boatów?

Ja też się o tym pytam.

Teraz już można denerwować się. Ja zresztą też się zdenerwowałem. Dałem się na to tajemnicę nabrać jak naiwne dziecko. Niestety.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Z wielką satysfakcją przeczytałem od deski do deski numer „Polityki” z 26 stycznia br. Wiadomo, że „Polityka” jest znakomitym pismem, ale w tym właśnie numerze znalazłem parę artykułów idealnie pasujących do myśli, które — zapewne mniej wnikliwie i bardziej powierzchownie — starałem się już nieraz formułować w moich felietonach.

Pisałem na przykład niedawno że jak ktoś ma samochód, to wszyscy martwią się co by mu jeszcze zaferowało, żeby miał jeszcze lepiej od tych, którzy do samochodu nie doszli. A oto Andrzej Tymowski rozszerza te myśli i pisze w „Polityce” tak: „Każdy może zrobić małą sondę, ile co mieści się w nas przeczytać artykułów żalących się nad losem automobilistów, a jak i ignorowana jest sprawa pasażerów masowych środków komunikacji — tłoku w nich i braku punktualności”.

Analogicznie wygląda drugie zjawisko, podkreślone przez Tymowskiego. „Rozbudujemy stosunkowo na poważną skalę gastronomicznie luksusową, tworzymy kosztowne restauracje przy motelach (dotychczas tylko dla samochodzistów — przyp. mój) itp. Równocześnie stabilizacji, jeśli nie zmniejszeniu, podlega liczba tak ongiś popularnych barów mlecznych.

czy tanich restauracji popularnych”.

W tym samym numerze „Polityki”, na innym miejscu, pisze Krystyna Zielińska: „Gospodni domownicy w powodach turystycznych pralek i samochodowych ekspresów do Kawy (tylko dla samochodzistów — przyp. mój) rzucano raz siłką do przecierania jarzyn, raz tłuczki do mięsa”.

DENNA PŁYTA

Nie ma chętnych — pisze Zielińska — do produkcji ładnych obrusów, za to pełno wszędzie zapalniczek w kształcie wieży Eiffla sztanconych etruskiej waz i tac jarmarcznej tandety, która pozornie tylko zalać ma jakieś sprawy rynkowe. Kupi człowiek kołatkę z lwem, a potem i tak biega po mieście za potrzebami mu do życia przedmiotami”.

„Głos Robotniczy” z 7 lutego ogłasza nie bez dumy i zachwytu fakt, że w Łodzi otworzy się lada dzień trzeci luksusowy lokal „Mody Polskiej” i że „dokonano już za granicą zakupów w większych ilościach i asortymentach. Będą koszule męskie z Holandii i Francji,

chętnie nabywane przez eleganckie swetry boucle i z angory, konfekcja z importowanych skór a także kosmetyki najlepszych światowych firm”.

Angielski krem do golenia, który w Pewexie kosztował niespełna dolara, można nabyć za złote. Za głupie dwieście złotych. Postęp wyraźny, bo dolar ma nie każdy, a złote tak. Bo w branży farmaceu-

tycznej wydany dolar nie zmieniłby się na krajowym rynku w dwieście złotych, a udaje się to w kosmetyce i w męskich koszulach z Holandii. Te koszule będą się jakimś guzikiem różnić od „Wółczanki”, a będą kosztować trzy razy tyle. Ponieważ nie jest to zbyt logiczne, trzeba będzie za parę miesięcy zmienić ceny w „Wółczance”, nawet dodając — w pierwszym rzucie — ów guziczek.

Tymczasem zaś przebudowuje się sklepy na salony, sklepiki na butiki, delikatesy na super-luksy. Nowa centrala „Motomix” przyrzeka sprowadzić każdą ilość samochodów dowolnej marki za ogromne dolary,

do nabycia już, bez czekania. Nie ma jednak nowej centrali, która by sprowadziła kilkadziesiąt nowych wozów tramwajowych dla Łodzi, albo chociażby jednej dennej płyty. Co to jest denna płyta? Nie wiem, co to jest. Ale czytam w tym samym numerze „Polityki”, że wytwórnie acetyleny nie wykonują planu dostaw, a płyta denna w bazie PKS w Warszawie ma wżery. Gdyby płyta nie miała wżerów baza mogłaby we własnym zakresie produkować acetylen i przy jego pomocy lutować uszkodzone części samochodowe; gdyby zaś dostała jeszcze parę noży do obrabiarci, to by produkowała sama dla siebie te detale, których nie produkuje powołany do tego zakład specjalistyczny. I wtedy więcej wozów PKS wyjechałoby na trasę i ludzie, czekający na przystankach na nowym dworcu PKS, nie łamałoby stalowych barier, a tak to już polamał i kłopot.

Ale grunt, że paru łódzkich eleganów będzie paradować w holenderskich koszulach...

CWIĘK

Załącznik nr. 64/.../80

HASŁO NUMERU: Lepiej gorzej jechać, niż dobrze stać

Każdemu kiedyś zdarza się sytuacja, która wydaje się skądś znana, jakby już kiedyś przeżyta. Niezmiennie rzadko jednak można znaleźć dowody na to, że istotnie, wbrew piosence „Nie dwa razy się nie zdarza”, coś dwa razy się zdarzyło. Jestem tym szczególnie zainteresowany, który taki dowód może przedstawić.

Oto wpadł mi w ręce numer „Tygodnika Płockiego” z 3. II br., a w nim artykuł, który jakby już kiedyś gdzieś czytałem. Wszyscy wiedzą, jakie to męczące — tak jak widok twarzy, której nie można sobie skojarzyć z nazwiskiem. Zaczęłam więc szperać po sztyw-
kach gazet, szukać, szukać. I oto znalazłem, zyskując wręcz spókoj. Dotarłem do egzemplarza „Dziennika Popularnego” z dnia 22. 12. 1979 r. i w nim do dręczącej mnie publikacji.

W „DP” (z 22. 12. 1979 r.) publikacja ma tytuł „Decyzje”, a podpisany jest pod nią Krzysztof Spychalski.

W „Tygodniku Płockim” (z 3. II. 1980 r.) publikacja ma tytuł „Decyzja” i podpisana jest pod nią B. Stół.

W „DP” publikacja rozpoczyna się słowami: „Szczególnie Pani! Nie będę ukrywała, że pański list był powodem mojego ogromnego zdziwienia. Nie sądziłam, że podjęcie tego rodzaju decyzji może wzbudzić aż takie zainteresowanie”. Tak zaczęła swój list tegoroczna absolwentka filologii polskiej UL, niedawna mieszkanka Łodzi, a obecnie nauczycielka z

Białego Dunajca — Elżbieta Pawlak.

W „Tygodniku Płockim” artykuł rozpoczyna się: „Pani Redaktor, nie ukrywam, że Pani chęć rozmowy ze mną ogromnie mnie zdziwiła. Nie sądziłem, że podjęcie tego rodzaju decyzji może wzbudzić aż takie zainteresowanie”. Te właśnie słowa, wypowiedziane przez młodą absolwentkę Akademii Medycznej, Wydziału Stomatologii w Łodzi, a obecnie

W „Tygodniku Płockim” zaś: „Może nie warto by się nad tym rozwodzić, gdyby nie pewien paradoks...”

Ita, Ita.
Ita, Ita.
Ita, Ita.
Głęboko się zastanawiałem nad wydarzeniem, które zdarzyło się dwa razy. Jedno w Łodzi, drugie w Płocku, pierwsze w grudniu, drugie w lutym. I nie umiem, jak dotąd, znaleźć dlań innego wy-

Mógłbym przytaczać więcej zbieżności i niewielkich rozbieżności, jak ta np., że w tekście z „Tygodnika Płockiego” pojawiają się słowa typu „zaś” i „in”, których nie ma w tekście „Dziennika Popularnego”, że niektóre zdania są włożone w usta innych osób, niekiedy nawet pici odmiennie. Zbieżności przeważają i sięgają około 96,8 proc., co jest dostatecznym dowodem na to, iż wykluczyć trzeba zwykły przypadek. I to właśnie było do udowodnienia. Telepatia istnieje!

Tego rodzaju technika przekazu zasługuje na to, aby ją upowszechnić, zwłaszcza w tych pismach, które nie doro-
biły się jeszcze linii teleko-
wej. Sądzę, że przy podejmowa-
niu decyzji o jej szerszym
upowszechnieniu należy wziąć
pod uwagę możliwość zaoszcze-
dzenia energii, teleks bowiem
ja zużywa, a telepatia nie, a
przynajmniej nie pobiera jej z
krajowego systemu energetycz-
nego.

Redaktorka B. Stół, powinien
się zainteresować redaktor na-
czelny „Tygodnika Płockiego”,
niezależnie bowiem gina w tłumie
ludzie o nadzwyczajnych zdol-
nościach: w tym wypadku nie
można do tego dopuścić.

Myślę, że Stowarzyszenie
Dziennikarzy Polskich powinno
zorganizować sesję naukową na
ten temat, trzeba bowiem na-
żyć takim typem facetem jak
ja, którzy piszą jak ja!

KATORŻNIK

TELEPATIA ISTNIEJE!

lekarza w Przychodni Stoma-
tologicznej w Płocku — Marka
Karpińskiego, stały się począt-
kiem dziennikarskiego z nim
wywiadu.

Dalej ciągnie „DP”: Rzeczą
dotyczy wyboru miejsca pracy
i zamieszkania, a więc tego, co
ludzie zwykli nazywać „miej-
scem na ziemi”, albo „własną
drogą życiową”. Dla niej sprawa
była oczywista.

Kolejne zdanie w „Tygodni-
ku Płockim” brzmi: Rzeczą zaś
dotyczy wyboru miejsca pracy
i zamieszkania, a więc tego, co
ludzie zwykli nazywać „miej-
scem na ziemi”, albo „własną
drogą życiową”. Dla Marka
Karpińskiego sprawa tutaj była
oczywista od początku.

Następne zdanie w „DP”:
Może nie warto by się nad
tym rozwodzić, gdyby nie

tłumaczenia, jak telepatia, czy-
li przesyłanie myśli na odle-
głość. W moim głębokim prze-
konaniu, jest to najczystszy do-
wód na jej istnienie, drugo-
gocześnie zaś dowód na racjo-
nalistycznych niedowiadkach.

Ze przekaz nie jest idealny?
No cóż, trzeba wziąć pod uwa-
gę duże odległości w czasie i
przestrzeni, powodujące zakło-
cenia na drodze przesyłu. Stąd
wciąż zapewne takie przekłama-
nia jak to, że w „Dzienniku
Popularnym” słowa: powody,
które mnie skłoniły do podję-
cia pracy w Białym Dunajcu
są prozaiskie — wypowiada
nauczycielka, Elżbieta Pawlak,
a w „Tygodniku Płockim” nie-
co inna wersja, mianowicie:
powody, które skłoniły mnie
do podjęcia pracy w Płocku są
prozaiskie — wychodzi z ust
lekarza, Marka Karpińskiego.

Kierowca w gronostajach

Jeden z patroli MO czuwających nad
bezpieczeństwem na drogach (uwaga,
ślisko!) zatrzymał niedawno kierowcę
służbowego „Flata 125p” który zasia-
dał za kierownicą w... gronostajach.

Przedstawiciel władzy szybko doszł
po futrze do kłębka. I oto, co się
okazało.

Futra znajdują się na liście artyku-
łów rynkowych, których nie wolno
zakupywać instytucjom. Do instytucji
alisci zalicza się także wyższe uczelnie.
Jak wiadomo, ośrodek rektorskie tychże
powinny być od czasu do czasu ubie-
rane w gronostaje. Gronostaj niżej
trwały, ale także się wyciera, zwłasz-
cza, gdy życie uczelni obfituje w uro-
czystości. Co robić wtedy?

Na liście artykułów zakazanych nie
ma ubrań roboczych i ochronnych, a
mimo nich — kółek i kółek dla kierow-
ców. Wtedy więc, gdy rektorowi wy-
trze się gronostaj kupuje się go niby
dla kierowcy — jako odzież roboczą.

Patrol MO zatrzymał kierowcę w
gronostajach w okresie inwentaryzacji.
Nie było rady — w szafie rektorskiej
tutro wisieć nie mogło...

Po tym wyjaśnieniu patrol zwolnił
kierowcę, jako że nie zagrażał on bez-
pieczeństwu publicznemu.

Nie brudzi, nie myje

„Mini magazyn 1/3” („Odgłosy” z
3. bm) donosi o mydle „Parys”, które,
wycofane ze sprzedaży przez ministra
handlu (z powodu złej jakości) ma
być dostarczane przez fabrykę ze Star-
gardu Szczecińskiego „na zaopatrzenie
zakładów pracy”.

My z kolei donosimy o flamastrach
produkowanych przez Spółdzielnię Pra-
cy „Innowacja” w Warszawie (ul. Sza-

serów 110), które zostały dostarczone
do naszej redakcji w styczniu br., m-
mp, że termin ich przydatności minął
w maju ub. r. Mazaki te mają to do
siebie, że nie piszą, a więc i nie bru-
dzą.

„Mini magazyn” nie wpadł na to,
że przetworzony mazak warszaw-
skiej „Innowacji” i mydło „Parys” ze
Stargardu tworzą komplet. Skoro się
mazakiem nie umiesz, spokojnie mo-

SENSACJE MAŁE I DUŻE

żesz myć ręce mydłem, którym się nie
umyjesz...

408 cm kw. antyautoreklamy

W „Głosie Robotniczym” z 5 bm.
ogłasza się PRACOWNIA PLASTYCZ-
NA przy WPGT (7) „Trybunalskie” w
Piotrkowie Trybunalskim, oferując wy-
konywanie m.in. plasz i hasel propa-
gandowych, dekoracji okoliczności-
wych, plakatów, napisów reklamowych,
itd., itd.

Ogłoszenie ma wymiary 17x24 cm. Na
tej powierzchni zamieszczono tyle nie-
chłujstwa plastycznego, ile tylko dało
się wcisnąć Kompozycja bezsensowna,
liternetwo od Sasa do lasa. Trudno
wymyślić lepszą antyautoreklamę.

W końcu ogłoszenia informuje się
nas, że „Usługi fakturowane są na
podstawie cennika PKC 322-Z/78”. Sza-
nowna PKC — nie pozwól na to! Na-
wet, gdyby wył. wym. pracownia
chciała dopłacić do swych usług
według tego cennika.

Detektyw na smyczy

Dla różnych celów szkoli się psy: do
obrony, do szukania trufli, narkoty-
ków i złodziei, prowadzenia straży po-
żarnej do pożaru, itp. I to pochwała-
my.

Nie możemy się jednak zgodzić z
perfidną praktyką, której ofiarą padł
niedawno 34-letni Marek S. z bódzkiego
osiedla Teofilów. Oto, jak podaje (kt)
w „Dzienniku Popularnym” — foka-
ster (którego imienia autor notatki
nieśmiemy nie wymienić), zaprowadził
zonę wspomnianego Marka do miesz-
kania w sąsiednim bloku. W rezultacie
nastąpiło spotkanie kwartetu — żona,
pies, Marek i blondynka.

Co na to Towarzystwo Przyjaciół
Ludzi?

Raczej kogut

„Do budowanego kurnika przyjmę u-
działowca” — obiecuje ktoś w „Głosie
Robotniczym”.
Najlepszy byłby kogut. Lisa nie ra-
dzimy.

KAT.



KRONIKA TOWARZYSKA

Jeden z naszych współpracowni-
ków, red. Lucjusz Włodkowski,
swoją drogą zastępca redaktora
naczelnego „Odgłosów” (to ten
tygodnik załączany do nas) ob-
chodził w ostatnich dniach donio-
sły jubileusz. Było nim pięćdzie-
sięciolecie pierwszego komunikatu
wygłoszonego przez niego podczas
wychodzenia z łona matki!

W związku z tym odbyła się u-
roczystość. Jej kulminacyjnym
punktem było wręczenie jubilatowi
licznych listów dzieckich i innych,
wyrażających m. in. po-
dziw dla Jego odporności, która
pozwoliła Mu przetrwać pół wie-
ku mimo sprawowania zawodu i
funkcji nie dość że w ogóle nie-
bezpiecznych dla zdrowia, to je-
szcze na dodatek pełnionych w
„Odgłosach” i „Załączniku”.

Na zdjęciu — red. Lucjusz
Włodkowski w zadumie.

Foto: R. Łuczyszyn

Pocztą „Załącznika”

W numerze 58 dowiedpnego cze-
sto „Załącznika” zamieścił list
Państwo notatki pt. „Z kwiatami
nie można”. Zaczyna się ona zda-
niem: Dyrekcja Teatru Wielkiego
w Łodzi zabroniła podawać kwia-
ty artystom na scenę.”
Rozumiemy że w swoich notat-
kach żartobliwie polemizujemy z
nonsensownymi posunięciami kto-

de zdarzają się w toku codzien-
nej działalności różnych instytu-
cji. Przytoczone jednak zdanie
jest nieprawdziwe. Zdarzył się u
nas przed kilku tygodniami incy-
dent, mogący stanowić podstawę
Waszej notatki, ale jako nieporo-
zumienie wręczył się nie powtórzył.
I oczywiście nie był spowodowa-
ny zarządzeniem Dyrekcji.
Łączymy ukłony.

Dyrektor
Teatru Wielkiego w Łodzi
(—) Andrzej Hundziak

ZSYP

Denerwował się bardzo gos-
podarz jednego z łódzkich wie-
żowców, kiedy na trawniku
znalazł w rankami a to iakles
pudło, a to kawał deski, a to
znów potłuczone butelki lub
kość z solidnej góry celecei.

Obserwacje dzienne nie nie
dały zasażyć się więc cter-
pliwu dozorca w nocy. I oto
luż po północy zauważył, jak
otwiera się okno mieszkan-
ia na dziedzińcu piętrze i wylatu
je zeń pudełko od butów.

— Czemu pan! to robi jak
można tak zamieścić osiedle?
— spytał naszafur lokatorkę.

— Nie chciałam wyrzucić
do zsypu, bo się zapycha i
mam później nieczyścienie z
pachy pod drzwiami. A z tra-
wnika zawsze ktoś zbierał...

K.

TADEUSZ GIGIER

DOJMY RZECZPOSPOLITĄ

„Dojmy Rzeczpospolitą!” — pisał pan Kłonowie,
w tym wezwaniu nad podziw bystry dalekowidz,
bo choć przed trzystu laty wyspiewał to zdanie,
bliższą nutą pobrzmiwiał dziś jego śpiewanie.

„Dojmy Rzeczpospolitą, rzeźmy złote grona,
wszak bogata winnica, nabrane wymiona”.
Do tych wymion rodacy ścisli się przypnijmy,
ssijmy mocno, namiętnie, umiejętnie ssijmy!

„I dziś między chlewiymi są takowe głosy:
żniemy złotą pszenicę, żniemy złote kłosy”.
Śierpem, kosa czym da się i gdzie tylko da się,
albowiem kto nie kradnie, ten się nie napasie.

Krojmy, twijmy zaciekłe na kawałki skóre,
bo to państwo cierpliwie jako mało które.
Aż mam dopuścić, by kwitło i rosło?
Już je z kielków oskubie to nasze rzemiosło.

Dojmy Rzeczpospolitą, dojmy ile wziele,
nie ustawajmy nigdy w tej chlubnej imprezie!
Choć żmudne zajęcie, trza bledzić się zawsze,
przele każdy ma profil i pożytek każdy.

A że inni też łupią, szkatadni zuchwalce?
Oni się patrzy na nas my na nich przez palce.
Nie godzi się o żłoby swarzyć, przyjaciele —
zjednoczmy wżdy prawie w naszym zbożnym dziele!

Szarpmy, drapmy dobytek narodowy wszyscy,
obedrzyjmy ojczyznę do ostatniej nitki.
Słży nasze i chwytmy w jeden chwyt zestrojmy,
dojmy Rzeczpospolitą, umiejętnie dojmy!

(Ze zbioru „Satyry — fraszki — aforyzmy”, który ukaze się nakładem
Wydawnictwa Łódzkiego).

1988



Rys Edward Bogdański

(c.d.n.)